

Ann Brandt

Powrót

do Crowfoot

Ridge

Z angielskiego przełożyła Anna Krasko

Libros

Grupa Wydawnicza Bertelsmann

Wronia łapka zielona Zapewni Ci dobry los. Znajdziesz ją w lesie, Schowaj w życia trzos.

Z folkloru Appalachów

Podziękowanie

Zadziwiająca ekipa towarzyszyła mi w tej wyprawie. Jej członkowie nauczyli mnie, jak uciec przed sztormem i jak radzić sobie z brakiem wiatru. Ich rozległe umiejętności oraz szlachetność serca były w tej przygodzie wprost niezastąpione.

Na pokładzie łodzi znalazła się też Jillian Manus, moja agentka, i Carolyn Marino, redaktorka z HarperCollins - we dwie wytyczyły nowy kurs mojemu stateczkowi. Peter Cooper przekonał mnie, że najważniejsza jest podróż, a dopiero potem osiągnięcie wyznaczonego celu. Grupa pisarska Rossa Browne'a, Toby'ego Heatona i Janet Kent pomogła mi pewniej stąpać na chybottliwym pokładzie. Moi krewni oraz wierni przyjaciele też zabrali się ze mną w rejs, nie pytając, do jakiego portu przyjdzie nam zawinąć. Jednakże najbardziej zdumiewający okazali się moi synowie, Charlie i Jimmy Brandtowie, dzięki którym

zawsze trzymałam kurs.

## Część pierwsza

### Rozdział 1

Ken Kessler, czujny i skupiony w sobie, wstąpił na podium, gotów w każdej chwili roztoczyć wspaniałą wizję przyszłości. Jego oddziały ściągnęły już do nowego centrum konferencyjnego firmy. W przejściu rozmawiali półgłosem pracownicy sektora sprzedaży; ubrani jak na biznesmenów przystało, swym strojem nie bardzo pasowali do subtropikalnych upałów Florydy. Planiści, księgowi i inni zdążyli już zająć miejsca. Ken postukał wskaźnikiem w pulpit i zaczął, aż wszyscy usiądą.

— Koledzy i przyjaciele. — Pochylił się nad mikrofonem i uśmiechnął zdawkowo. — Witajcie na dorocznym spotkaniu pracowników Kessler Properties. Wszyscy przyczyniliście się do tego, że ten rok, rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty piąty, był dla naszej firmy naprawdę wspaniałą, za co wszystkim wam dziękuję. - Tu zaklaskał, a kiedy podjęte przez zebranych brawa ucichły, wrócił do przerwanej wątku. - Opracowujemy kilka nowych, ciekawych projektów. Po pierwsze i najważniejsze, prowadzimy szeroko zakrojoną akcję reklamową działek w Pelican Estates. Gino, proszę o mapę etapu numer dwa. - Odczekał, aż asystentka przedstawi odpowiednią planszę. - Spodziewamy się ożywić rynek, dać mu czału, jak mówi młodzież. Moja żona zajmuje się sprzedażą działek Pelicana, jeśli więc macie państwo w tej sprawie pytania albo też potrzebujecie folderów, skontaktujcie się bezpośrednio z Avery. - Wskazał ją ruchem głowy.

Siedząca na skraju drugiego rzędu Avery pomachała mu ręką. Utknąć na plastikowym krześle i przez najbliższe dwie godziny wysłuchiwać przemówienia małżonka? Była to ostatnia rzecz, jakiej teraz pragnęła. Żeby choć trochę uczłowieczyć jego sztywną postać, wyobraziła sobie, że Ken stoi na podium zupełnie nago.

— Pracujemy też nad projektem Tequesta. — Ginę pokazała odpowiednią mapę. — Zmieniliśmy lokalizację wjazdu na teren działki, ponieważ władze okręgowe uskarżały się na zbytne zagęszczenie ruchu kołowego wokół budynku szkoły. - Ken dziobnął mapę wskaźnikiem.

Jego głos brzmiał jak głos disc jockeya prowadzącego nocną audycję radiową: ociekał optymizmem zaprawionym uwodzi-cielską nutką. Ach, ten Ken. Z jaką swobodą nosił tę drogą tweedową marynarkę... Avery wyłączyła się. Wszystko, o czym mówił, słyszała już wiele razy. Członkowie najwyższych władz przedsiębiorstwa uznali, że Treasure Coast jest ich własnością, rządzą więc maczetą i ogniem, jakby stali ponad prawem. Mel Fisher, światowej sławy nurek, szukał przy brzegu hiszpańskich galeonów i rozsypanych na dnie morza skarbów, podczas gdy Kessler Properties znajdowała bogactwo na brzegu, pozostawiając za sobą nagą, ogołoconą niczym wrak ziemię. Avery musiała radzić sobie zarówno z bogactwem, jak i z poczuciem winy.

Ginę obarczono zaszczytną i odpowiedzialną misją zmienia-nia map na sztalugach. Jeszcze niedawno odbierała tylko telefony. Szybko awansowała z recepcjonistki na sekretarkę, potem na kierowniczkę

sekretariatu, wreszcie na asystentkę wiceprezesa spółki, mężczyzny spalonego słońcem na polu golfowym i podczas rejsów jachtem. Pokazała kolejny plan sytuacyjny i Ken zaczął go omawiać. Była absolutnym przeciwnieństwem Avery: miała latynoskie, pełne zadumy oczy i bujne czarne włosy, którymi z powodzeniem mogłaby się podzielić z jeszcze jedną kobietą. No i była ambitna.

Tak samo jak Ken i Avery w latach siedemdziesiątych, kiedy to ambicja, nadzieja i poczucie odpowiedzialności wprost ich

roznosiły. Ambicja gnała Kena naprzód jeszcze teraz, lecz Avery coraz wyraźniej odczuwała brzemień odpowiedzialności i narastającą świadomość nadchodzącej katastrofy.

Żałowała, że przed zebraniem nie wypila szklanki wo-dy. Usłyszała słowa „Deer Pond”, czyli „Jeleni Staw”, i nadstawiła uszu.

- ...ciekawy projekt - mówił Ken. - Deer Pond Gardens

będą osiedlem ekskluzywnych domków chronionym przez strażników przy bramie wjazdowej. Ich domek będzie stał tutaj.

Stuknął wskaźnikiem w plan. - Jak państwo widzicie, nie zniszczymy ani parku, ani stawów, ani obszarów zalesionych. -

Stuk, stuk, stuk. - Tu, tu i tu.

- Jeleni Staw? — powtórzyła na głos Avery. — Przepraszam, że przerywam, ale w tej części Florydy nie ma już żadnych jeleni.

- Moja droga, to będą kamienne jelenie. - Wszyscy się roześmiali. - Tak, na terenie osiedla staną naturalnej wielkości posągi jeleni. Umieścimy je w różnych miejscach, w lasku, w parku, a przede wszystkim przy zbiornikach wodnych. Tym sposobem przywrócimy Florydzie zwierzęta, których niegdyś było tu pełno, prawda?

- Szacunkowa cena? - zapytał ktoś z tyłu.

Zebrani wciąż jeszcze chichotali.

- Od ćwierć miliona wzwyż. - Ken obwiodł mapę wskaźnikiem, kreśląc w powietrzu linię przyszłego ogrodzenia.

Avery nie pamiętała, kiedy po raz ostatni widziała jelenia w tym przeludnionym rejonie, i wyteżyła pamięć, próbując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widziała to zwierzę na wolności. Tak, kiedyś, podczas wakacji w Karolinie Północnej, które spędzała z rodziną, nad staw przy domu Sylvy podeszły łania, byk i

młodziutki, nakrapiany jelonek. Chciały ugasić pragnienie. Ona i Sylva miały wówczas po siedem lat i był to rok, kiedy po raz pierwszy pozwolono im spać razem. Choć nie mogła w to uwierzyć, od tamtej pory minęło trzydzieści lat. Chcąc odpędzić od siebie tę ponurą myśl, przesunęła medalion po łańcuszku.

Z tyłu sali kelnerzy parzyli kawę. Jej aromat mieszał się z zapachem perfum, płynów po goleniu i wonią nowej wykładziny. Po zebraniu Avery wzięła kieliszek białego wina i listek chrupkiego pieczywa ze śmietankowym serkiem doprawionym krabami. Pogryzając tartinkę, trzymała się z dala od tłumu gości: od nagrodzonych i odurzonych sukcesem pracowników firmy i od Kena w otoczeniu podlizujących mu się współpracowników. Przy takich okazjach Ken czuł się jak ryba w wodzie. Jego niewymuszona pewność siebie, sukcesy przedsiębiorstwa, wizja wspaniale malującej się przyszłości przyciągały doń wielu.

- Cześć, Avery. Czemu się tak chowasz?

Podeszły do niej dwie oficjalnie wystrojone pracownice działu księgowości. Obie wyglądały jak z igły.

- Cześć. Co słychać?

- U Giny lepiej być nie może - odparła jedna z nich. -

Słyszałam, że obejmuje Golden Sands.

- Nie, nie. — Jej koleżanka strzeliła placami, usiłując przy-

pomnieć sobie nazwę obiektu. - Chyba to nowe osiedle przy

Jensen Beach.

- Obejmuje Jensen Beach? Jako kierowniczką administracyjną?

- Interesujące, prawda? - Kobieta poprawiła dwuogniskowe okulary i uciekła oczyma w bok. — Ciekawe, że ogłoszono to akurat dzisiaj...

Avery skinęła głową. Aluzja była wyraźna. Poczuli się jak w potrzasku.

- Pomyślałyśmy, że pewnie chciałabyś o tym wiedzieć. Ken nakreślił wspaniałe plany na nadchodzący rok. Twój mąż jest naprawdę fantastyczny.

- Prawda? Cóż ja bym bez niego zrobiła?

Na twarzach obu kobiet pojawił się wyraz zaskoczenia; pomachały jej i wmieszały się w tłum rozentuzjasmowanych pracowników. Avery niczym wąż prześlizgnęła się pomiędzy zwałistymi budowlancami i rozwiedzionymi agentami nieru-chomości. Z niektórymi zamieniła kilka słów, innych pozdro-wiała tylko skinieniem głowy.

- No, jesteś wreszcie - powiedział Ken.

- Nie chcę wam przeszkadzać. Jesteście zajęci.
- Ależ skąd. — Spojrzał na stojących przy nim gości. — Avery odwaliała kawał dobrej roboty przy Pelican Estates. - Objął ją i wciągnął do kręgu. - Przez dziesięć lat kierowała budową osiedla.
- Dzięki za uznanie, ale ja niczym nie kieruję. - Wykrzywiła usta w sztucznym uśmiechu. - Chciałam ci tylko powiedzieć, że już wychodzę. Zobaczymy się potem.
- Wrócę późno. Mamy zebranie zarządu. - Cmoknął ją w czoło.

Wyślizgnęła się bocznymi drzwiami i ruszyła do samochodu. Na dworze zrobiło się ciemno jak o zmroku. Spojrzała na gęste, skłębione chmury. Czuła zapach wiszącego w powietrzu deszczu i leciutką wilgoć na skórze. Minęła budynki zarządu wkomponowane między sztuczne wzniesienia i kunsztownie rozplanowaną roślinność, zostawiła za sobą podupadający pasaż handlowy. Między metalowymi nóżkami z wystawionych przed sklepy rdzewiejących stojaków na gazety tkwiły plastikowe torby.

Jechała starą dwupasmówką, równoległą do trasy 1-95. Jak w każdy piątek w godzinie szczytu autostrada była zatłoczona, za to stara droga - ograniczona z lewej strony grzędzawiskiem, a z prawej kanałem - świeciła pustkami. Avery jechała siedemdziesiąt pięć na godzinę w kierunku nadciągającej burzy, obserwując kipiące niebo i błyski nad horyzontem.

Deer Pond Gardens? Roześmiała się, próbując wyobrazić sobie kamienne jelenie rozstawione na terenie całego osiedla. Na firmowych kopertach znajdzie się na pewno wizerunek Bambiego. Miała co do firmy wiele zastrzeżeń, ale musiała przyznać, że wszystko, czego zatrudnieni w niej ludzie tknęli, zamieniało się w złoto.

Po kieliszku wina czuła suchość w ustach. Nie odrywając wzroku od szosy, namacała torebkę, a w niej rulonik dropsów. Wydłubała cukierek paznokciem. Miał smak limonki. Włączyła radio, żeby zagłuszyć myśli o nowym osiedlu i dalszej dewastacji

przyrody. Przy jej nadgarstku łopotał kremowy rękaw, złota obrączka błyszcząca światłem odbitym od deski rozdzielczej. Państwowa stacja nadawała dyskusję na temat zagrożonej przyszłości terenów podmokłych. To ją trochę uspokoiło. Nie tylko ona się tym przejmowała.

Czerwonawe niebo przecięła błyskawica. Na przednią szybę spadły pierwsze krople deszczu. Avery włączyła wycieraczki. Patrzyła, jak czają się przed każdym kolejnym zrywem.

Włączyła światła, wcisnęła pedał gazu i zjechała na środek drogi, żeby wyprzedzić starszego pana w małym aucie. Ciekawe, co też on widzi znad kierownicy? - pomyślała, zerkając we wsteczne lusterko. Samochód stawał się coraz mniejszy i mniej-szy, wreszcie zupełnie zniknął. Chmury przysłoniły zachodzące słońce i niebo poczerniało.

Wycieraczki z coraz większym trudem zmagaly się z ulew-nym deszczem. Światła reflektorów wydobywały

z mroku sylwetki samotnych samochodów. Czuła się bezbronna. Kropka, kropka, kreska, kreska - biegnąca środkiem jezdni linia nagle zniknęła, w tylną szybę wozu uderzył huraganowy wiatr, a na masce i na asfalcie zatańczył grad wielkości grochu. Tego rodzaju burze miały zazwyczaj bardzo lokalny charakter. Rozpętywały się z furją i szybko mijały. Przez burzę taką jak ta należało przebić się jak najszybciej.

Nagle Avery poczuła, że tył BMW mocno zarzuca.

Przestraszona zwolniła.

Jeleń wyskoczył na drogę nie wiadomo skąd. Ociekając deszczem, znieruchomiał w świetle reflektorów. W pierwszej chwili Avery pomyślała, że to przywidzenie, złudzenie, fata-morgana.

Przerażone oczy zwierzęcia, w których odbijały się światła reflektorów, usiłowały przeniknąć ciemność.

Nie chciała go zabić. Wszystkie mięśnie jej ciała stężały, umysłem zawładnęło poczucie winy. Gwałtownie wcisnęła pedał hamulca. Samochód ponownie zarzucił. Na zdrańdzieckim lodzie Florydy koła straciły przyczepność. Jeleń zniknął.

BMW wirowało wokół własnej osi jak w zwolnionym filmie. Próbując odzyskać panowanie nad autem, Avery szarpnęła kierownicą. Ogarnęła ją panika.

Kierownica nie reagowała.

Hamulce odmawiały posłuszeństwa.

W trakcie niekontrolowanego tańca na jezdni przed oczami Avery migaly dziwne, to wyraziście rozjaśnione, to znów zamażane fragmenty krajobrazu. Samochód wpadł do czarnego kanału. Uderzyła czołem w kierownicę. W jej głowie rozbłysło jaskrawe światło, a potem - jakby ktoś zrobił krótkie spięcie - zapadła ciemność.

Woda zakipiała jak po eksplozji. Na wszystkie strony rozeszły się spienione fale. Po chwili opadły i do samochodu zaczęła się wsączać woda. Zapadając się w zimną, gąbczastą otchłań nieświadomości, Avery czuła woń stęchlizny.

\* \* \*

W jej głowie kłębiły się gorzkie wspomnienia, wirowały obrazy z przeszłości. Wróciło zapomniane poczucie winy. Kiedyś, dawno temu... Inny jeleń...

Rodzina jeleni przystanęła, żeby ugasić pragnienie nad sadzawką, potem odeszła w stronę łąk. Kozioł odwrócił się, prostując biały ogonek. Łania i nakrapiane małe ruszyły za samcem. Avery obserwowała je z okna domu Sylvy. Widziała je zza stołu, przy którym jadła śniadanie. Jelenie i las w oddali. Piał się po zboczach Crowfoot Ridge, spowitych letnią mgłą, poprzerastanych krzewami wawrzynu i gęstym podszytem w kolorze butelkowej zieleni.

Hunter Marshall wyjął złowrogo wyglądający nóż i odciął grubą pajdę chleba. Ojciec Sylvy napawał Avery przerażeniem. Naprzeciwko niego siedziała Kitty, jego żona. Bracia i siostra Sylvy tłoczyli się na ławie. Wayne nadział na widelec plasterki szynki. Charlotte otworzyła słoik musu jabłkowego domowej roboty. W pokoju panowała cisza przerywana jedynie odgłosami przeżuwania i szcękaniem sztućców. Słars zgarnął na talerz

kilka łyżek jajecznicy i połał ją musem. Franklina nie było, ale zostawiono dla niego miejsce.

Avery wskazała okno i zwróciła uwagę Sylvy na rodzinę jeleni. Ta zmarszczyła czoło i trąciła przyjaciółkę łokciem.

Hunter poderwał się zza stołu i chwycił strzelbę z półki. Skrzypnęły siatkowe drzwi, ale przytrzymał je, żeby nie trzasnęły i nie narobiły hałasu. Wymierzył.

- Tatku, nie! - krzyknęła Sylva, bardzo dzielna jak na siedmiolatkę.

Huknęło. Oszołomieni, nerwowo podskoczyli i zamarli.

Mars, brat Sylvy, zatkał sobie uszy.

Wystrzał zburzył łagodny spokój poranka i nastrój przy stole. Łąka pękła, eksplodowała, rozpadła się na kawałki. Rozdzierający huk odbił się od gór, przeleciał przez ogród, wpadł do kurnika i powrócił echem. Rykoszetem uderzył w Avery.

Byk padł.

Łania i małe wbiegły do lasu.

Hunter ponownie zasiadł do stołu. Nikt się nie odezwał. Siedzieli cisi i przestraszeni, obserwując, jak ojciec łyżka po łyżce zmiata z talerza śniadanie. Miał kręconą brodę i wąsy: wyglądało to tak, jakby jedzenie zniknęło w ciemnej dziurze.

Sylva patrzyła na niego z wyrazem klęski w oczach.

Zastygła bez ruchu Avery spoglądała z przerażeniem na łąkę, zbyt ogłupiała, by płakać, i za mała, żeby protestować. Mars nakazywał jej wzrokiem milczenie. Tylko raz ledwie dostrzegł - nie potrząsnął głową, dając tym dowód niezwykłej jak na dziewięciolatka mądrości. Nad łąką zawisła siwa mgła.

Byk padł na skraju zagajnika i zasłoniła go wysoka trawa. Wiedzieli, że tam leży. Nawet gdyby nagle wbiegł do kuchni, wskoczył na stół i odtąńczył na nim oberka, Avery i tak nie byłaby ani odrobinę bardziej świadoma jego obecności.

Jego śmierci.

Wayne pochylił się nad stołem i wziął kawałek chleba. Miał obgryzione do krwi paznokcie. Obrócił się na ławie, balansując ciałem, przeniósł nad nią długie nogi, wstał i wyprostował się.

Był wysoki jak na piętnastolatka i krzepko zbudowany, jak ojciec. Włosy opadły mu na twarz.

- Zacznę go oprawiać - powiedział i wyszedł. Siatkowe

drzwi pacnęły o drewnianą framugę.

- Wytnij mu najpierw gruczoły zapachowe, synu! - krzyknął za nim Hunter.

Wstał, zapalił papierosa i wypuścił nosem dym, który zawisł w powietrzu niczym aureola. Potem bez słowa wyszedł na dwór. Aureola się rozwiała.

- Nie martwcie się tym jeleniem - rzekła Kitty. - Zimą

i tak padłby z głodu. Lepiej idźcie i zbierzcie trochę fasolki szparagowej, dobra? - Mówiła śpiewnie, jak wszyscy na południu.

Nie chciały wyjść do ogrodu, bojąc się tego, co mogą tam zobaczyć. Ale jeszcze bardziej bały się Kitty. Wzięły koszyk i wyszły na podwórko.

— Zamknij oczy i chwyć mnie za rękę — powiedziała Sylva głosem ciepłym i słodkim, przywodzącym na myśl gorący sos czekoladowy na waniliowych lodach.

— Jak możesz na to patrzeć?

— Na nic nie patrzę, tylko mrużę oczy i wbijam je w ziemię.

- Dlaczego on zabił jelenia?

- Bo on wszystko zabija - odparła Sylva. Przeszły obok pomidorów i żółtych dyń ukrytych po liściach i napełniły kosz fasolką. Ogród pachniał wilgotną zielenią. Słońce jeszcze nie grzało, było na to za wcześnie.

— Gdzie Franklin? — spytała Avery w drodze powrotnej.

— Pojechał na wojnę.

Avery zatrzymała się przy sadzawce i na pamiątkę jeleniej rodziny wrzuciła kamyczek do brunatnej, spowitej mgłą wody. Przyglądała się, jak fale, początkowo zwarte, rozlewają się niczym krew coraz szerzej i szerzej, tworząc wzory na powierzchni stawu. Nad kwiatami lilii wodnych brzęczały pszczoły.

Mars siedział w stodole. Oparł się o wspornik, podciągnął wysoko kolana i trzymał na nich zeszyt do rysowania. Avery usiadła obok niego i przysunęła się na tyle blisko, żeby zobaczyć

rysunek jelenia. Miał oczy zaczerwienione ołówkiem, a cieniutkie kreseczki łudząco przypominały włoski jego sierści. Mars trzymał ołówek długimi, cienkimi palcami.

— To wszystko moja wina - powiedziała Avery, powstrzymując łzy.

— Nie, to nie była twoja wina. — Mars nie odrywał wzroku od rysunku.

— Gdybym siedziała cicho, wasz tata nawet by ich nie



zauważył. To najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobiłam.

Wstała i na zawsze schwytała w sidła poczucia winy z powodu śmierci jelenia, pobiegła do chatki, którą jej rodzina wynajmowała każdego lata.

## Rozdział 2

Przed oknami gabinetu dojrzewały już pomarańcze. Oblepiały drzewo tak gęsto, że ciemnozielone błyszczące liście prawie pod nimi ginęły. Dobrze przemyślana lokalizacja i tony nawozów przynosiły efekty pożądane, choć nieco zwodnicze, zwłaszcza na początku sezonu sprzedaży: owoce wydawały się słodkie i soczyste, tymczasem tak naprawdę były bardzo cierpkie.

Brzydka rana na czole Avery zbladła już i nabrała barwy jasnego fioletu. Guz wielkości gęsiego jaja zmałał. Od czasu, gdy wylądowała w kanale, nękała ją rozgoryczenie. Na pierwszy rzut oka jej życie zdawało się bardzo udane i pełne słodyczy, w rzeczywistości zaś było takim samym oszustwem jak kwaśne pomarańcze za oknem.

Zadzwonił stojący tuż przy jej łokciu telefon.

— Avery Kessler, słucham.

— Jak się masz, kochanie? Nie przypuszczałam, że tak szybko wrócisz do pracy.

W głosie matki słyszała nutkę niepokoju.

— Dobrze się czuję, naprawdę. Przepraszam, że ściągnięto was z tatą do szpitala w środku nocy.

— Ken zadzwonił. To złoty chłopak. Masz szczęście, Avery.

— Wiem. Dzięki za kwiaty.

— Ależ, kochanie! Tak się cieszymy, że nic ci się nie stało.

— Uściskaj ode mnie tatę. Niedługo się zobaczymy. Dziękuję za telefon.

Siedziała, patrząc w okno. Pelican Estates zniszczyły naturalne rozlewiska Indian River. Buldożery, bagrowanie, nasypy, falochrony i wycinka drzew pod budowę domów zniszczyły tutejszą przyrodę. Część dawnej Florydy, tak ukochana przez Seminoli, zniknęła. Na bagnach, niczym grzyby po deszczu, wyrosły betonowe domki o pastelowych okiennicach i dobranych pod kolor drzwiach garaży. W miejsce palm pojawiły się podjazdy i chodniki. Domy podchodziły pod brzegi sztucznych kanałów, gdzie w objęciach podnośników spoczywały motorówki, gdzie na falach kołysały się rybackie łodzie i gdzie nocami dzwonił o maszty takielunek żaglówek.

Jej życie wypłowiało i straciło kolor, stało się schematyczne. Spełniło się to, co wymarzyła dla niej matka, lecz Avery tym marzeniem nie żyła. Przeważnie była nieobecna duchem, zagubiona w gorzkich wspomnieniach.

Ktoś zajechał przed okna gabinetu. Zerknęła na samochód, ponownie przeniosła wzrok na biurko, ale już nie mogła się skupić.

Easy i Mark, potencjalni klienci, oboje nie wyżsi niż metr siedemdziesiąt, oboje żwawi, choć co najmniej z dziesięciokilową nadwagą, wchodząc do budynku, wymieniali uwagi na temat pomarańczy.

- Zaraz do państwa przyjdę - powiedziała Avery. Upiła łyk

wystygłej kawy. Niech się tymczasem zapoznają z planami

osiedla, potem obwiezie ich po ukończonej części obiektu.

Stali przy ścianie, na której wisiały plany drugiej fazy budowy. Dobiegali sześćdziesiątki. W ciągu minionych lat przed mapami Kessler Properties wystawały tysiące takich par. On pokazał jej pole golfowe. Ona zauważyła, że większość działek dochodzi do kanałku i powiedziała, że wreszcie będą mogli mieć łódkę, o której zawsze marzył. Równie dobrze mogli przyjechać z Nowego Jorku, Minnesoty, New Jersey albo Ohio, ale Avery poznała po akcencie, że są południowcami. Nie chciała z nimi rozmawiać.

— Nazywam się Avery Kessler. — Wstała i wyszła zza biur-

ka. - Czym mogę państwu służyć?

Ich nazwisko, zbyt trudne, żeby je prawidłowo wymówić czy zapamiętać, natychmiast wyleciało jej z głowy. Polianski? Przyjechali z Durham w Karolinie Północnej. No tak, oczywiście: Easy była emerytowaną nauczycielką, a już za dwa lata Mark, pracownik poczty, też miał przejść na emeryturę.

- Za dwa i pół, kochanie — poprawiła go żona ledwie

słyszalnym szeptem.

- Tak czy inaczej, przyjechaliśmy kupić parcelę. Pobuduje-

my się później.

- Ciężkie zimy zaczynają nas męczyć - dodała Easy. Wszys-

cy mówili to samo. — Nie ma sensu siedzieć w domu przez pięć

miesięcy w roku, skoro możemy przeprowadzić się tutaj.

Tu posiedzicie sobie w domu dwanaście miesięcy, kryjąc się przed spiekotą. Na południu Florydy nawet maj był upalny.

- Nie ma sensu - przytaknął jej Mark.

Avery posadziła ich na tylnym siedzeniu swego nowego samochodu. Żeby zachować dystans wobec klientów, na siedzeniu pasażera zawsze trzymała stos papierów i zawsze jeździła z klimatyzacją włączoną na maksymalne chłodzenie. Z siedzącymi za plecami nawiązywała tylko kontakt wzrokowy i tylko w lusterku.

Wiozła ich przez okrzepłe już i dojrzałe tereny osiedla, obok swego domu przy Guli Circle, uliczce odchodzącej od Sea Grape Drive. Kiedy dwanaście lat temu Ken obejmował Pelican Estates, kupili jeden z modelowych domków. Nic, czego Avery uczyła się w college'u, nie przygotowało jej do pracy u boku Kena. Skończyła więc sześciotygodniowy kurs dla agentów nieruchomości, a potem wzięła się do sprzedawania ofert Kess-ler Properties.

- To jest mój dom. - To, że mieszka na terenie obiektu, robiło dobre wrażenie na klientach. — Widzę, że nasz ogrodnik przyszedł dziś do pracy. — Skeeter pochylał się nad żywopłotem i wrywał chwasty. Kiedy przychodził pracować w ogrodzie lub na podwórzu, zwykle zostawała w domu.

Gipsowe domki o ścianach pomalowanych pastelowymi farbami stały pośród zielonych, wypieszczonych trawników. Chodniki lśniły czystością, niemo sygnalizując samotność. Przed

jednym z domków chłopiec próbował opryskać siostrę wodą z ogrodowego węża. Minęli mężczyznę samotnie uprawiającego

jogging-

- Ludzie tutaj serdeczni? - zapytała Easy.

- Bardzo - skłamała Avery. Sprzedała większość tych domków. Dla ich mieszkańców sąsiedzka zażyłość kończyła się na machnięciu ręką w stronę przejeżdżającego samochodu.

- Od jak dawna mieszka pani na Florydzie, kochanie?

- Urodziłam się w Stuart.

- Proszę, więc jest pani tutejsza! A mnie się zdawało, że wszyscy mieszkańcy Florydy są przesiedleńcami.

- Nie tylko ja się tu urodziłam. Mój brat Adam też przyszedł na świat na Florydzie.

Zatrzymała wóz przed numerem 340 przy Tidewater Drive. Szli przez ogołoconą, zapiaszczoną ziemię. Uderzył w nich gwałtowny podmuch gorącego wiatru. Długie pasmo włosów na łysiejącej głowie Marka stanęło na baczność. Siwawa, krótko ostrzyżona Easy musiała mieć trwałą, ponieważ jej fryzura pozostała nienaruszona.

- Wał zaporowy jest już gotowy. Port czeka, żebyście zbudowali państwo swoją przystań. - Upalny wiatr porwał ze sobą słowa Avery. Szli w stronę kanałku, gdzie roilo się od

komarów.

- Od lat na wakacje jeździmy na Florydę. - Dla bezpieczeństwa, na wypadek gdyby potknęła się na płaskiej, wybetonowanej parceli, Easy chwyciła Marka za rękę. — Przyjeżdżamy tu z Durham.

- Moja mama tak bardzo nienawidziła upałów, że kiedy byłam dzieckiem, każdego lata wyjeżdżaliśmy do Karoliny Północnej.

- Pewnie mijaliśmy się na autostradzie.

- Możliwe.

Stali na wale, spoglądając na spokojną toń kanału i pustkowie rozciągające się na drugim brzegu. Klienci nie wiedzieli, że pewnego dnia wyrosną tam czyjeś domy, że kanałem będą pruć motorówki, że zewsząd będzie dobiegał warkot kosiarek.

- Aligatory mamy tu tak wielkie, że jednym kłapięciem mogą połknąć psa.

Ten,, wyświechtany dowcip bardzo ich rozbawił.

- Dokąd jeździliście państwo na wakacje? - spytała Easy. -  
W Karolinie Północnej.

- W góry. Tswszt jeździliśmy w to samo miejsce. Crowfoot Ridge. Tata łowił pstrągi. Zatrzymywaliśmy się na farmie MacKinseyów pod Asheville, w jednej z chat wynajmowanych przez pana Maca.

J Tak, wielu farmerów wynajmowało pokoje albo domki, żeby podreperować budżet. Góry są piękne - powiedział Mark. - Wy jeździcie do Karoliny, a my przyjeżdżamy tu, na Florydę.

- Nie ma to jak zmiana otoczenia - odezwała się Easy. -

Można tu zacumować coś większego niż skiffer?

- My mamy ośmioipółmetrowy jacht. Nazywa się „Bald Wind”.

Mark patrzył na kanał. Avery czuła, że połknął haczyk; jego wymarzona łódź już kołysała się na falach. Wiedziała, że transakcja dojdzie do skutku.

- Moja przyjaciółka, Sylva Marshall, mieszkała mniej więcej półtora kilometra od chaty MacKinseya — rzekła Avery. —

Trudno w to uwierzyć, ale jej ojciec trzymał przy drzwiach nabitą strzelbę. Pewnego razu widziałam, jak zabił jelenia.

- Mnie to wcale nie dziwi — odrzekł Mark. — Mężczyźni zamieszkujący tereny Appalachów to przede wszystkim traperzy i ludzie gór. Po dziś dzień trzymają w domach nabitą broń. Ale rozumiem, że niektórych może to zaskakiwać.

- A później? Jeździła tam pani?

- Nie. To było bardzo dawno temu. Już nigdy tam nie wróciliśmy.

- A pani przyjaciółka? Jesteście w kontakcie?

- Nie. Nie wiem, gdzie teraz jest. Dużo dla mnie znaczyła.

Ona i jej brat. Ale lata płyną. Pewnego dnia powinnam tam pojechać. — Zostało tyle niezakończonych spraw. Ale nie, nie mogła tego zrobić. Chciała ich zobaczyć, lecz nie mogła.

Wiedziała, że nie ma dość odwagi, by stawić Sylwie czoło. -Może kiedyś? W przyszłości...

Dlaczego pozwoliła jej wziąć winę na siebie? Czyż mogłaby spojrzeć jej w oczy? Wiedziała, że Mars nie zna prawdy. A może jednak Sylva mu powiedziała? Tak czy inaczej, żadne z nich nie wiedziało wszystkiego. Powinna tam pojechać. A w każdym razie zebrać się na odwagę i wyjaśnić im, jak to było naprawdę. Wyjaśnić raz na zawsze. Na samą tę myśl zamierały w niej podstawowe życiowe funkcje: krew przestała krążyć, a serce zwalniało rytm. Słabł jej słuch i wzrok, miała płytszy oddech.

- Czy ta farma nadal tam jest? - spytała Easy.

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Za to doskonale pamiętam jej właściciela. - Nigdy nie zapomniała starego Maca. -

Dam państwu chwilę czasu do namysłu. - Odeszła i oparła się o samochód.

Bez trudu przywołała w pamięci obraz farmy MacKinseya. W popołudniowym słońcu, gdy góry kładły się długim cieniem na leżącej u ich stóp ziemi, budynek rysował się bardzo wyraźnie. Cień otulał stodołę, wpełzał na pastwiska, pogłębiał ciemną zieleń wystrzępionych liści kukurydzy rosnącej między budynkiem MacKinseya i niewydarzonym gospodarstwem Huntera Marshalla. Te głębokie, przedwieczne cienie Crow-foot Ridge były dla Avery źródłem życiowej energii w czasach wczesnej młodości. Migające na niebie

błyskawice uprzedzały

0 nadchodzącym deszczu, a w strumieniu chłodziły się gładkie jak marmur arbuzy. Robaczki świętojańskie przelatwały między kwiatami cynii niczym iskry lub wpadały w pułapkę szklanych słoików. Jako mała dziewczynka przez cały rok z niecierpliwością czekała na wakacje.

Pewnego dnia pan Mac osiodłał dla niej i Adama dwa konie, Księżycowego Promyka i Błyskawicę. Mieli pojechać w góry

1 nazbierać czarnych jagód. Wyruszyli, wiedząc, że jeśli zbiorą dużo owoców, kucharka zrobi im na deser napój jagodowy.

Kucharka miała na imię Neco-wee. Avery prawie o tym zapomniała.

Jej wiaderko było już w połowie wypełnione, kiedy na ścieżce pojawił się pan Mac. Szedł z kciukiem zaczepionym

0 skórzane szelki spodni.

- Neco-wee mówi, żeby któreś z was zawiozło jagody już teraz. Przysłała mnie, żeby wam to powiedział. Jedź, Adam, ja zostanę z Avery.

Adam zsywał jagody do jednego wiadra, ona zaś ponownie przysiadła między krzaczkami. Chłopiec wskoczył na Błyskawicę

1 odjechał. Pan Mac usiadł w trawie i przyglądał się Avery.

Dziwnie się czuła pod jego spojrzeniem.

- Chcesz obejrzeć mojego Indianina? - zapytał, kiedy Adam zniknął im z oczu.

- Jakiego Indianina?

- Takiego specjalnego, dam ci go potrzymać.

Zaintrygowana, podeszła bliżej. Trzymał go w ręku. Krótki

pałak pokryty błyszczącą, prążkowaną skórą, która wyglądała jak ludzka. Nie, nie była to lalka.

- Kowbojki zabijają Indian - powiedziała Avery.

Lubieżnie gładził pałak, chcąc ją do czegoś zachęcić.

- To zabawka, Avery, można się tym bawić...

Wyczuła niebezpieczeństwo. Pachniało jak dym z dogasającego ogniska. Przystanęła, zamarła.

Zerwał się błyskawicznie, chcąc ją chwycić.

Przeraźliwie krzyknęła. Wyślizgnęła się z jego rąk niczym węgorz i podbiegła do Księżycowego Promyka. Pchnęła go, chlasnęła wodzami i uchwyciła się łęku siodła. Koń wrócił do stajni z Avery dyndającą u boku.

Jak na ośmiolatkę, miała dobry refleks. I była mądra. Dlatego zdołała uciec.

To była pierwsza z tajemnic wakacji u stóp Crowfoot Ridge.

Bo kowbojki nie paplą.

- Hop, hop, pani Kessler, podjęliśmy decyzję!

Easy i Mark podeszli do samochodu i oznajmili, że postanowili kupić parcelę. Avery zawiozła ich do biura, gdzie podpisali umowę. Na razie kupowali tylko działkę, lecz była to zapowiedź większego kontraktu na dom, dlatego Avery nie

uważała tej godziny za zmarnowaną. Nazywali się John i Edith Polianski. Miła para. Avery doszła do wniosku, że w ciągu ostatnich lat stała się zbyt cyniczna.

\* \* \*

Po południu pojechała obejrzeć tereny, które niwelowano pod nowe osiedle. Pomarańczowe buldożery z napisem „Kess-ler” na drzwiczkach oczyszczały kolejne połacie ziemi. Krzyk wodnego ptactwa ginał w warkocie glebogryzarek, pogłębiarek i ciężarówek.

Powierzchnia zielonej wody marszczyła się jak tarcza do prania, powietrze miało słonawy smak, chmury sunęły po niebie białymi autostradami. Avery czuła się odpowiedzialna za tę inwazję na dziewicze tereny Florydy. Dewastacja miała barwę pomarańczy.

Ken zaparkował auto tuż przed samochodem żony. Szedł do niej z oczyma ukrytymi za lotniczymi okularami przeciwsłonecznymi.

- Co ty tu robisz? — zapytał. — Dobrze się czujesz? Chyba

nie powinnaś jeszcze wychodzić...

- Nie, nie, nic mi nie jest. Sprzedałam działkę w Tidewater.

- Martwię się o ciebie. - Odgarnął jej włosy i obejrzał

siniec na czole.

- Niepotrzebnie. Zdaje się, że coś tam zabili, pewnie węża.

Stoją i czemuś się przyglądają. To moja wina.

Przygnębiał ją widok kolejnego kawałka ziemi ulegającego naporowi nowych domów. Bo co tu teraz wyrosnie? Trzypokojowe potworki z dwiema łazienkami, przy rozwrzeszczanych uliczkach, wpełzających na podmokłe tereny Florydy i zabijających nieskazitelną przyrodę niczym rdza kłosa zbóż. Wszystko, co naturalne, ustąpi miejsca żółtym gipsowym ścianom zwieńczonym czarnym dachem. Zakłamanie było

koloru żółtego.

- Twoja wina? Dlaczego? To szaleństwo. - Ken przekrzywił głowę i spojrzał na nią jak na wariatkę. - Może utrata przytomności wyrządziła większe szkody, niż się nam zdawało?

- Utrata? Nie. Po tym wypadku raczej ją odzyskałam. - Chciała się dowiedzieć, co tam się stało, lecz wiedziała, że na interwencję jest już za późno. Wypełniająca jej głowę jazgot brzmiał jak bezgłówny krzyk ptaków i zagłuszał wszelkie myśli. Miała ochotę wjechać samochodem na teren budowy, zatraścić na robotników i powstrzymać ich od dalszych zniszczeń. Ale niczemu nie mogła zapobiec.

Co się stało z dawną Avery Baldwin? Czyżby i ona zginęła, jak tutejsze trzęsawiska? Śmierć węża nie miała żadnego znaczenia. Była tylko kolejnym wyrzutem sumienia.

- Przecież na tym polega nasza praca, Avery — tłumaczył Ken. - Robimy to od dwunastu lat. Dlaczego akurat teraz tak się tym gryziesz?

- Nie pamiętasz już, jak bardzo zależało nam na tym, żeby chronić tutejszą przyrodę, żółwie, i w ogóle? - Wzięła się pod boki i spojrzała mu w oczy. — Za dużo chcemy. Za bardzo się rozbuchaliśmy. Myślisz, że te buldożery będą tu jeździły do dnia Sądu Ostatecznego?

Zmrużył oczy.

- Módl się o to. Nie zapominaj, że ty też pracujesz w tej firmie.

- Jeszcze tylko jedno osiedle. Zawsze tak będzie. - Odwróciła wzrok.

- Avery, pojechałem dzisiaj obejrzeć Jeleni Staw. Wspaniały teren. Pomyślałem, że moglibyśmy tam zamieszkać.

Drgnęła.



- Co się stało? - spytał. - Denerwujesz się, ilekroć wspomnę o Jelenim Stawie. Dlaczego?

- Nie wiem. Innymi osiedlami też się denerwuję. Nazwa tego terenu jest jednym wielkim łągarstwem.

- A więc co powiesz na przeprowadzkę? Przy klubie będzie basen o wymiarach olimpijskich. Mogłabyś znowu zacząć trenować. Zawsze powtarzasz, że nasz jest dla ciebie za mały.

- Za mały na poważne pływanie. Ken, pływałam w szkole średniej, dwadzieścia lat temu.

Odwrócił głowę.

— Muszę iść. Zobaczymy się wieczorem. — Pomachał jej na pożegnanie. - Nie rozmyślaj za dużo. Ciesz się życiem.

Odprowadziła go wzrokiem, potem spojrzała w przeciwną stronę.

Kiedy ujarzmią już wszystkie pustkowia i uroczyiska, gdy cały stan zaleją wolno stojące i szeregowie domki, kiedy namorzyny, manaty, muszle i małże będą znane tylko najstarszym mieszkańcom Florydy, białej biedocie i aligatorom, gdy bilans ich firmy zrówna się z bilansem Florydy i gdy morzem zawładnie czerwony przypływ, nawet wtedy buldożer Kesslera będzie pluł sadzą na zniwelowane równiny.

Ken wyznawał własną prawdę — prostą, klarowną i bezpośrodkową. Prawda była chyba jedną, jedyną wartością, której nikt nie mógł poprawić, zmienić ani podkoloryzować. Prawda była bezbarwna. Tymczasem umysł Avery zaprzętały błahostki, ki-janki, żaby, węże i straszne opowieści. Zagubione, lekko zamażone i poszarpane myśli hasały w jej głowie jak po łące z kółkami narzut, barwiąc wszystko niczym żelki w szklanym słoju i odgrywając kolorowe wspomnienia z dzieciństwa.

Jej prawda leżała pod warstwą kłamstw, zbyt grubą, by można ją było stamtąd wygrzebać.

### Rozdział 3

Na starość Skeeter tracił wdzięk, ale nie zdrowy rozsądek. Marszczył się i wysychał jak rozbity statek. Obserwując pszczoły, wyrabiał sobie poglądy na życie, etyki uczył się od mrówek. Mimo to nie zmienił się w bezdusznego robota. Potrafił też przewidzieć najmniejszą zmianę w monotonnej, upalnej pogodzie. Miał swoje nazwy dla czterech pór roku: gorąca, deszczowa, parna i komarowa. Krzyżące mewy i skłębione, wędrujące z zachodu na wschód chmury informowały go o szkwałe powstającym na bagnach pod żółtym niebem. Mówił wówczas, że za kilka godzin nadejdzie burza. Nigdy się nie mylił.

Pewnego razu Avery wybrała się z nim łodzią do jego szałas. Mieszkał w okręgu Martin nad rzeką St. Lucie. W klatkach spały bagienne króliki. W słońcu wygrzewał się legwan. Spod skorupy wyzierał żółtawy wodny. Jak zawsze grząskie trzęsawisko porastały palmy i skarłowaciałe sosny.

Urządziła ze Skeeterem swój przydomowy ogródek. Obsadzili go typową dla tej części stanu roślinnością,

którą stary ogrodnik przynosił z bagien. Pracowali nad nim latami. Ken nie był zachwycony tym pomysłem. Uważał, że wszystkie domy powinny wyglądać tak samo: mieć równo przystrzyżone trawniki i wybrane okazy roślin. W gruncie rzeczy zabronił jej tego, jednakże Avery nie dała za wygraną i w końcu ustąpił. Kazał tylko otoczyć tę część posesji wysokim na metr osiemdziesiąt płotem. Wstydził się ogrodu, za to ona i Skeeter, który co dwa

tygodnie przynosił z bagien nową roślinę, wprost go uwielbiali. Po dwóch latach pracy ten mały skrawek ziemi wyglądał jak wówczas, gdy nie było tu jeszcze osiedla. Na wysokim płocie kwitły pnące astry i męczennica.

Już od trzech godzin pracowali w czerwcowej spiekocie. Skeeter podniósł się z kolan i rozprostował stare kości. Charakterystycznym dla Seminoli wąskim nosem wciągnął słone powietrze i przyjrzał się lecącemu kluczowi brązowych pelikanów. Jego siwiejącą głowę tu i ówdzie zdobiły długie, cienkie warkoczyki.

- Dziwne niebo, nie uważasz? — spytała.

- Idzie burza. - Popatrzył na skłębione chmury. Gwałtowne

podmuchy wiatru były chłodniejsze niż zwykle. - Może być

kiepsko.

- Pamiętasz huragan Dianę?

- Huragan tak, ale zaraz, kiedy to było... W latach pięćdziesiątych?

- Tata pozwalał mi nanosić na mapę współrzędne. Miałam kilka lat i uważałam, że to wielka sprawa. Powiedział wtedy to samo co ty: może być kiepsko.

- Hmm, huragan? Nie. Będzie silna burza. - Podrapał się w głowę. Pod skórą drgnęły mu mięśnie.

- Seminole mieszkają na otwartych przestrzeniach, huragany muszą wyrządzać im dużo szkód.

- Nie. Mieszkamy skromnie, żeby potem niczego nie żałować. Po przejściu huraganu stawiamy kolejny szałas, i tyle.

A w czasie gwałtownej burzy kładziemy się na ziemi.

- Moja babcia umarła po przejściu huraganu - powiedziała

Avery. - To jej medalion. - Podsunęła Skeeterowi pod nos

wisior w kształcie serca na łańcuszku. - Dostałam go od mamy.

- Co jest w środku?

- Stare zdjęcia. Moje i mojego brata. — Przeciągnęła medalion po łańcuszku najpierw w lewo, potem w prawo. — Na jej pogrzeb wystroiłam się najładniej jak umiałam. Włożyłam fartuszek w żółte motyle. Pamiętam, że ciągle spadały mi szelki i że kokarda mi się rozwiązywała. Byłam w czarnych lakierkach.

Niewzruszona jak skała, siedziałam obok mamy i słuchałam mów pożegnalnych, z których nic nie rozumiałam.

Babcia robiła im napój z rozpuszczonej w mleku owałtyny -proszek zostawiał brązowe smugi na ścianach szklanki, a na jej dnie iawsz.e zostawała nie rozpuszczona gruda.

Śmieszne, co człowiek pamięta.

Skeeter zajrzał do torby.

- Przyniosłem trochę nasion, które chciałbym posiać.

- Daj, ja to zrobię.

Podał jej nasiona i gdy ona zaczęła szykować dla nich miejsce, on zajął się swoją robotą.

- Kiedyś, kiedy byłam mała i na wakacje jeździliśmy do Crowfoot Ridge, starszy brat Sylvy poprosił nas, żebyśmy zasiały dla niego nasiona marychy. - Nie odrywała wzroku od roboty.

Skeeter rozpulchnił motyką ziemię.

- Marychy? Co to takiego?

- Myślałyśmy, że to jakieś kwiaty. Następnego lata wyrosły bardzo ładne krzaczki. Potem odkryłyśmy, że to marihuana. —

Parsknęła śmiechem. - Trochę to trwało, zanim dodałyśmy dwa do dwóch. Za farmą były wzgórza porośnięte wronimi łapkami.

Często się na nie wspinaliśmy. Wierzyliśmy, że wronia łapka przynosi szczęście.

- Wronia łapka? Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Jak to wygląda?

- Jak kobierzec. Ma małe, rozczapierzone łodyżki. Wyglądają jak ptasie łapki.

- To mógł być płożący się cyprys. Czasami nazywają go ziemną sosną.
- Od tej rośliny pochodzi nazwa Crowfoot Ridge, Turni Wroniej Łapki. To chyba rodzaj jaskra. Krążył tam nawet jakiś ludowy wierszyk czy rymowanka... O tym, że wronia łapka przynosi szczęście. Nie pamiętam ani jednej zwrotki.
- To pewnie jakiś mech. - Skeeter zaczął zbierać swoje rzeczy. Szykował się do wyjścia.
- Moja przyjaciółka знаła nazwy wszystkich roślin, tak samo jak ty. Pokazała mi naparstnicę, wiesiołka, rudbekię i arum.

Nauczyła mnie rozpoznawać różne rodzaje pokrzyw, żebym się nie poparzyła. Nie wiem, skąd to wszystko wiedziała. Odprowadziła go na przystań, gdzie zostawił łódź.

- Wiesz, od czasu tego wypadku wciąż myślę o szkodach, jakie tu wyrządzamy. Nagle przejrzałam na oczy i widzę, że nasza firma jest zbyt pazerna.
- Ani mniej, ani bardziej niż zawsze. - Wrzucił torbę do łodzi.
- I ciągle nachodzą mnie wspomnienia z dzieciństwa, nie- które tak żywe, jakby dotyczyły czegoś, co zdarzyło się wczoraj. Szarpnął linę. Silnik prychnął, parsknął i głośno zawarczał.
- Do zobaczenia za tydzień! — krzyknął Skeeter.

Avery odwiązała cumę, rzuciła ją na rufę łodzi i pomachała staremu na pożegnanie z nadzieją, że zdąży do domu przed deszczem.

Dwie godziny później rozpętało się piekło. Powierzchnia basenu kipiała pod strugami ulewnego deszczu. Strumienie wody nieprzerwanie spływały po szybach. Niebo jaśniało od błyskawic, światła przygasały. Dom trząsł się od grzmotów, tak że zziębnięta i zdenerwowana Avery postanowiła wcześniej po-łożyć się spać.

Ken narobił więcej hałasu niż zwykle. Obijał się o meble, pogwizdywał, zapalił światło w korytarzu, po czym wtoczył się do sypialni.

W półmroku zauważyła, że ma rozchełstaną koszulę. Budzik przy łóżku wskazywał drugą nad ranem. Ken zrzucił mokre ubranie i z trudem zachowując równowagę, owinął sobie głowę ręcznikiem.

- Śpisz? Ale burza, co?

Ostatnio prawie nie pił, dlatego zdziwiła się, widząc go w takim stanie.

- Słyszałaś najświeższą wiadomość? Stary Mel Fisher nareszcie trafił w dziesiątkę. No, wiesz, ten poszukiwacz skarbów...

- Wiem, kim jest Mel Fisher - odparła.

- Znalazł „Atochę”, ten hiszpański galeon, którego tak

długo szukał. Przez szesnaście lat przeczesywał wybrzeża Florydy i w końcu mu się udało. — Ken miał chrapliwy głos, mówił za głośno. — Zgarnie fortunę. Miliony!

- I postanowiliście to oblać?

- Nie. Skończyliśmy robotę przy tym cholernym centrum sztuki. Co za burdel, zasłużyliśmy sobie na drinka. Człowiek próbuje być miły, uprzejmy i co dostaje w zamian? Ta mała Myrtle Talkathon, czy jak jej tam, omal nie doprowadziła mnie do szału. Tak czy inaczej, my swoje skończyliśmy. Teraz do akcji wejdą architekci wewnątrz i ci od terenów zielonych. A potem Myrtle i jej ludzie wypełnią to wszystko tymi zwiędłymi truposzami. Wszystkiego najlepszego! - Pociągnął z puszki łyk piwa. Ręcznik zsunął się na podłogę.

Ken opadł na łóżko. Bił od niego silny zapach ryby i whisky. Bokserki miał podwinięte. Podniósł nogę i zdjął jedną skarpetkę. Drugą zostawił. Chwycił Avery i wciągnął ją na siebie, rozdzierając jej koszulę. Prysnęły guziczki.

- Co ty wyrabiasz? — Usiłowała wyrwać się z jego uścisku. —

Puść mnie!

Jeszcze mocniej zacisnął ręce.

- Ken, to boli!

- Co jest, Avery? Nie cieszysz się, że mnie widzisz?

Chuchnął jej prosto w twarz kwaśnym oddechem. Jego

dłonie sprawiały jej ból. Miał erekcję. Wyrwała się, ale znowu ją złapał. Wymacała jego twarz, rozczapierzyła palce i zatopiła w niej paznokcie.

- Chryste, co ty wyczyniasz? Cholera jasna! - Zasłonił sobie

oko. Zrzucił ją z łóżka, wstał, wszedł do łazienki i zapalił światło.

- Jezu, zobacz, co zrobiłaś! Niewiele brakowało i wydrapałabyś mi oko. Co się z tobą dzieje, do diabła?

Avery wstała i wybiegła z sypialni. Wpadła do pokoju od strony ogrodu, zamknęła drzwi na klucz, zwinęła się w kłębek na tapczanie i przez zasuwane szklane drzwi patrzyła na zieleń tonącą w księżycowej poświacie. Na liściach lśniły krople kapuśniczku. Miał szczęście, że go nie zabiłam - pomyślała. I pierw-

szy raz w życiu zdała sobie sprawę, że któregoś dnia może nad sobą nie zapanować.

Następnego dnia rano Ken zszedł do kuchni na kawę i za wszystko ją przeprosił, ale było już za późno. Czerwone zadrapania na twarzy wyglądały paskudnie. Będzie musiał się z nich jakoś wytłumaczyć.

Kichnął, wytarł nos, zakaszłał.

- Chyba się zaziębiłem - powiedział. - Czuję się jak trup.

Przytknęła dłoń do jego czoła.

- Masz gorączkę. Lepiej zostań w domu.

- Posiedzisz ze mną?

- Nie mogę. Mam spotkanie w Logan House z tym specem od termitów. O dziesiątej podpisuję umowę, a po południu jestem umówiona z klientem w Tequesta. Już jestem spóźniona.

- Avery, przecież wiesz, że nigdy bym cię nie skrzywdził, prawda? Przepraszam cię za tę noc.

- Powinieneś czymś to sobie posmarować — odrzekła i wyszła.

Poświęcili się pracy. Nie mieli czasu na dzieci. Krótkie chwile

wolne od obowiązków zawsze spędzali na jachcie. Wypływali na „Bald Wind” na okoliczne wody śródłądowe, a czasem nawet dalej, na ocean. Wydawało im się, że umarli i trafili prosto do rajów - rajów głupców.

Avery nie miała złudzeń. Bolało ją, że Ken nie jest w stanie wysilić się choćby na jedną twórczą myśl. Nie był wrażliwy, spostrzegawczy ani obdarzony intuicją. Nie słuchał jej nawet wtedy, gdy nie pił. Podczas swych największych wlotów czy upadków zachowywał tę samą równowagę psychiczną. Bez względu na to, co się działo w domu czy w firmie, wciąż pozostawał niewzruszony. Czasem miała ochotę potrząsnąć nim tylko po to, żeby sprawdzić, czy w ogóle żyje.

Robili dokładnie to, co należy. Wszyscy byli zadowoleni. Głupio zadowoleni. A lata mijały. W Wietnamie szalała wojna, dzieci-kwiaty tańczyły do muzyki Doorsów, wielbiły Boba Dylana, śpiewały z Rogerem Daltreym, The Who i z Neilem Youngiem. Studenci protestowali, inni umierali i szli do nieba:

żołnierze, dzieci, wieśniacy. Ameryka zmierzała do piekła hon-dą, do Woodstock zaś furgonetką Volkswagena.

Podczas gdy świat balansował na krawędzi katastrofy, Ken -nieporuszony choćby jedną płomienną myślą — piekł steki na grillu przy basenie. Doskonale uodporniony na wstyd, smażył w najlepsze hamburgery na rufie jachtu. Tymczasem ona się-działa okrakiem na bukszprycie, słuchała Jimmy'ego Buffetta, obserwowała nurkujące pelikany i baraszkujące morświny, śniąc na jawie odwieczne sny schwywane w sieć indiańskiego łapacza snów.

Skeeter przyszedł w piątek. Tego dnia Avery była bar-dzo milcząca. Pracowali w ciszy dwie godziny, nim zapytał, co się stało.

- Zwykle jesteś bardziej rozmowna - dodał.
- Za dużo myślę o tym, co było albo mogłoby być. Zata-piam się w przeszłości.
- Jedyną receptą na przetrwanie jest żyć chwilą bieżącą.

Pozwól przeszłości odejść. Przebacz sobie, zapomnij.

- Przebaczyć? A jeśli to niemożliwe?
- Trzeba poznać swoją własną prawdę, a potem z nią żyć.

Ale najpierw trzeba ją poznać.

- A to co? Mądrość Seminoli? — Usiadła, żeby rozprostować kości. — Nie wiem, jak spojrzeć tej prawdzie w oczy.
- A znasz ją?
- Po części.
- Poznaj całą. Szukaj tak długo, aż znajdziesz. Bez tego nie da się żyć.

Wstał zadowolony, że dobrze wypielił grządkę. Dobiegał siedemdziesiątki czy może ją nawet przekroczył, lecz mimo to wciąż był sprawny niczym szwajcarski scyzoryk.

- Kiedy byłem chłopcem - powiedział - znajdowaliśmy węzowe wylinki. Tak nam się podobały, że zbieraliśmy je i dekorowaliśmy nimi nasze domy. Pewnego razu zapytałem ojca, dlaczego węże zrzucają starą skórę. Powiedział, że muszą

ją zrzucić, żeby dalej rosnąć. Przyroda uczy nas wielu rzeczy.

Wielu prawd, o których zapomnieliśmy. Wycisz się, posłuchaj jej, a wiele się nauczysz.

- Wiesz, na czym polega mój problem? Jestem rozdarta między tym, co było, a tym, co jest teraz.

- Skup się wyłącznie na teraźniejszości. Zrzuć starą skórę, zrób sobie więcej miejsca. Żebyś mogła urosnąć. Całą energię zużyj na teraźniejszość, w przeciwnym razie będziesz dzieliła życie między dwa światy: między świat sennych marzeń i świat rzeczywisty, czyli jawę.

- I to mnie tak rozdziera?

- Przecież wiesz - odrzekł z uśmiechem.

- Wiem, że dopisało mi szczęście: mam ciebie.

Kiedy się pożegnali, poszła na przystań i siedziała tam aż do zachodu słońca.

W domu czekał na nią Ken. Przez cały tydzień leczył paskudne zaziębienie, którego się nabawił podczas ostatniego spotkania z budowlańcami.

- Długo czekasz? - zapytała.

- Długo. Ale nie chciałem ci przeszkadzać.

- Dawniej wystarczyło, że krzyknałeś, a ja pędziłam do ciebie co sił w nogach. Nieważne. W każdym razie w niczym mi nie przeszkadzasz.

- Przyniosłem butelkę wina. Masz ochotę się napić?

- Tak, chętnie, czemu nie? Jak tam twój katar? - Weszła za nim do kuchni.

Otworzył lodówkę. Zadrapania na twarzy już się wygoiły, lecz nadal były widoczne.

- Lepiej. Dzwonił Jack. — Odkorkował wino. — Chcą przyjechać z Lissą. Musiałem podjąć szybką decyzję. Powiedziałem, że bardzo dobrze. Myślisz, że damy radę?

- Bardzo się cieszę. Dawno ich nie widzieliśmy. Popływamy jachtem. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz pływaliśmy.



- Ale ty sypiasz w pokoju od ogrodu.

- I co z tego? - Pociągnęła łyk wina. Ken wybrał doskonały gatunek. — Oddamy im pokój gościnny. Nie widzę problemu. Chyba że będziesz się czuł zakłopotany.

- Nie - odparł i popatrzył na Avery. - "Wiesz, że bardzo żałuję...

- To nie twoja wina. A w każdym razie nie tylko twoja. Wina zawsze rozkłada się na dwoje. Reaguję zbyt nerwowo. Przepraszam. Ostatnio zachowuję się okropnie, wciąż mam do ciebie pretensje.

Wyszła nad basen. On za nią. Usiedli na leżakach.

- Nie powinienem był wracać pijany.

- A ja nie powinnam była rzucać ci się do oczu z pazurami. Kiedy przyjadą?

- Lada chwila.

- Dzisiaj?! Jezus Maria! I nic nie mówisz? Ty nigdy niczego nie mówisz do końca. - Zerwała się na równe nogi. - Cały dzień harowałam ze Skeeterem w ogrodzie. Muszę wziąć prysznic.

- Przepraszam. Myślałem, że wyraziłem się jasno — zawołał. Odkręcając wodę, stwierdziła w duchu, że połowa ich małych żeńskich problemów jest związana z brakiem porozumienia.

Piętnaście minut później, kiedy odświeżona wróciła nad basen z wciąż wilgotnymi włosami, Lissa i Jack już tam byli. Cmoknęła Jacka w policzek, a Lissę objęła niedźwiedzim uściskiem i zakołysała nią w prawo i w lewo.

- Tak się cieszę, że was widzę. Tak się cieszę, że mogliście przyjechać. Za rzadko się widzimy. Brak mi ciebie.

- Wreszcie znaleźliśmy wolną chwilę i postanowiliśmy do was zajrzeć. - Lissa przytrzymała dłoń przyjaciółki. - Mam

nadzieję, że niczym się w związku z tym nie trudziłaś.

- Ken uprzedził mnie o waszym przyjeździe dwie minuty temu, zdążyłam tylko wziąć prysznic. Kolację zjemy w restauracji. Zresztą i tak niczego bym nie gotowała: ta umiejętność zaczyna być dla mnie sztuką coraz bardziej zapomnianą. Macie ochotę wpaść do „Craggy Joe's”?

- Ja też coraz rzadziej gotuję - odrzekła Lissa. - Ken mówi, że jutro popływamy jachtem. Dobrze, że przywiozłam kostium kąpielowy.

Avery chciała porozmawiać z przyjaciółką na osobności, ale

ponieważ wszyscy znali się jeszcze z college'u, dobrze czuła się też w towarzystwie Kena i Jacka. Nawet jeśli goście zauważyli zmianę w ich nocnych zwyczajach, ani słowem tego nie skomentowali.

Następnego dnia cała czwórka szykowali jacht do wyprawy, a gdy wszystko było gotowe, Ken zapuścił silnik i odbił od mola. Na pokładzie czuł się jak ryba w wodzie. Avery lubiła patrzeć na jego mocno opalone stopy kontrastujące z białą tenisówką. Kiedy już postawili żagle, one poszły opalać się na dziób, a Ken i Jack zostali na rufie, żeby skracać i popuszczać szoty. Lekki wietrzyk popychał jacht wzdłuż szerokiego, prostego odcinka rzeki St. Lucie.

— Za rzadko się widzimy, Lisso. Co u ciebie? Jak dzieciaki?

Opowiadaj.

— Nie ma o czym, u nas wszystko po staremu. To ty opowiadaj. - Lissa smarowała sobie nogi emulsją do opalania.

Pachniała olejkiem kokosowym.

— Już dawno chciałam z tobą porozmawiać. Od tego wypadku wszystko widzę w dziwnym świetle. Po pierwsze, wydaje mi się, że Ken ma romans.

— Romans? Jesteś pewna? Z kim?

— Nie mam żadnych dowodów, zauważam tylko pewne drobiazgi. Całymi dniami pracuje. Ma jakieś nocne spotkania...

— To nic nowego.

— Fakt. Spędzamy razem dwa wieczory tygodniowo. Oglądamy telewizję, prawie ze sobą nie rozmawiamy, wcześniej

kładziemy się spać. A kiedy już zaczynamy rozmawiać, kończy się na tym, że wrzeszczę na niego za pomyłki w interesach. Parę dni temu wrócił pijany i zaczął się do mnie dobierać. Dostałam szału. Naprawdę, wpadłam w amok. Omal nie wydrapałam mu oczu. Poczułam od niego whisky i... Chryste, nie wiem, co powiedzieć. Po prostu mi odbiło. Boże, przecież mogłam go zabić! Było ze mną tak fatalnie, że aż się przestraszyłam. To znaczy, przeraziłam się samej siebie. Od tamtej nocy śpię w pokoju od ogrodu. To moja prywatna przystań. Ken nic na to nie powiedział. Schodzi mi z drogi.

— Zauważyłam te zadrapania. Właściwie czego ty chcesz?

Żeby było jak dawniej?

— Chcę mieć święty spokój.

- Dlaczego uważasz, że Ken ma kochankę?

— Myślę, że to Giną. Czasami nie wraca na noc. Tak, wiem, może sypiać w nowych domkach, u przyjaciół albo u rodziny w Ft. Pierce. Ale dłużej się tak nie da. Żyjemy w zakłamaniu.

- Jak to?

— On nie jest tym, za kogo go brałam. Pamiętasz studenckie czasy? Uwielbialiśmy Florydę. Za wszelką cenę chcieliśmy ratować żółwie, wydmy, całą resztę. Dawna Floryda była dla nas czymś bardzo cennym.

— Pamiętam. To przecież ja was ze sobą poznałam.

- Właśnie. A spójrz na niego teraz. Zaczyna budowę nowego osiedla. Jak na ironię nazwali je Jelenim Stawem. Wymyślili, że udekorują je rzeźbami jeleni. Chryste! Ken chce się tam przeprowadzić, żebym mogła popływać w basenie olimpijskim. Ostatni raz trenowałam dwadzieścia lat temu! Zdaje się, że tę

uwagę dobrze sobie zapamiętał.

- Wyszłaś za niego w sześćdziesiątym siódmym. Wtedy wszyscy byliśmy tacy. Ale trzeba było iść dalej, zarabiać na życie i na utrzymanie dzieci. On jest budowlańcem. Czego się po nim spodziewasz?

- Odrobiny wrażliwości na potrzeby środowiska. Czy to aż tak dużo? Kiedyś chciałam pojechać w góry, żeby popatrzeć na jesienne liście albo na śnieg w zimie... Ale nie, nie pojechaliśmy ani razu. Ken lubi pływać jachtem, więc pływamy. A wiesz, jak było z moim ogrodem? Robił, co mógł, żeby mnie do niego zniechęcić. A to przecież taki drobiazg. Nie może znieść, że pracuję ze Skeeterem w ogrodzie.

- Buduje to, co się sprzedaje.

— Ha! Sama mu w tym pomagam. To przecież ja sprzedaję działki, domki i mieszkania.

- I dobrze na tym zarabiasz.

— Mam gdzieś, czy ktoś cokolwiek kupi, czy nie. Nikogo nie namawiam. A z niektórymi wołałabym nie mieszkać po sąsie-

dzku. Mój sukces wiąże się z tym, że nie grozi mi wylanie z pracy, takie odnoszę wrażenie. A może z tym, co zrobiłam, żeby tę pracę dostać. Otóż nie zrobiłam absolutnie nic: ani żeby ją utrzymać, ani żeby awansować. Lubię tę swobodę, a kupujący mi nie wadzą, byle by tylko za długo nie marudzili.

- To ciężka praca, ale ktoś musi ją wykonywać, prawda?

- Mówię im, że mamy tu komary roznoszące jeszcze nierozpoznane choroby. I aligatory tak wielkie, że mogłyby połknąć psa. Nic ich nie zniechęca. Pałą się do podpisywania umów. Ale ja już nie żyję. Siedzę zakopana po uszy we wspomnieniach i przez połowę czasu spędzanego z Kenem czuję, że go nienawidzę. Tego zmienić nie potrafię.

- No tak, to wszystko razem jest po prostu okropne. - Lissa

zatoczyła ręką szeroki krąg, obejmując nim jacht, zatokę i niebo.

- Ahoj tam na dziobie! - krzyknął Jack. Szedł ku nim

ostrożnie, żeby nie oberwać sztakslem. - A gdzie lunch?

Zakotwiczyli w Manatee Pocket i tam zjedli kupione w de-likatesach kanapki i sałatkę z ziemniaków. Potem Ken i Jack wskoczyli do wody, żeby się ochłodzić. Avery i Lissa sprzątnęły kuchnię i wróciły na dziób. Niedługo potem odpłynęli do Port Salerno.

Zaczęło mocniej wiać. Ken sterował prosto na wiatr, co kwadrans pokrzykując: „Do zwrotu przez sztag!”. Lissa i Avery uskoczyły przed bomem i kurczowo chwyciły się stengi, żeby nie stracił ich za burzę rozpędzony kliwer. W końcu poddały się i zeszły pod pokład.

- Myślę, że Holly się kocha.

- Na poważnie? - spytała wesoło Avery.

- Jestem pewna, że z kimś sypia.

- I pomyśleć, że dopiero co skończyła szkołę średnią.

- Tak, za dwa miesiące idzie do college'u. Wiem, wiem.

Wcale mnie to nie dziwi, tylko że wszystko wygląda inaczej, kiedy chodzi o twoją własną córkę.

- Porozmawiaj z nią.

- Łatwo powiedzieć.

- Bo?

- A twoja matka z tobą rozmawiała? Co ci powiedziała?

- Nic. Lekcje życia pobierałam w Crowfoot Ridge od dzieci

Marshallów. Pewnego razu siedzieliśmy pod drzewem, a od strony łąk nadbiegły jakieś psy i zaczęły się parzyć. Spytałam, co one robią, a Mars odpowiedział, że nie powinno mnie to obchodzić.

- No to dużo się nie dowiedziałaś.

- Czekaj, jeszcze nie skończyłam. Potem Sylva wyjaśniła mi, że te psy robiły dzieci. Kilka dni później zobaczyłam kobietę w ciąży i zapytałam ją, gdzie jej pies. Sądziłam, że do zajścia w ciążę potrzebny jest pies. Kobieta odparła, że pies siedzi

w budzie, i nie mogła się nadziwić, skąd wiem, że w ogóle ma psa. Zobacz, a ja wiedziałam!

Lissa roześmiała się w głos.

- Jeszcze długo potem wierzyłam, że po to, by mieć dzieci, trzeba zatańczyć z psem.

- I nie byłaś daleka od prawdy. - Lissa zataczała się ze śmiechu. - Dla Holly rzeczywistość nie jest aż tak skomplikowana — dodała, wciąż chichocząc.

- Na pewno wszystko będzie dobrze - rzekła Avery. - Ale powinnaś z nią porozmawiać. Dowiedz się, jak bardzo jest zaangażowana. I czego po tym związku oczekuje.

- Wiesz, mam wrażenie, że kiedyś podczas twoich wakacji w górach stało się coś strasznego.

- To było czarodziejskie miejsce. Spędziłam tam najlepsze chwile w życiu. Zakochałam się w górach, w wodospadach, w niezwykłej przyrodzie. Crowfoot Ridge nauczyło mnie najważniejszych lekcji dzieciństwa, czasem bardzo trudnych. Każdą nową myśl, każde bolesne odkrycie i radość dzieliłam z Marsem i Sylwą. I kochałam ich oboje. Całym sercem. A potem wszystko się skończyło. Dobięło kresu. Już nigdy tam nie wróciłam.

- I nigdy nie zapomniałaś?

- Prawdę mówiąc, przez całe lata o Crowfoot Ridge nie myślałam. Ale od tego wypadku... Oberwałam w głowę i widać, coś się w niej oblużowało. Wspomnienie goni za wspomnieniem, zupełnie tak, jakbym oglądała stare filmy.

— Dlaczego tam nie wróciłaś?

- Nie mogłam, to nie wchodziło w grę. - Avery przeniosła wzrok na zatokę. - Kochałam Kena, kiedy za niego wychodziłam, prawda?

— Kiedy byliśmy w college'u, wydawałaś się bardzo zraniona. Myślałam, że go kochasz, ale może go tylko potrzebowałaś? Kochać kogoś to nie to samo, co kogoś potrzebować. Wiesz, że dobry z niego człowiek. Romans to za mało, żeby przekreślić małżeństwo.

- Masz rację. Wiem, że Ken jest i tak lepszy od wielu innych. Ale słyszałam, że przenosi Ginę do jednego z nowych osiedli.

— Poręcznie.

— Uhm, nawet bardzo.

- Nadal twierdzę, że w Crowfoot Ridge niewiele dowiedziałaś się o seksie. - Dla podkreślenia swych słów Lissa szturchnęła Avery łokciem.

- Może nie powiedziałam ci wszystkiego?

#### Rozdział 4

Na grzbiecie jednego z manatów widniały trzy głębokie blizny po ranach od śruby motorówki. Avery poła zwierzęta, lejąc wodę z węża do ich otwartych pysków. Były to słoniatka mętnych wód kanału, jej słoniatka. Skeeter siedział w łodzi, usiłując wypłatać kotwicą „Bald Wind” z pułapki na kraby. Pułapki potrafiły unieruchomić kotwice i zniszczyć burty.

- Myślisz, że trudno by było zakazać używania nieosłoniętych śrub? - spytała Avery.

- Nie, gdyby komuś na tym zależało. Przecież potrafią zakazać wszystkiego innego - odparł Skeeter. Wziął od niej węża i zaczął napełniać wodą dziewięćdziesięciolitrowe baniaki na łodzi. — Ta przeżyła tylko cudem — dodał, wskazując zwierzę pokancerowane długimi, skośnymi bliznami.

Avery wrzuciła kamyczek do wody i przyglądała się kręgom rozplywającym się na jej powierzchni. Jediną wartością stałą jest brak stałości. Wystarczy zakręcić monetą: wiruje, zwalnia, traci rytm, wreszcie pada.

- O czym tak marzysz?

Pytanie wyrwało ją z zadumy.

- Myślałam o tym manacie. Płynie sobie spokojnie tuż pod powierzchnią wody i nagle — łup! — śruba motorówki wrzyna jej się w grzbiet. Okropne. One są takie niewinne. Odpływam myślami, próbuję połączyć rozrzucone kropki: chyba szukam prawdy

- Marzyciele nie wiedzą, co to prawda. Żeby ją poznać, trzeba mieć szeroko otwarte oczy. - Skeeter odwrócił się, chcąc odejść, ale przystanął w pół kroku i dodał: - Idź i sprawdź, co los ma dla ciebie w zanadrzu. - Zostawił ją na przystani i wrócił do ogrodu.

Avery obserwowała manaty. Ślizgały się po falach i nurkowały, potem wyłaniały się na powierzchnię, żeby znowu zanurkować. Zawsze płynęły razem, często się ze sobą stykały.

Trzy długie szramy. Trzy życia zabliznione. Trzy myszki oślepione. Gdzie teraz są?

W jej marzeniach ona i Sylva znowu miały po dziewięć lat i znowu siedziały skulone na schodach w farmerskim domu Marshallów.

- Słyszałeś? - spytała Sylva stojącego w progu kuchni Marsa.

- To tylko psy. - Spojrzał na dziewczynki i podciągnął jedyną część garderoby, jaką miał na sobie: wygniecione spodnie od piżamy.

Ich najmłodszy, zaledwie ośmiomiesięczny braciszek siedział w kojcu przy piecu. Z łazienki na dole dochodziły odgłosy lejącej się z prysznicza wody. Coś huknęło na ganku. Avery przywarła do Sylwy. Usłyszały groźny ryk, psy wpadły w furję.

W progu frontowych drzwi ukazał się niedźwiedź brunatny. Stał na tylnych łapach, niemal zupełnie wypełniając wejście swoim wielkim cielskiem. Pchnął siatkowe drzwiczki, które z impetem wyleciały z zawiasów. Szczątki metalowej siatki i kawałki drewna rozleciały się po całej kuchni. Niedźwiedź opadł na przednie łapy i wszedł do środka.

Przy każdym jego stąpieniu dygotała się podłoga. Avery siedziała jak sparaliżowana i tylko mocniej objęła przyjaciółkę.

Niedźwiedź zrobił dwa wielkie kroki i znalazł się w pokoju. Obrócił się, świńskimi oczkami popatrzył na Marsa, potem



dźwignął łeb i spojrział na dziecko w kojcu. Z jego rozwartego pyska dobywał się urywany, sapiący oddech.

Obnażywszy kły, zwierzę ruszyło powoli w stronę niemowlęcia. Po drodze przewróciło stolik, na którym stał wazon, i przystanęło zdziwione brzękiem szkła. Jego grube, rozedrgane futro wybrzuszało się nad zwałami napiętych mięśni.

Shelby zapłakał.

- Hej, misiu! - wrzasnął Mars, podskakując w miejscu. -

Hop, hop, tutaj! - Zaczął wymachiwać rękami.

Niedźwiedź znajdował się w połowie drogi między Marssem i kojcem. Niespiesznie obwąchał rozbite szkło, dotknął łapą przewróconego stolika i spojrział na podskakującego chłopca. Stukając pazurami o podłogę, zmęczonym krokiem ruszył do kuchni.

Avery zerwała się ze schodów, przebiegła przez pokój, porwała Shelby'ego z kojca i czym prędzej wróciła do Sylvy.

Obserwując ją, niedźwiedź odepchnął się od podłogi przednimi łapami i stanął na tylnych. Ryknął. Avery przeszył dreszcz strachu: przeszedł po krzyżu i zagnieździł się w gardle, dławiąc krzyk.

Kiedy niedźwiedź opadł na cztery łapy, w oknach zadzwoniły szyby.

W łazience ustał szum wody.

To wysuwając, to znów cofając głowę, niedźwiedź zmierzał ociężale w stronę Marsa. Kiedy przechodził obok schodów, Avery poczuła straszny odór śmierci.

- Mars, uciekaj! - krzyknęła Sylva. - Tato! Tato!

Mars wpadł do kuchni. Sylva wzięła dziecko od Avery.

Niedźwiedź puścił się za uciekającym chłopcem z zadziwiająco dużą szybkością.

Mars wydał z siebie mrozący krew w żyłach skowyt. Z łazienki wypadł ociekający wodą Hunter. Zdążył tylko owinąć biodra ręcznikiem.

- Co się stało? — rzucił, spojrzawszy na siedzące na schodach dziewczynki.

- W kuchni jest niedźwiedź! - krzyknęła Sylva. - Goni

Hunter chwycił z półki strzelbę i dwoma wielkimi susami wbiegł do kuchni.

Wypalił.

Huk wystrzału odbijał się w głowie Avery głośnym echem. Usłyszała nieziemski ryk, straszliwy warkot i poczuła, że włoski na karku ze strachu stają jej dęba. Niedźwiedź miotał się między meblami, obijał się o nie, przewracał krzesła. Hunter oddał następny strzał i zwierzę wreszcie runął. Dom zadrżał w posadach. Na

schody wypełził zapach prochu.

Mars umilkł.

Shelby skulił się w ramionach Sylvy.

Avery zeszła ostrożnie na dół i zajrzała do kuchni. Wszystkich uciszyła potworna trwoga.

Leżącym na podłodze niedźwiedziem wstrząsały drgawki. Krzesła i ściana przy lodówce były zbryzgane krwią, fragmentami zwierzęcego mózgu i drobnymi odłamkami kości.

Mars leżał na górnych szafkach, przywierając plecami do ściany. Mocno broczył z rany na boku. Oczy miał szkliste, twarz pobladła. Krew kapiała na blat i ściekała po drzwiczkach dolnych szafek.

Hunter odłożył strzelbę. Chwytał krzesło i wszedł na kuchenny blat. Wziął Marsa na ręce i zszedł po krzesła na podłogę. Zaniósł syna na sofę, wokół której natychmiast zebrała się przerażona rodzina.

- Wayne! - krzyknął. - Podprowadź furgonetkę tyłem do drzwi! Kitty, przynieś ubranie! Sylva, daj koc! Charlotte, biegnij po Maca! Chłopak wykrwawi się na śmierć!

Sylva oddała małego Avery i pędem puściła się na górę.

Charlotte wybiegła przez wyłamane drzwi.

Matka Sylvy podała Hunterowi ubranie i pochyliła się nad synem. Krew tryskała z niego jak z pompy. Hunter naciągał spodnie, tymczasem Sylva pomagała Kitty\* zawinąć Marsa w koc.

Koc szybko zrobił się czerwony.

Hunter podniósł Marsa i przeszedł na bosaka przez podłogę zasypaną odłamkami szkła i drzazgami z rozlupanych drzwi.

Trzymając syna w ramionach, wślizgnął się do szoferki. Wayne ruszył z piskiem opon.

Avery nie wierzyła, żeby ktoś, kto zalał krwią kuchenne szafki i przemoczył koc, miał szansę przeżycia.

Chwilę później zjawili się Mac i jej ojciec. W kufrze furgonetki siedzieli Adam i Charlotte.

- Boże drogi — jęknął ojciec na widok martwego

niedźwiedzia, czerwonej podłogi i ściekającej z szafek krwi.

Wypędził Sylwę i Avery z kuchni, ale i tak wszystko widziały

z korytarza.

Adam, Mac i Baldwin związali zwierzę sznurem i wywlekli je na ganek. Po opuszczonej klapie wtaszczyli niedźwiedzia do auta i odjechali. Tym razem Adam siedział z przodu, między ojcem Avery i Makiem.

Charlotte wycierała podłogę w kuchni mokrym mopem. Chwiała się, nogi miała jak z waty.

Kitty weszła na stół, żeby zetrzeć krew z górnej szafki. Odłożyła strzelbę na półkę w korytarzu i zmyła kuchenne blaty.

Jeszcze wiele godzin później Avery czuła się rozbita, jak po zderzeniu ze słoniem. Wraz z Sywą doszły do

wniosku, że Mars pewnie nie żyje, w przeciwnym razie już dawno byłby z powrotem. Czekwały, chodziły po łące, lecz najczęściej patrzyły na drogę.

Wyciągnęły na dwór zniszczone siatkowe drzwi, wymiotły kawałki drewna z pokoju.

Nerwowo krążyły po ganku.

Potem usiadły na schodkach i obserwowały kolibra unoszącego się nad kapryfolium.

Wyczekiwały.

- Kocham cię bardziej niż kogokolwiek w świecie - powie-

działa Avery. - Bardziej niż gdybyś była moją rodzoną siostrą.

- Jesteśmy więcej niż rodzonymi siostrami - szepnęła Syl-

va. - Jesteśmy przyjaciółkami. Nie może być nic lepszego.

Avery pamiętała dzień, w którym Hunter zabił jelenia. Widziała, jak opuszczano do ziemi trumnę ze zwłokami babci. Wiedziała, że gdy ktoś umiera, odchodzi na zawsze.

Dławił ją strach.

Mars i Sylva byli jej najlepszymi przyjaciółmi. Bardzo ich kochała.

Nie powiedziała nic więcej. Nie odrywała oczu od drogi.

Wciąż czekała.

Dużo później Wayne skręcił na podjazd, ostrożnie podjechał pod dom i zatrzymał wóz. Hunter z Marsem na rękach od razu wszedł do środka i bez słowa zaniósł syna do jego pokoju. Za nim szła Kitty.

Avery i Sylva nie odrywały oczu od opustoszałych schodów.

- Możemy tam pójść? — spytała Avery.

- Lepiej poczekajmy - odparła Sylva.

Wreszcie Hunter zszedł na dół.

- Założyli mu ponad sto szwów — powiedział. — Będzie żył.

Sylva i Avery odetchnęły z ulgą.

Z górnej półki regału Hunter zdjął słoje z przezroczystym płynem i pociągnął z niego duży łyk. Potem wsiadł do półciężarówki i odjechał.

Wayne zajrzał na ganek, sprawdził, czy da się nareperować drzwi, po czym wyniósł do stodoły to, co z nich zostało.

- Przyjechał twój tata - szepnęła Sylva, widząc samochód

Baldwina.

Ojciec Avery podszedł do ganku i zawołał córkę. Stała w drzwiach.

- Co z Marssem? - zapytał.

Powiedziała mu o szwach.

- Chodź, Pączulinko. Przegapiliśmy obiad, ale Neco-wee coś nam przygotowała.

Avery mocno uścisnęła Sylwę.

- Zanieś Marsowi jedzenie - rzuciła na pożegnanie. - Może trochę zupy?

Parę dni później Wayne poprosił Avery i Sylwę, żeby zastąpiły Marsa i pomogły mu zrobić porządek z marychą, którą powiązał w pęczki i ususzył w stodole. Odcinały suche liście od łodyg, miażdżyły je w palcach nad torebkami śniadaniowymi z plastikowej folii, wybierały nasiona i wrzucały je do słoika. Praca była

zmuśna, mdlały od niej palce, lecz dziewczynki na to nie zważały. Zarobione pieniądze oddały Marsowi.

Gdy Mars poczuł się lepiej, rodzice Avery zabrali wszystkie dzieci do rezerwatu Czirokezów. Był to chyba najgorętszy dzień w dziejach ludzkości. Upał jątrzył Marsowi rany, ale on za nic nie zrezygnowałby z wycieczki. W sklepikach rezerwatu można było kupić plastikowe tomahawki ozdobione piórami, mokasyńny wyszywane na palcach koralikami, łuki i strzały. Rezerwatem zarządzali sami Czirokezi. Avery błysnęła wówczas myśl, że Indianie mogliby pokazywać turystom prawdziwszy obraz swego życia. Rozgrzana droga paliła ją w stopy przez podeszwy sandałów i Avery marzyła jedynie o tym, by czym prędzej wrócić do domu i wypić pięć litrów lemoniady.

Wracając do samochodu, natknęli się na klatkę. Sylva zobaczyła ją pierwsza. Odskoczyła. Z głośnym świstem wciągnęła powietrze i przytrzymała przyjaciółkę. Potrząsając olbrzymim łbem, na pręty klatki napierał czarny niedźwiedź.

Mars o mało nie zemdlął.

Po powrocie do Crowfoot Ridge ojciec Avery wysadził ich na farmie Marshallów. Mars wszedł do bawialni i nagle stanął jak wryty. Dziewczynki natychmiast doń podbiegły. Chłopiec wyciągnął rękę w stronę ściany. Wisiała tam kosmata, szeroko rozpostarta skóra ogromnego niedźwiedzia. Nie brakowało w niej ani małych oczu, ani wielkich pazurów.

Mars cały zwiotczał i szybko odwrócił wzrok.

Czyżby przez resztę życia miał oglądać niedźwiedzia, który omal go nie zabił? Avery nie potrafiła sobie wyobrazić niczego potwor-niejszego. Mars nie powiedział ani słowa. Poszły za nim na górę.

- Jak tata mógł coś takiego zrobić? — spytała Sylva.

- Fakt, to nie jest najlepszy pomysł — przyznała Avery.

- Nie szkodzi - odparł Mars. - Ta skóra to kolejny dowód

na to, jaki jest prawdziwy charakter Huntera.

- Nikt z nas nie chce oglądać tego paskudztwa na ścianie -

oświadczyła Sylva.

- To dom Huntera i jego niedźwiedź - odrzekł Mars z bezradną miną. - Chcę tylko szybko dorosnąć i dać stąd nogę.

Avery życzyła mu w duchu, żeby czas przyspieszył bieg. Tu, na farmie Crowfoot Ridge, dorastało się błyskawicznie. Spędzała z Marshallami tylko trzydzieści dni każdego lata i zupełnie nie potrafiła wyobrazić sobie, jakby to było, gdyby mieszkała z nimi po dwanaście przez miesiące kilka lat, rok po roku.

W porze letnich wakacji czas wyraźnie przyspieszał. Pędzili w życie niczym kolejka w wesołym miasteczku, spiesząc się do czegoś, co czekało w oddali. Avery nie wiedziała jednak, do czego.

Avery i Ken wzięli kanapki oraz piwo i poszli na przystań, żeby obejrzeć zachód słońca nad kanałem i pokaz sztucznych ogni z okazji lipcowego Święta Niepodległości.

- Mogliśmy wskoczyć na jacht i podpłynąć bliżej — powiedział Ken.

- Chcesz? - spytała Avery. - Jeszcze zdążymy.

- Nie, za dużo fatygi. Zobaczymy i stąd.

- Wszystko jedno.

- Ostatnio dziwnie się zachowujesz. Co się dzieje?

- Zegar mi się poprzestawiał. Jednego dnia czas stoi w miejscu, innego mknie jak szalony. Od czasu, kiedy zacząłeś tak często nocować poza domem, prawie się nie widzimy. Musimy poważnie porozmawiać.

- Przecież rozmawiamy. Tylko że ja nie mam czasu zamartwiać się nie wiadomo czym.

- Nie powiedziałam, że się zamartwiam. Po prostu... nachodzą mnie różne refleksje.

Objął ją i przytulił.

- Za dużo myślisz.

Zastanawiała się, czy potrafią uratować coś ze swojego życia.

Na ciemnym niebie rozgorzał gigantyczny dmuchawiec z kolorowych świateł. Race szybowały do góry i

rozkwitały, tworząc minigalaktyki.

- Spójrz. Widzisz? Kiedy byłam mała, tata nazywał je

syczawkami. Tak samo jak taką rozczapierzoną błyskawicę. -Oparła się o Kena.

— Twój tata ma dar wymyślania słów. Choćby waszych domowych imion. Adama nazywa Pączkiem, a ciebie Pączulin-ką. Taaa... Zawsze mnie rozśmiesza.

Avery uważała, że jest wręcz odwrotnie, że tata słabo radzi sobie ze słowami.

Wybuchy rac rozpałały noc. Na ziemię spadały czapy rozsy-pujących się i gasnących iskier.

## Rozdział 5

Przez cały sierpień Floryda prażyła się w bezlitosnym słońcu. Avery większość czasu hibernowała w swoim klimatyzowanym legowisku, popijając mrożoną herbatę albo lemoniadę. Skeeter nie pojawiał się od dwóch tygodni. Nie doglądany i spieczony słońcem ogród podupadał. Ken zatrudniał wielu ogrodników, dlatego Avery sądziła, że przeniósł Skeetera do innej pracy. Zaparkowała na podjeździe obok wozu męża, weszła do kuchni i położyła torbę na kuchennym blacie.

- Niewiarygodny upał - rzuciła.

Ken przygotowywał sobie drinka nad zlewem.

- A czego się spodziewałaś? Śniegu? Jest sierpień.

- Dawno nie widziałam Skeetera. Wiesz, gdzie teraz pracu-  
je? - Rozpakowała torbę i ustawiła w szeregu małe białe kube-  
czki z chińszczyzną.

- To ty nic nie wiesz? - spytał Ken. Wziął niską szklanecz-  
kę, napenił ją do połowy szkocką, wrzucił garść lodu. - Stary  
Skeeter nie żyje.

Miała wrażenie, że ktoś uderzył ją w żołądek.

- Umarł? To taki żart? Jak to umarł? Kiedy? Jak? Dlaczego  
mi nie powiedziałaś? - Była jak sparaliżowana.

- Dostaliśmy wiadomość do biura. Chyba zapomniałem ci  
o tym wspomnieć. - Dolał do whisky parę kropli wody i za-  
kręcił szklanką, grzechocząc lodem.

- Zapomniałaś? On naprawdę nie żyje? Skeeter? A ty nic mi

nie powiedziałaś?! To był mój najlepszy przyjaciel! Od lat pracowaliśmy razem w ogrodzie. A tobie nie przyszło do głowy, żeby zawiadomić mnie o jego śmierci? Nie mogę w to uwierzyć. - Oczy Avery wezbrały łzami. Wiadomość o śmierci Skeetera jeszcze do niej nie dotarła, dlatego większe wrażenie zrobiło na niej odkrycie, że ma tak mało wrażliwego męża.

- Przepraszam. — Zajrzał do szklanki, jakby chciał sprawdzić, czy nie utopiła się w niej jakaś mucha. - Zapomniałem.

Nie sądziłem, że tak się tym przejmiesz.

- Że tak się tym przejmę? Ken, Skeeter był moim... Będzie mi go brakować bardziej niż potrafisz to sobie wyobrazić. Ty mnie wcale nie znasz. Nie mogę uwierzyć, że zapomniałeś mi powiedzieć. Kiedy to się stało? Jak umarł?

- Nie wiem, chyba tydzień temu. - Zawahał się i dodał: - Przepraszam, nie pomyślałem. Miałem huk roboty, przygotowywałem bagrowanie kanałów w Palm City i...

- Jak umarł? Na co? Przecież nie chorował. Boże, biedny Skeeter... Co ja bez niego zrobię? - Czują, że narasta w niej gniew. Miała ochotę kopnąć w ścianę. Jak będzie bez niego żyła?

- Nie wiem na co. To nie ja odebrałem telefon.

- Mogłam mu pomóc. Nie wiedziałam, że jest chory, że coś mu dolega. Mogłam coś zrobić. Kto ci o tym powiedział? Kiedy był pogrzeb?

- Dzwonił jego brat. Seminole troszczą się o swoich. Powiedział tylko, że Skeeter umarł, nic więcej. Zresztą, Skeeter był stary. Miał koło siedemdziesiątki. Przyślę ci kogoś do pracy na podwórzu.

- Na podwórzu? Jesteś niewiarygodny. - Złapała go za koszulę na piersi i przyciągnęła do siebie. — Sądzisz, że zależy mi na tym cholernym podwórku? Co ty sobie właściwie myślisz? Nie masz pojęcia, kim on dla mnie był. Najmniejszego pojęcia! - wykrzyczała mu w twarz, tłukąc go pięścią w pierś. Potem odepchnęła go i zaczęła krążyć nerwowo po kuchni, przesuważac

medalik po łańcuszku.

- Najlepiej mnie zbij. Śmiało! - Poprawił koszulę, wygładził ją dłonią. - Bo niby co mogłabyś zrobić?

- Coś! Mogłam mu pomóc. Choćby zawieźć go do lekarza. Pewnie nawet o tym nie pomyślał. Mógł zatrzymać się tutaj. A przynajmniej mogłabym pójść na pogrzeb! Był taki mądry, pełen nadziei. Wiedział wszystko o roślinach, o ziemi, o pogodzie. Był moim pomostem do rzeczywistości, do przeszłości, do wszystkiego, cośmy stracili.

- Chyba powinienem być ci powiedzieć...

Znowu chwyciła go za koszulę i zmięła ją, zaciskając pięści.

- Ty nic z tego nie rozumiesz, co? Nic, a nic! - Mocno nim potrząsnęła. - Nie masz zasranego pojęcia, ile on dla mnie znaczył! - Ken rozlał whisky. - Czy ty w ogóle jesteś czegokolwiek świadomy? - Puściła go i gwałtownie pchnęła.

- Co ty, u licha, wyprawiasz?

- Daj mi święty spokój. - Wybiegła z kuchni. Wpadła do swojego pokoju i zamknęła drzwi. Musiała podlać ogród. Wyszła na dwór, drżącymi rękami nastawiła spryskiwacz i patrzyła, jak zaczyna wirować.

Godzinę później Ken delikatnie zastukał do drzwi.

- Będę jadł. Podgrzać ci coś?

- Nie jestem głodna - odparła. Wciąż była zbyt zszokowana, żeby płakać.

- Wyjdź, Avery, zjedz ze mną. Przepraszam, że ci nie powiedziałem.

Otworzyła drzwi i spojrzała mu w oczy.

- Cholera — mruknęła, przepychając się obok niego. — Nastawię obiad.



Wystawiła talerze, z hukiem zamknęła szafkę. Ken napełnił kieliszek winem i podsunął go jej z niemym pytaniem w oczach. Jakby podawał kość obcemu psu.

- Nie przestaniesz, dopóki wszystkiego nie zniszczysz, co?

- Nie przestanę? — nie zrozumiał; w ustach zagrzechotała mu kostka lodu.

- Niszczyć bagien, wydm, zatok, wszystkiego dookoła. Całej Florydy.

Nie mogła uwierzyć, że Skeeter już nigdy nie przyjdzie do ogrodu, że już nigdy nie przyniesie nowych sadzonek, nie

zacumuje łodzi na przystani. Nie wiedziała, jak sobie bez niego poradzi. Otworzyła pojemniki, wyłożyła oślizgłą chińszczyznę na plastikowe talerze i jeden z nich wstawiła do mikrofalówki.

- Wchodzicie na tereny na zachód od Palm City? - spytała.

— Mamy postawić sześćset domów.

- Skeeter tam mieszkał, na moczarach. Nie możecie ich jakoś ominąć? TLz-wszsz je uwielbiałam. To ostatni skrawek dzikiej przyrody.

- Everglades nic się nie stanie, są pod ochroną. - Dopił whisky, wziął do ust kawałek lodu. Próbował ją zbyć, ale nie spuszczała z niego oczu.

Zadzwoił brzęczyk kuchenki. Avery podała obiad.

— Ludzie nie chcą mieszkać na bagnach — powiedział Ken. —

Poprawiamy naturę, stwarzamy warunki do życia...

— Wszystko zniszczyliśmy. Spójrz tylko na Port St. Lucie i na te kopące dymem gipsowe domki. Ich mieszkańcy wyręwiają ostatnie źdźbła prosa krwawego, odławiają ostatnie belony.

Wkrótce nie zostanie tu nic. Koszmar.

- Nieprawda, jest lepiej, niż było. - Obsypał ryżem kurczaka. - Gdyby nie my, nie dałoby się tam mieszkać. Zresztą, na razie mamy kłopoty z pozyskaniem gruntu, dlatego nie ruszyli-

śmy jeszcze z robotą. Nasi prawnicy dopiero pertraktują.

- Przedtem mieszkali tu Seminole, ale to nie oni ścięli pierwszą palmę. - Avery pogrzebała widelcem w ryżu. - Kiedyś kochaliśmy Florydę, pamiętasz? Co się z nami stało?

— Chyba upomniała się o nas rzeczywistość. Dotychczas mieszkała tu garstka Indian, teraz szykujemy domy dla wyżu demograficznego. Zresztą, \*z czegoś trzeba żyć. — Ken wyjął z torby chiński pasztecik i pochłonał go w trzech kęsach.

Na myśl o zmarłym przyjacielu i o Florydzie Aveiy poczuła w sercu bolesne ukłucie. Patrzyła na Kena, jakby widziała go pierwszy raz w życiu. Jak to możliwe, że tak długo się na to godziła? Jak mogła to akceptować, a nawet pracować w jego firmie?

- Nienawidzę tego - powiedziała po długiej chwili milczenia.

— Powinnaś doceniać to, co masz.

— Tak, mama mówi to samo.

Oto siedział przed nią Ken Kessler, mężczyzna, z którym zbyt długo pozostawała w związku małżeńskim, biznesmen odgrywający znaczącą rolę w życiu społecznym środowiska, członek Optymistów, opalony żeglarz i golfista. Jedząc chińsz-czynę, siedział przed nią zupełnie obcy człowiek. Znała tylko jego tajemnicze oczy. Rozpoznawała też rozjaśnione słońcem włosy. I grymas dezaprobaty na ustach. Sprawiał wrażenie człowieka dziwnie lekkomyślnego.

- Dlaczego tak mi się przyglądasz? - Jego głos też zabrzmiał znajomo. — Na co ty narzekasz? Zapewniam ci dom, basen, jacht, samochody...

Chłodne milczenie Avery wyprowadzało go z równowagi. Jej wzrok przenikał go na wylot.

- Na co? — powtórzył bez ciekawości, lekko przekrzywiając głowę.

- A więc to jest twój dom, twój basen i twoja łódź. Dlaczego mnie to nie dziwi? - Odwróciła się, ponieważ i tak już go nie widziała: zniknął w tym bezbarwnym ułamku chwili, kiedy uświadomiła sobie całą prawdę.

- Moje są też kontakty służbowe, przyjaciele od golfa, moje zaangażowanie w ruch Optymistów. To dzięki moim staraniom

zajmujemy odpowiednią pozycję społeczną. To ja zbudowałem połowę domków i mieszkań na tym wybrzeżu. Nie sądzisz, że to się liczy? A ty? Co w to wszystko wniosłaś? Twoim jedynym przyjacielem jest jakiś stary Indianin, stuknięty Seminol...

- Był.

- Był? Co był? - Patrzył na nią tak, jakby rozmawiali o różnych rzeczach.

- Moim jedynym przyjacielem był Skeeter.

Rozpłakała się. Próbował ją objąć, lecz wybiegła z kuchni.

Poszła na przystań, gdzie przesiedziała niemal do rana.

\* \* \*

Kilka dni później wybrała się do jego szałas. Legwan zniknął. Morświn też. Nie było królików. Ani Skeetera. Został

tylko rząderek roślin, które miał zasadzić w jej przydomowym ogrodzie. Szałas powoli ginał wśród dzikiej roślinności, która upominała się o swoje miejsce. Avery wciąż oczekiwała, że Skeeter wyjdzie nagle z gęstwiny albo przycumuje w przystani swoją małą, pyrkającą łódeczkę.

Plakała trzy dni, ale zbierając przygotowane rośliny i prze-nosząc je do samochodu, poczuła, że znowu ma wilgotne oczy. Wiedziała, że Skeeter chciałby, by wzięła sadzonki, ale straciła serce do ogrodu. Nie była pewna, czy cokolwiek tam jeszcze zasadzi. Ten ogród należał do nich, nie do niej.

Jakimś dziwnym trafem ich dziki ogródek stał się sławny. Avery pokazała go kiedyś sąsiadce. Kiedy to było? Dawno, dawno temu. Sąsiadka pracowała w redakcji miejscowej gazety i przyszła kilka dni później, żeby spytać, czy może zrobić zdjęcie ogrodu i napisać

o nim artykuł. Avery wielce zdziwiło, że coś tak prostego i natu-

ralnego może wzbudzić zainteresowanie czytelników, niemniej tak

właśnie było. Wkrótce po ukazaniu się artykułu zaczęli wydzwa-

niać do niej przedstawiciele klubów ogrodniczych, pytając, czy

pozwoli im obejrzeć „dziki” ogród. Zgłosili się też ludzie z pewnej

stacji telewizyjnej - chcieli nakręcić film dla programu poświęco-

nego ogrodnictwu. Przy tego rodzaju okazjach Avery zawsze

zapraszała Skeetera. Znał nazwy wszystkich roślin, ona zaś bała się,

że nie zdoła ich spamiętać. Ubierał się wtedy elegancko, stawał

przed kamerą wyprostowany i szalenie dumny. Nie mogła uwie-

rzyć, że już nigdy go nie zobaczy.

Odszedł, nie wiedząc, jak bardzo ceniła sobie jego przyjaźń — jak mogła do tego dopuścić? Jak to się stało, że nie wyznała mu swoich sekretów, choć był jedynym człowiekiem, któremu mogła całkowicie zaufać. Przepuściła wszystkie okazje. On by ją zrozumiał. Pewnego dnia będzie musiała spojrzeć swojej prawdzie w oczy. Sama. Skeeter wielokrotnie to powtarzał.

\* \* \*

Ken spędzał wieczory na zebraniach w Martin, St. Lucie

1 w Palm Beach. Spotykał się z podwykonawcami, architekta-

mi, projektantami przystani i terenów zielonych. Avery pływała na materacu w basenie, przesiadywała na przystani lub zabijała czas, przedstawiając zraszacz w ogrodzie. Coraz rzadziej zaglądała do biura.

Pojechała obejrzeć nowy teren budowy. Po wielu tygodniach wypalania, karczowania, trzebienia, po miesiącach pracy dźwigów, buldożerów, koparek i bagrownic trzęsawiska przestały istnieć. Ich miejsce zajęły kanały i drogi, niszcząc naturalne środowisko wszystkich zamieszkujących te okolice stworzeń. Avery przyglądała się temu ze łzami w oczach.

Musiała zrobić przynajmniej jedno: przestać uczestniczyć w tym, w czym do tej pory aktywnie brała udział. Postanowiła nie sprzedawać domów, działek, nie odpowiadać na pytania klientów. Już nigdy. Nigdy więcej.

— Wycofuję się — oznajmiła, otwierając korespondencję nad kuchennym blatem.

— Z czego? - spytał Ken.

— Ze wszystkiego. Ze sprzedaży domów. Nie zamierzam popierać waszego programu zagospodarowywania Florydy.

— Ale dlaczego? Jesteś w tym dobra. Dlaczego chcesz to rzucić? Tyle lat miałas tu jak u pana Boga za piecem. Kto, twoim zdaniem, da ci inną pracę? Kto cię teraz zatrudni?

— Już się napracowałam, teraz chcę trochę pożyć.

Patrzyła w oczy obcemu mężczyźnie.

— To znaczy? — spytał. — Co będziesz robiła?

— Co będę robiła? — Przechyliła głowę.

— Tak. Co zrobisz ze swoim życiem?

Czekał na odpowiedź. Pozwoliła mu czekać. Mijały sekundy.

— Jesteś tysiące mil stąd - powiedział.

Skeeter często jej to zarzucał. Mówił o pogodzie, o roślinach, wszystko jedno o czym, a ona go nie słuchała.

— Tysiące mil? — Odwróciła głowę. — Jestem tutaj, kochany.

Tonę.

On włączył telewizor, ona zaczęła przeglądać rachunki. Wpadło jej w ręce zaproszenie na ślub. Rozerwała kopertę.

— Córka Lissy i Jacka wychodzi za mąż — powiedziała.

Usiadła z zaproszeniem w ręku. Przesunęła palcami po wypukłym druku.

Ken oglądał wiadomości. Rozbił się kolejny samolot. Na początku miesiąca w Dallas-Fort Worth katastrofie uległa jedna z maszyn Deltę. Teraz pięciuset siedemnastu pasażerów straciło życie w wypadku samolotowym w Japonii.

- Nie wiedziałam, że w samolocie mieści się aż pięciuset ludzi.

- Pięciuset siedemnastu. Kiedy ślub?

- W przyszłą sobotę. W St. Augustine. Lepiej od razu zarezerwuj hotel. W domu zatrzyma się pewnie tylko rodzina.

- Pospieszyci się, nie sądzisz?

- Lissa z pewnością ma swoje powody.

\*\*\*

Mijał kolejny, ubogi w wydarzenia tydzień. Avery składała i wywoziła z biura swoje rzeczy. W piątek przed południem spakowali walizki.

- Zamówiłeś pokój? - spytała. Ken wkładał do bagażnika kije golfowe. - Nie będziesz miał czasu na grę.

- Jedziemy na trzy dni. W Saw Grass mają dobre pole.

Weszli do domu. W telewizji donoszono o następnej katastrofie lotniczej. Avery zniknęła w sypialni.

- Tragedie zawsze chodzą trójkami — powiedział Ken, gdy ponownie przechodziła przed ekranem telewizora. - Tym razem rozbił się brytyjski czarterowiec. W Manchesterze. Ekspłodował podczas startu.

- Zarezerwowałeś dwa pokoje?

- Chryste, Avery! Przecież jesteśmy małżeństwem, i to od niepamiętnych czasów! Dwa pokoje? Kosztują po sto dolarów za noc!

- Bierzesz mnie za kogoś, na kim cena za ten cholerny pokój zrobi wrażenie. Mieli komplet? - spytała, przeszywając go wzrokiem.

- A skąd, do diabła, mam wiedzieć! Zadzwoń, popro-

siłem o pokój, i już. - Potrząsnął głową. - Nie zamawiałem dwóch pokoi.

- Nie zauważyłeś, że już z tobą nie śpiam?

- Zauważyłem. - Potarł czoło. - Nie martw się, zauważyłem.

- Uznałeś, że w St. Augustine zaczniemy sypiać razem?

- Nie wiem, chyba mi odbiło.

Podeszła do telefonu, zadzwoniła do hotelu i zamówiła jeszcze jeden pokój.

- Mam cię potąd. - Ken wymownie uniósł rękę. - I co teraz zrobimy? Pojedziemy i będziemy udawać, że wszystko jest w najlepszym porządku?

- To ślub Holly. Lissa jest moją przyjaciółką. Ja jadę. Jeśli chcesz, zostań.

- Jack jest moim przyjacielem.

- Wobec tego jedźmy oboje i postarajmy się miło spędzić czas.

- Wolałbym pojechać z kimś, kogo lubię - mruknął.

- Słyszałam. Chcesz zabrać swoją przyjaciółkę? Ją na pewno lubisz.

Przystanął, znieruchomiał.

- Masz mnie za idiotkę?

- Avery, musimy porozmawiać. Musimy temu zaradzić. Nie może tak dalej być.

- Moim zdaniem powinniśmy pomyśleć, jak się z tego

wyplątać.

Podróż do St. Augustine trwała trzy i pół godziny. Przez trzy i pół godziny jechali w przygniatającej ciszy. Avery poddała się tęsknocie za Skeeterem i obserwowała monotony krajobraz.

Na ślubie siedziała u boku męża, udając, że nic między nimi nie zaszło: nie ma to jak pozory wspólnego, zjednoczonego frontu. Wciąż rozmyślała o Echo-li, córce Neco-wee. Dziewczy-na miała egzotyczne imię, ale wszyscy wołali na nią Echo. Aveiy nigdy przedtem nie widziała ślubu. Echo-la przyjaźniła się blisko z Charlottą, siostrą Sylvy, i wyszła za Wayne'a, jej brata. Neco--wee nie kryła niezadowolenia. Ślub był niezwykle i mimo

upływu lat nie zatarł się w pamięci Avery. Kiedy Lissa i Jack prowadzili Holly do pana młodego, ona oczyma wyobraźni widziała Echo-lę: nigdy w życiu nie wiedziała piękniejszej panny młodej.

Echo-la szła z rozpuszczonymi włosami. Opadały jej swo-bodnie na ramiona, przepłatając się ze wstążeczkami spływają-cymi z uwitego z białych kwiatków wianka. Suknia z kremowej skórki przywierała do jej nóg niczym atlas, a na gorsie widniał misterny wzór z koralików. Na smagłej twarzy jaśniały fiołkowe oczy. Była w miękkich, skórzanych mokasynach i szła cichutko, niemal bezszelestnie. Wyglądała jak czirokeska księżniczka.

Z okazji ślubu Neco-wee włożyła elegancką sukienkę i kape-lusz. Avery nigdy przedtem nie widziała jej tak wystrojonej. Ponoć widziała nad Wayne'em czarną chmurę, dlatego uznała, że będzie to złe małżeństwo. Avery podzielała tę opinię. Uważała, że wszyscy, którzy młodych znają, mają te same odczucia. Może nawet i sama Echo? Nie mogła się nadziwić, że mimo to młodzi się pobierają.

Niewyraźnie uśmiechnięty Wayne miał na sobie tandetny garnitur i brudne buty. Jego potargane, sterczące jak strzecha włosy były równie bezbarwne jak jego osobowość. Przez ułamek sekundy Avery widziała nad nim czarną chmurę, o której wspominała Neco-wee, i zrozumiała, że los Wayne'a jest prze-sądzony. Jakże on śmiał wziąć za żonę tak piękną dziewczynę? No i jeszcze się garbił.

Neco-wee chłodziła się tekturowym wachlarzem. Bez skutku.

Echo-la powinna była poślubić Czirokeza, mężczyznę wyso-kiego, prostego jak trzcina i dumnego. Powinna była wyjść za Indianina o oliwkowej skórze i mieć z nim dzieci czystej in-diańskiej krwi. Chłopaka z szopą gęstych czarnych włosów, który tańczyłby z ogniem i pędził na koniu przez śnieżną zadymkę. Takiego, który potrafiłby stanąć na szczycie wodospa-du. I który miałby na imię... na przykład Sterczące Pióro.

Marzenia nie zmieniły rzeczywistości, ale przynajmniej po-zwoliły Avery przetrwać wesele: miała w głowie zupełny mętlik, a jednocześnie postrzegała świat z wyrazistością, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyła.

Sylva i Mars utkali z juty i piór indiańskie łapacze snów. Łapacza snów trzymało się przy łóżku, żeby dobre sny mogły uciec przez oczka w szeroki wszechświat, a złe zatrzymać się na piórach. Przyglądając się ceremonii zaślubin Holly i wiedząc, że jej własne małżeństwo dobiega końca, Avery poczuła dojmujący smutek. Zastanawiała się, czy teraz, dwadzieścia lat później, Echo i Wayne wciąż są razem. Bardzo w to wątpiła.

Połowę drogi powrotnej do Stuart milczała. Ken również.

Śmierć Skeetera jeszcze dobitniej jej uświadomiła, jak bardzo jest źle. Marnowała sobie życie. Nie wiedziała, w którym momencie mogła postąpić inaczej, ale zdawała sobie sprawę, że wybrała niewłaściwą drogę.

W końcu złożyła gazetę, spojrzała na Kena i spytała:

- Chcesz się rozwieść?
- Nie. — Nie odrywał wzroku od jezdni.
- Dlaczego?
- Dlatego.
- Chyba nie chcesz powiedzieć, że jesteś szczęśliwy.
- Ale nie jestem też nieszczęśliwy - odparł. - Nie mam

ochoty przez to przechodzić. Jeśli przeszkadza ci to, że spotykam się z Giną, to przestanę.

- Czy mi przeszkadza? Twój romans ani mi nie przeszkadza, ani mnie nie dziwi. Głupio jest trwać w związku takim jak nasz.
- Nieprawda. Wszystko minie. Zobaczysz.

Czuła się martwa. Zastanawiała się, w jakim stopniu jest to skutek nijakości Kena. A może jej apatia oddziaływała w ten sposób na niego? Był dobrym człowiekiem i zawsze dobrym mężem. To ona się od niego odsunęła. To ona nigdy nie powiedziała mu niczego do końca. Za mało mu z siebie dawała. Któż mógłby go o cokolwiek winić?

Milczała.

- A więc chcesz rozwodu, ponieważ miałem romans?

W łóżku nigdy nie było nam za dobrze. Nie przykładałaś do tego wagi. A ostatnio w ogóle ze sobą nie sypiamy. Nie znam ani jednego choćby samotnego faceta, który by nie miał romansu.

- Samotni faceci mogą sobie robić, co im się żywnie podoba.
- Nie to miałem na myśli. Cholera jasna! Większość moich żonatyh kumpli chodziło na boki. Ich żony również.
- I ponieważ robią to oni, uznałeś, że ty też masz do tego prawo? - Uświadomiła sobie, że znowu mówi nie to, co chciała



mu powiedzieć. - Nieważne. Problem leży w nas samych. Fakt, skończyło się na tym, że szukasz towarzystwa gdzie indziej, ale początek miał miejsce w tobie i we mnie.

- Nie, Avery. Zaczęło się od tego, że nigdy mnie nie kochałaś. - Zerknął na nią i przeniósł wzrok z powrotem na drogę. - Nigdy nie przebolełaś tego swojego chłopaka z dzieciństwa. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co się wtedy stało, ale czuję, że wszystko zaczęło się właśnie tam i że tam się też skończy.

Nawet nie wiedział, jak blisko był prawdy.

- Nieprawda, kochałam cię - odrzekła. - Zaczynając wspólne życie, pragnęliśmy tego samego. Mieliśmy wizje przyszłości, wspólne cele i zainteresowania. Nie wiem, co się stało.

- Już ci mówiłem: nie możesz zapomnieć o tamtym chłopaku.

- Nie myślałam o nim od lat - skłamała. - Po prostu nie wyszło nam, i tyle. Byliśmy za młodzi, zbyt dużo nas dzieliło. Nie mam pojęcia, gdzie on teraz jest ani co robi. Nigdy nie miałam od niego wiadomości. Minęły lata od czasu, kiedy widziałam go ostatni raz. - Wiedziała, że upłynęło ich dokładnie dwadzieścia jeden.

- Co nie znaczy, że o nim zapomniałaś.

- Moja pamięć nie ma nic wspólnego z naszym małżeństwem.

- Żyjesz w całkowitej negacji. Myślisz, że cię nie znam, znam cię aż nadto dobrze. Myślisz, że nie dostrzegam różnicy między kobietą, która mnie toleruje, i kobietą, która jest gotowa zrobić dla mnie wszystko? Być może kiedyś jej nie dostrzegalem, ale na Boga, nie teraz!

- Gina jest gotowa zrobić dla ciebie wszystko?

- Jest we mnie zakochana, a ty nie.
- W takim razie dlaczego nie chcesz rozwodu?
- Bo, niech mnie Bóg ma w opiece, nadal Kocham cię.

I nadal uważam, że jakoś z tego wyjdziemy. Zawsze czułem się za cię odpowiedzialny. I zawsze wierzyłem, że pewnego dnia mnie pokochasz.

- Nie zważaj na mnie. Mamy pewne zobowiązania. Postarajmy się ich dotrzymać i przetrwać następne dwa tygodnie. Wesele się skończyło, ale Jack i Lissa przyjeżdżają do nas na pieczenie ryby.

- Mamy też otwarcie centrum sztuki — dodał. — Obiecałeś przyjść. Wysłałaś im czek?

Kiwnęła głową.

- Wysłałam i pójdę z tobą na otwarcie.

Ich wspólne marzenie nie przepłynęło przez dziurki indiańskiego łapacza snów. Zbyt wiele takich marzeń wędrowało między piórami.

## Rozdział 6

Przy stołach rozstawionych na Hutchinson Island kłębiły się tłumy ludzi; z okazji Święta Pracy jak zawsze zorganizowano festyn połączony z pieczeniem ryby. Ken i Jack poruszali się w gęstym tłumie niczym wytrawni politycy: z uśmiechem ściskali dłonie biznesmenom i wymieniali cmoknięcia z ich żonami.

Nad morzem zbierały się chmury i przysłaniając czyste niebo, wsysały część słonecznego blasku. Na horyzoncie wykwitły równoległe pasma różu i krwistej pomarańczy. Lissa i Avery skryły się przed ludźmi na jednej z zadaszonych ławeczek. Poprzedniego roku obie miały krótkie włosy, teraz obie je zapuszczały, porównywały więc doświadczenia i wymieniały rady.

- Lubię u cię tę długość — mówiła z uśmiechem Lissa — ale powinnaś pomyśleć nad kolorem. Może przyprószyć je srebrem albo dać lekki balejaż? To je trochę ożywi i podkreśli niepokojącą barwę twoich oczu.
- Niepokojącą? Są zielone, i tyle.
- Czasami zielone, czasami niepokojące.

- Wiesz, ślub Holly był naprawdę piękny. Szybko poszło, prawda?
- Wiedziałałam, że się zaangażowała, nie wiedziałam tylko jak bardzo. Była w czwartym miesiącu ciąży. Kiedy do wszystkiego się przyznała, sprawa nabrała rozpędu. Mam nadzieję, że jakoś to będzie.
- Są w sobie zakochani.
- Jak wszyscy w dniu ślubu. - Lissa wytrząsnęła piasek z sandała. - A co nowego u was?
- Zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. Byłoby łatwiej, gdybyśmy się nienawidzili. Niemal marzę o jakiejś awanturze, która pchnęłaby nas do radykalnego rozwiązania. Powiedział, że nigdy go nie kochałam. W przeciwieństwie do Giny.
- No to skończyło się chowanie po kątach. Avery pomachała jednej z sąsiadek.
- Wiedziałałam, że to Giną. I to od dawna. Trudno go winić. Ken uważa, że nigdy nie przestałam kochać Marsa, ale, Lisso, to było sto lat temu! Ken twierdzi, że wypieram się swoich uczuć. Spędziłam z Marsem tylko wakacje: jedne dobre, drugie złe. Znałam go od najwcześniejszego dzieciństwa, ale nasz romans, jeśli można tak nazwać to, co nas łączyło, trwał ledwie dwa miesiące, w dodatku przedzielone roczną rozłąką. Przyznałam, tamte przeżycia trwale mnie naznaczyły, ale z Kenem spędziłam osiemnaście lat!
- Właśnie ta rozłąka mogła sprawić, że twój związek z Marsem przybrał nadnaturalne wymiary, zwłaszcza że byliście naiwnymi nastolatkami i przeżywaliście...
- Szczenięcą miłość. Nic więcej, wierz mi.
- Niemniej ważne jest, jak się to wszystko skończyło. Kiedy

coś się nagle urywa, ustaje, kiedy, bez względu na przyczynę, tego rodzaju układ nie znajduje naturalnego rozwiązania, człowiek zaczyna się wikłać.

- Ten układ został rozwiązany. Wierz mi, że nie znam bardziej ostatecznego rozwiązania niż to, którego doświadczyłam.

- Nie sędę. Nie pierwszy raz o nim rozmawiamy. - Lissa wiedziała o Marsie trochę, ale nie wszystko. Oczywiście nie znała całej, jakże skomplikowanej prawdy.

- Tak, przyznaję, że o nim myślę. Myślę o wakacjach spędzanych w Crowfoot Ridge. Pewnie za dużo. Ale przecież wszyscy wracają myślami do dzieciństwa.

- Zazwyczaj tylko przelotnie.

: - No to ja mam fioła, bo wspomnienia przesuwają mi się przed oczami jak film, i w dzień, i w nocy.

- Nie rozwiązałaś jakiejś sprawy, Avery.

. — Bez wątpienia.

Na scenę weszła kapela country. Głośniki ryknęły tak głośno, że muzyka dotarła pewnie aż na Bahamy. Avery i Lissa nie słyszały własnych myśli i na dalszą rozmowę nie było szans. Podeszli do nich Ken i Jack. Zaczęły się tańce ludowe.

On grał na gitarze, miał nawet swój zespół - powiedziała

Avery.

Po Święcie Pracy widywali się rzadko. Ken zmienił się, chyba stracił nadzieję. Avery przypuszczała, że jego romans nabiera rumieńców, niewykluczone, że pod wpływem nacisków Giny. Pewnego wieczoru postanowili pójść na przystań, żeby porozmawiać. Horyzont ciemnego nieba przecinały błyskawice. Na-deszła pierwsza chłodniejsza noc po sześciu miesiącach długiego, upalnego lata.

- Dobrze, wygrałaś - zaczął Ken. - Skończmy to.

- Myślę, że tak będzie najlepiej.

Pochylił się, oparł łokcie na kolanach i popatrzył na kanał. Na czarnych wodach kołysał się „Bald Wind”.

- Czego ty we mnie tak nienawidzisz?

- Niczego, Ken. Nienawidzę nas, ludzi, jakimi się staliśmy.

Nie mogę ścierpieć siebie za to, przez te wszystkie lata godziłam się na tę dewastację. Uwielbiałam Florydę, urodę jej moczarów i naturalnych kanałów. Przez całe życie widziałam jej piękno, choć czasami jest to piękno, którego trzeba uważnie poszukać. Kiedyś odczuwałeś to samo. Nie zdawałam sobie sprawy, że twoja firma tak bardzo się rozrośnie, że pochłonie tak wielką część naszego życia.

- Nie sądzę, żeby chodziło o moją pracę. Problem polega

na tym, że nie potrafisz oddać się ani mnie, ani naszemu małżeństwu. Ufałem ci, chciałem cię poznać, dowiedzieć się wszystkiego o tobie i twoim życiu. Czasami byłem chyba bardzo blisko, ale ty znowu zaczynałaś wznosić swoje barykady. To, co się tam wtedy stało, musiało być dla ciebie potwornym przeżyciem.

- Wiedziałaś, że coś się stało?

- A jak myślisz? Miałas mnie za głupca, który uwierzy, że cała historia sprowadza się to tego, że jakiś nastoletni wieśniak dał ci kiedyś kosza? Wszyscyśmy to przerabiali, ale większość z nas już dawno o tym zapomniała. Skoro przez tyle lat nie potrafiłaś się przede mną otworzyć, nie otworzysz się już nigdy.

- A więc teraz to moja wina? Twój romans nie ma z tym nic wspólnego, tak?

- Właśnie. Do romansu doszło wyłącznie dlatego, że za-wiedliśmy w małżeństwie. Dlatego proszę bardzo, możesz ubo-rewać nad biedną Florydą, mieszkając w jednym z najładniej-szych florydzkich osiedli, możesz obwiniać mnie o śmierć Skeetera i o to, że zapomniałem ci o tym powiedzieć, możesz obwiniać mnie o złą pogodę, o cokolwiek tylko zechcesz, ale żeby znaleźć odpowiedź na to, co cię dręczy, musisz zajrzeć w głąb siebie.

- Ken, czy coś nas w ogóle łączy? Nie jesteśmy nawet

przyjaciółmi.

- Powinnaś pójść do psychiatry - odrzekł beznamiętnie. -

Prawda jest taka, że choć masz już trzydzieści sześć lat, to nigdy nie dorosłaś.

- Trzydzieści siedem, w grudniu kończę trzydzieści osiem.

Widzisz? Nawet nie wiesz, ile mam lat. - Nagle łzy spłynęły jej po twarzy.

- Pomyliłem się tylko o rok. - Objął ją, utulił i pozwolił się wypłakać.

- Nieważne. Jesteśmy przyjaciółmi. Właśnie dlatego jest nam tak ciężko.

- Mimo to musisz odejść, prawda?

- Strata przyjaciela to wielka tragedia - odparła. Wiedziała o tym jak nikt inny.

Jej rodzice mieszkali w tym samym domu od trzydziestu pięciu lat. Ilekroć podchodziła pod ich drzwi, sztywniały jej ramiona, a kiedy siadywała w bawialni, w której dawniej stała gablotka z nagrodami Adama, czuła się nic niewarta: stawała się dzieckiem drugiej kategorii. Jej paniński pokój, przerebiony teraz na pracownię dekoratora-plastyka, przypominał jej o tym, że kiedyś ją odepchnięto, poniżono, okazano jej dezaprobatę. Ten dom, zdobny w plisowane draperie i dobrane do nich poduchy na kanapie, w kwieciste jedwabie i wyroby pasażowych artystów, był największym koszmarem jej dzieciństwa.

- Odchodzisz od Kena? — spytała matka, szeroko otwierając oczy. — Ależ dlaczego?

- Nie wiem. To już koniec. Cóż więcej można powiedzieć?

- Co ty bez niego zrobisz?

- Chyba będę żyć. Nareszcie zacznę żyć.

- Twoje małżeństwo nie było najgorsze. Ken to wspaniały mąż.

- Wiem, mamo, wiem. Bywają związki gorsze, za to mój okazał się smutny. Muszę być wolna, żeby zacząć żyć po swojemu. Za daleko od siebie odeszliśmy. Takie rzeczy się zdarzają. Kiedyś mieliśmy wspólne cele i wspólne zainteresowa-

nia, ale dziś to już przeszłość. Nie podoba mi się życie w klimatyzowanej iluzji. Ken jest dobrym człowiekiem, to nie jego wina.

- Avery, skąd się to wszystko wzięło?
- Z dawnych czasów, z kłamstw, manipulacji, z utraconej miłości, nadziei i zmarnowanego życia.
- Melodramatyczne bzdury! Musisz zastanowić się nad swoją przyszłością, Avery. Gdzie się teraz podziejiesz? - Matka

nie chciała słyszeć o przeszłości. Chciała ją wymieść spod drzwi, jak naniesiony wiatrem piach.

— Nigdzie. Nie zamierzam nic robić. Narobiłam wystarczająco dużo zła, nie uważasz? Chciałabym wyjechać gdzieś, gdzie jest chłodno. Chcę otworzyć okna. Chcę świeżego powietrza. I już nigdy w życiu nie chcę oglądać buldożerów wysysających życie z tej ziemi. Marzę o tym, żeby wyjechać daleko stąd, gdzie nie znajdzie mnie żaden listonosz.

- Skoro już mówimy o listonoszach, wczoraj przyszedł do ciebie jakiś list. Nie rozumiem. Jak to możliwe, że ktoś pisze do ciebie na ten adres? - Podeszła do biurka, wyjęła z szuflady kopertę i podała ją córce.

Nalepka na odwrocie informowała, że nadawcą jest niejaki lub niejaka D. R. Thronsberry z Brevard w Karolinie Północnej. Avery wystarczył jeden rzut oka, by wiedzieć, że to list od Sylvy.

- Dzięki, mamó. - Wetknęła kopertę do kieszeni. - Myślę, że to od Sylvy Marshall.

— Mój Boże... Tyle lat nie miałaś od niej żadnej wiadomości.

- Tak, tyle lat...

Jak nakazywał obowiązek, cmoknęła matkę w policzek.

Ledwie wyszła za próg, gdy przed dom zajechał wracający z golfa ojciec. Nie mogła nań patrzeć, nie umiała spojrzeć mu w oczy. Nie rozmawiała z nim, nie licząc zwykłej wymiany grzeczności. Pomachała mu, kiedy wysiadał z samochodu.

— Już wracasz, Pączulinko?

— Jak się masz, tatku. Przepraszam, że nie mogę zatrzymać się na dłużej, ale wkrótce się zobaczymy. - Ominęła go spojrzeniem, aż nadto świadoma, że w olśniewającym słońcu Florydy dzieli ich tylko wisząca w powietrzu mgielka. - Jak się grało?

- Świetnie. Świetnie. Zdobyłem siedemdziesiąt siedem punktów. - Pochylił się, żeby na pożegnanie musnąć ustami jej policzek.

Nieprzeczytany list Sylvy żył swoim własnym życiem. Dawał

0       sobie znać, domagał się uwagi. Otworzyła drzwi samochodu  
1       zerknęła na ojca idącego podjazdem do domu. Posunął się, posiwiał, nieco się zgarbił, ale wciąż był wysoki, opalony i smukły. Dobre geny - pomyślała.

- Do zobaczenia, tatku! - zawołała. On nie widział jej, ona nie widziała jego. Zawładnęła nimi szczególna ślepotą, która zostawiała niezabliźnione rany na duszy Avery. Oddalili się od siebie, gdy dotarła do nich namacalna rzeczywistość, gdy przytłoczyła ich swym ciężarem, wypychając oboje poza granice świata, w którym mogli się porozumieć. Avery zastanawiała się, czy ojciec nie umarł w chwili, gdy się przekonał, że nie potrafi jej skutecznie chronić, gdy doszedł do wniosku, że ojcowska miłość nie uleczy jej ran. Dzieląca ich otchłań rozwarła się tak nagle, była tak bezbrzeżna, że znaleźli w niej ukojenie. I pozostali tam na zawsze.

Pojechała nad brzeg oceanu, zaparkowała i otworzyła odręcznie napisany list.

Droga Avery!

Ile to już lat? Znow o tobie myślę, nagle i nieoczekiwanie. Zastanawiam się, jak potoczyło się twoje życie. Kim teraz jesteś. Czym się zajmujesz. Ile masz dzieci. Gdzie mieszkasz. Za kogo wyszłaś za męża. Jak ci się żyje.

Co u mnie? Wszystko po staremu. Jak się pewnie domyślasz, wyszłam za Donalda. Przez kilka lat pracowałam jako sekretarka, potem urodziły się dzieci. Mamy ich troje, dwóch chłopców i dziewczynkę. Są już w zasadzie odchowane. Wieczorami siadujemy na ganku, bujamy się, obserwujemy świetliki i rozmyślamy, czy mogliśmy osiągnąć coś więcej.

Dlaczego do siebie nie pisałyśmy?

Mars ożenił się dziesięć lat temu. Ma syna. Jest stolarzem i nadal grywa po kawiarniach w Asheville. Wyremontował stary magazyn i urządził w nim warsztat. Wybudował też cudowny dom. Rzadko się widzimy.

Co słyhać u Adama? Był moją pierwszą miłością, choć nie taką, którą się dobrze wspomina



Mam nadzieję, że ten list cię odnajdzie. Z drugiej strony, minęło tyle lat... Ale jeśli go dostaniesz, proszę, odpisz. Bardzo mi na tym zależy. Nigdy o tobie nie zapomniałam.

Całuję -

Sylva

Nad plażą krążyły mewy. Na policzkach Avery czuła piekące łzy. Ostatnio szybko się rozklejała. Przeczytała list kilka razy, choć litery rozmazywały się jej przed oczyma.

A więc Syka wyszła za Donalda. To dobrze. Ma troje dzieci. Ani słowem nie napomknęła o Charlotte, Wayne czy Echo. Mars żonaty? Coś boleśnie ukłuło ją w serce. Czego się właściwie spodziewała? W jej wspomnieniach Sylva wciąż miała szesnaście lat, a Mars osiemnaście. Czy jej włosy są nadal gęste, długie i pszenicznie jasne? A jak wygląda Mars? Czy nosi jeszcze dżinsy, buty z cholewkami i długie włosy na modłę lat sześćdziesiątych? W jej wyobrazeniach pozostali niezmienieni, tymczasem Mars dobiegał już czterdziestki. No właśnie: dlaczego do siebie nie pisali? Czas prześlizgnął się im między palcami niby dym.

Ken miał rację. Żyła, wypierając się prawdziwych uczuć.

Późnym wieczorem usiadła w swoim pokoju, żeby odpisać.

Przez godzinę trzymała w ręku pióro, by w końcu stwierdzić, że nie ma Sylvie nic do powiedzenia. Czyżby przestała cokolwiek odczuwać? List przyszedł w najtrudniejszym momencie jej życia, był jak znak od Boga, a ona nie potrafiła napisać choćby jednego słowa.

Musiała spełnić jeszcze jeden obowiązek. Nie znosiła służbowych spotkań. To, że zgodziła się wziąć udział w otwarciu nowego centrum sztuki - albo centrum kultury, bo tak ten ośrodek nazwano - było ostatnią przysługą, jaką wyświadczała Kenowi. Ustalili, że spotkają się tuż przed uroczystością i usiądą razem. Teraz Avery przechadzała się po wystawie

sztuki i rzemiosła Indian, pozdrawiając znajomych skinieniami głowy.

Ken się spóźnił.

Pochyliła się nad lalkami ubranymi w piękne, po mistrzowski uszyte i wierne w każdym szczególe stroje Czirokezów. Największa z lalek miała nie więcej niż dwadzieścia pięć centymetrów wysokości. Avery zadziwił drobnutki, bardzo delikatny wzór wyszyty na miniaturowej koszuli z zamszu. Skóra, z której zrobiono twarze lalek, została dokładnie wypolerowana i zabarwiona tak doskonale, że wyglądała jak naturalna, wręcz żywa. Lalki były piękne, ale ona patrzyła na nie z wyrazem twarzy, z jakim ludzie przyglądają się ulicznemu wypadkowi. Dławiło ją w gardle. Zziębły jej ręce, pierś rozsadzał pierwotny strach. Czuła, że cała drży.

- Avery, już wpół do siódmej. Myrtle Talkathon zaraz

zacznie. — Zza pleców dobiegł ją głos Kena. — Co się stało?

Wołam cię trzeci raz.

Odwróciła się.

- Nie słyszałam.
- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.
- Nic mi nie jest.
- Weź się w garść, wróć do rzeczywistości.

Ruszyli do holu.

- Nie pouczaj mnie, jak mam się zachowywać — odparła.

Wyprostowała się. Miejsce wewnętrznego chłodu zajął niesmak.

I złość. O jeden obowiązek za dużo.

- Po prostu zachowuj się normalnie.
- Co mam robić? Więcej mówić? - W jej głosie zabrzmiała nutka tłumionego gniewu, który w każdej chwili groził wybuchem.

Ken tego nie zauważył.

- Tak, więcej mów. Bądź towarzyska, pokręć się trochę między ludźmi.

Usiedli na swoich miejscach. Dyrektorka centrum, kobieta, która na propagowaniu sztuki zrobiła karierę, już rozpoczęła przemówienie.

- ...i tak, dzisiaj, dwudziestego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku, zebraliśmy się tu z dumą, by uroczyście otworzyć nowe centrum kultury. Pragniemy podziękować firmie Kessler Properties za działkę pod budowę ośrodka, jak również za fachowo wykonany i w terminie oddany obiekt.

Ken Kessler! - Rozległy się brawa.

- Chwileczkę - powiedziała Avery na tyle głośno, żeby wszyscy ją usłyszeli. — Pani dyrektor, nie widzę tu kamieniarzy, stolarzy, malarzy, hydraulików czy choćby elektryków. Czyżby nie zostali

zaproszeni? Nie uważa pani, że ten ośrodek jest przede wszystkim ich osiągnięciem? A ta wystawa? Nie widzę tu ani jednego indiańskiego artysty. Ba! nie widzę tu ani jednego Indianina czy przedstawiciela innych grup etnicznych. Na sali nie ma ani jednego kolorowego. Przyszliśmy tu na uroczyste otwarcie ośrodka kultury, prawda? Czyżbyśmy mieli oklaskiwać nieudaną architekturę na tle krajobrazu pozbawionego typowej dla Florydy roślinności?

- Proszę darować, ale obowiązuje nas ustalony program...

- Och, najmocniej przepraszam. - Avery posłała Kenowi wdzięczny uśmiech. Miał taką minę, jakby wolał znaleźć się teraz na dnie sadzawki pełnej aligatorów.

Przemówienie trwało kilka minut.

- Pozwolą państwo, że odczytam nazwiska tych, którzy przekazali nam szczodre darowizny. Pan Adam Baldwin z małżonką, pan...

Podczas gdy zebrani bili brawo na cześć rodziców Avery, Ken syknął:

- Co ty wyrabiasz?

- Więcej mówię, sam tego chciałeś.

- To lepiej milcz.

Padły kolejne nazwiska i wreszcie:

- Państwo Ken i Avery Kesslerowie, sponsorzy i przyjaciele centrum...

Burza oklasków.

- Przepraszam panią - odezwała się Avery. - Obawiam się, że zaszła jakaś pomyłka. Darowizna została przekazana w imieniu pana Osceola Oscepee, nie w naszym.

- Poprawimy to później, bardzo pani dziękuję.

Wyraźnie zbita z tropu dyrektorka odczytała nazwiska pozo-stałych darczyńców, z których każdy złożył darowiznę, żeby odpisać ją sobie od podatku.

- Zadowolony, kochanie? — spytała Avery.
- Przekazałaś pieniądze w imieniu Skeetera?

Przyłożyła palec do ust, żeby go uciszyć. Patrzył na nią gniewnie i chłodno zarazem.

Kiedy skończyła się część oficjalna, Avery wyslizgnęła się z sali, a Ken wdał się w rozmowę ze swoimi wspólnikami. Podeszła do baru i wzięła kieliszek wina.

- Co to wszystko miało znaczyć? - zapytała ją matka. -

Zachowałaś się niegrzecznie, postawiłaś Kena w niezręcznej sytuacji.

- Powinam mieć więcej oleju w głowie, prawda?
- Ludzie powiedzą, że chowałaś się na ulicy.
- Dobraliście się z Kenem jak w korcu maku. Zależy wam

tylko na tym, co powiedzą ludzie.

Po drugiej stronie sali Giną przyparła Kena do muru. Sprawiali wrażenie pochłoniętych żarliwą dyskusją. Oboje trzy-mali kieliszki z winem, on nerwowo rozglądał się dokoła. Avery przebiła się przez tłum gości i stanęła tuż przy nich. We fluorescencyjnym świetle żarówek kruczoczarne włosy dziewczyny miały niebieskawy odcień.

- Avery, to jest Giną - powiedział spięty Ken.
  - Wiem, kim ona jest, kochanie. Jak się masz, Gino -
- odrzekła Avery z uśmiechem.

Ktoś potracił Kena. Jego wino chlusnęło na bluzkę Giny.

- Cholera jasna! - Ken odwrócił się do skruszonego męż-  
czyzny, który już osuszał płamę na bluzce jego kochanki.
- Przepraszam, tak mi przykro, najmocniej przepraszam...

Mina Giny wynagrodziła Avery wysiłek, który podjęła, żeby przyjść na otwarcie centrum.

- Wychodzę — rzuciła. — Z przyjemnością się dzisiaj socja-  
lizowałam.

Ken Łypnął na nią spode łba i syknął:

- Mam dziś spotkanie w Palm Beach.

Avery dopiła wino i nie wiadomo czemu odparła:

— Kowbojki zabijają Indian.

Ken oniemiał.

Pomachała rodzicom i wyszła z tajemniczym, by nie rzec wzgardliwym, uśmiechem na ustach. i  
Nareszcie wolna.

## Rozdział 7

Listy leżały w pudełku po butach wraz z medalami, które zdobyła na szkolnych zawodach pływackich, i serwetką z dawno już zapomnianej prywatki. Spinająca je gumka rozpadła się przy pierwszym dotknięciu. Avery usiadła na podłodze, żeby sobie przypomnieć, o czym Mars i Sylva pisali przed dwudziestoma laty. Nie wiedziała nawet, że zachowała ich listy. Pierwszy, który otworzyła, był od Marsa. Wypadła z niego gałązka wroniej łapki, teraz już brunatna i krucha. List był pisany drukowanymi literami.

Kochana Avery!

Zachowaj tę gałązkę. Przyniesie ci szczęście.

Ucałowania, Mars

Wronia łapka zielona

Zapewni ci dobry los.

Znajdziesz ją w lesie,

Schowaj w życia trzos.

Złożyła list i wraz z brunatną gałązką wsunęła do koperty. Następny był od Sylvy. Pisany ołówkiem, dziecięcym, drukowanym pismem, przez lata zdążył zblaknąć.

Kochana Avery!

Cały czas opiekuje się Shelbym. Brakuje mi szkoły, ale boje się, że nie pozwolą mi do niej wrucić, a na pewno nie trafię już do

swojej klasy. Franklin zginął na wojnie. Przysłali nam jego ciało. Pochowaliśmy go przy kościele.

Jak się czujesz boja dobrze. Czy dalej pływasz. Czy przyjedziesz do nas na lato. Chce ci zobaczyć. Moja siostra Charlotte chciała się zabić. Podcięła sobie rzyły i zaląła krwiom cały dom. Wayne zawiós ją na zszywanie. Teraz Charlotte mieszka w przyczepie w Brevard z jakimś Wileym. Pan Mac poszet do więzienia, bo ściogął majtki małym dziewczynkom. Tatuś jednej z nich mocno się wkużył. Nazwali go zboczeńcem.

Kiedys czytała ten list, myśląc, że omal nie spotkał jej ten los. Powinna była być mądrzejsza. Powinna była komuś powiedzieć. Mogła tego drania powstrzymać już przed wielu laty. Ilu dziewczynkom to zrobił? Popadła w zadumę. Pustkę w sercu wypełniło poczucie winy. Nie powinna była milczeć. Chroniła go, chroniła zboczeńca napastującego dzieci, myśląc, że chroni przyjaciela taty.

Biedna Sylva, miała takie tragiczne dzieciństwo. Wszystko ją raniło. Wszystko i wszyscy. Avery nie pamiętała już, które lato było które. Będąc dzieckiem, nigdy nie wiedziała, w co wierzyć. Dom Marshallów

był mały i zatłoczony. Niczym łęgowsko.

W dużym domu, w którym wzrastała, legło się tylko od-osobnienie.

Siedziała na podłodze z listem na kolanach. Przypomniała sobie trumnę, którą zrobił Mars, żeby pochować dziecko Charlotte. Umiał zrobić tyle rzeczy... Pozwolił jej szlifować ją papierem ściernym. Nie wierzyła, że pochowają dziecko na podwórzu, ale tak właśnie się stało. Pogrzebali je tuż obok miejsca, gdzie wiele lat wcześniej zakopali zastrzelonego przez Huntera jelenia i gdzie rosły krzaczki marihuany.

Chciała odnaleźć na kopercie datę stempla pocztowego, ale tusz już wyblakł. Pamiętała też śmierć maleńkiej Janie. Wayne niósł trumnę aż na skraj łąki. Za nim szła rodzina Marshallów. Wayne i Echo z rozpuszczonymi do pasa włosami. Hunter, kaznodzieja i powłócząca nogami Kitty z bukiecikiem stokrotka. Avery z Sylwą, trzymając się za ręce. Mars z Shelbym. Maszerowali przez łąkę jak nakręcane zabawki.

Na twarzy Charlotte odcisnęły się niespełnione marzenia. Mars stał przy Avery. Wśród oceanu głupoty i ułudy jego oczy błyszczały zdrową normalnością. We wczesnym dzieciństwie Avery zazdrościła rodzinie Marshallów. Zazdrościła im farmy, zwierząt, życia pośród magicznych gór, suchych jesiennych liści i wiosennych kwiatów. No i mieli też siebie. Czy aby naprawdę? Mars był zupełnie sam. Sylva również. Echo wniosła do rodziny indiańską krew. Czy słyszała głosy pradawnych duchów? Czy jej schedą była samotność? Czy pokornie uległa smutkowi i zносиła go ze stoickim spokojem?

Na pogrzebie matka Sylvy źle się poczuła. Miała kruchą twarz, pobrużdżoną przez starość, nieudane życiowe decyzje, zmęczenie i porażki. Oddychała płytko i ze świstem. Hunter i Wayne stali sztywno jak kołki w płocie. Zdławiwszy w sobie wszelkie emocje, za bardzo zobojętnieli, by odczuwać wstyd. Natomiast Sylva tkwiła w potrzasku życia swych pechowych wyborów.

Kiedy kaznodzieja skończył się modlić, Wayne wziął łopatę, nabrał ziemi i wrzucił ją do wykopanego dołu. Grudy zadudniły o wieko trumny. Był to odgłos obwieszczający nieodwracalną stratę.

Po pogrzebie cała rodzina wyległa na ganek, jakby za chwilę miały się rozpocząć zawody w rzucie końską podkową. Długo patrzyli na łąkę. Charlotte przykłękała na końcu trawnika. Zakołysała się, potem legła tuż przy świeżym grobie. Jej potargane kasztanowe włosy lśniły w bursztynowych promieniach zachodzącego słońca. Raptem zaczęła się posypywać garściami ziemi, stokrotka i mleczków, zaczęła rozdrapywać ziemię paznokciami. Gasnące światło dnia zmącił jej jęk, potem przeraźliwy pisk. Usiadła, jęła rozkopywać grób, nagle zerwała się na równe nogi, krzycząc, przedarła się przez drzewka laurowe, zbiegła ze wzgórza w gęstniejący mrok i popędziła w stronę lasu. Wayne puścił się w pogoń. Biel jego koszuli błyskała na tle ciemności niczym rozkołysana latarnia na miotanym gniewnymi falami statku.

Któregoś roku Mars i Sylva dzielili piętro z dziadkiem Marshallów. Dziadek miał starą destylarnię w górach; Sylva poka-

zała ją kiedyś Avery. Gdy zmarł, zostawił w spadku Marsowi kolekcję wyrobów stolarskich i stare bandzo. A może gitarę? Nie, gitara była Franklina. Echo i Wayne'owi urodziło się drugie dziecko; nazwali je Bobby. Postawili na farmie przyczepę i zamieszkali w niej we trójkę. Avery nie pamiętała, kiedy.

Wspomnienia się wymieszały.

Jej uwagę przykuły wiadomości telewizyjne. Poprzedniej nocy Mexico City nawiedziło trzęsienie ziemi. Na ekranie migały obrazy zniszczeń. Część miasta zniknęła, zginęły setki ludzi. Budynki zamieniły się w stosy kamieni. Życie ludzkie, jeszcze wczoraj normalne i bezpieczne, zawisło w próżni. Ziemia, która dotąd była

opoką, stała się źródłem śmiertelnego niebezpieczeństwa.

- Avery? - spytał Ken od drzwi. - Ciężarówka już była?

- Nie, przepraszam. Nie słyszałam, jak wchodzisz. — Złożyła list i schowała go do pudełka wraz z innymi. Otarła łzy. Skąd się wzięły?

- Co ci jest?

- Nic, po prostu... Chodzi o... o to wszystko. - Zatoczyła ręką łuk, wskazując pudła, bałagan w domu i w pokoju. Wyłączyła telewizor. - Tak, byli tu, przyjechali po meble, które chciałeś przewieźć do nowego mieszkania... — Znowu zapiekły ją oczy. Przycisnęła do nich chusteczkę.

Ken objął ją i przytulił. Rozluźniła się i mocno do niego przywarła.

- Boże, Avery, będzie mi ciebie brakowało. Staralem się, żeby nasze małżeństwo się udało. Naprawdę się starałem. Wiem, jak bardzo cierpiałaś. Moje ty biedne maleństwo, zawsze byłaś taka zagubiona.

- Przepraszam cię za mój występ w centrum. Nie wiem, co we mnie wstąpiło. Bardzo mi wstyd.

- Niepotrzebnie.

Wtedy rozpląkała się na dobre. Ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebowała, było współczucie. Spojrzała mu w oczy i ujrzała w nich łzy.

- Tak mi przykro, Ken. Tak bardzo mi przykro. Nie powinnam była za ciebie wychodzić... - Urwała, żeby wydmu-

chać nos. - Muszę wziąć świeżą chusteczkę. - Odwróciła się, żeby sięgnąć po pudełko na blacie.

— A to co? — Otarł twarz rękawem. — Chcesz to wszystko oddać na przechowanie?

— Chyba tak. — Wydmuchała nos. — Część przekażę Armii Zbawienia. Boże, właśnie tego mi trzeba: armii, która przyjdzie mnie zbawić. Aha, jeszcze jedno. Zadzwoiłam do pani Tar-

kenson w sprawie tej darowizny. Nie masz nic przeciw temu?

— Że złożyłaś ją w imieniu Skeetera? Ależ skąd. — Uśmiechnęła się i parsknęła śmiechem. - Odnoszę wrażenie, jakbyśmy dzielili nasze dwadzieścia lat. Ty bierzesz rok siedemdziesiąty ósmy, ja osiemdziesiąty drugi.

— Ty wtorek, ja czwartek — szepnęła.

— To okropne. Nie wiem, jak się z tobą pożegnać. Tak długo byłaś moim życiem... Dokąd wyjedziesz? Co będziesz robić? Napiszesz? Zadzwonisz? Odezwiiesz się?

Ugięły się pod nią nogi. Przysiadła na podłodze między pudełkami, obok niej usiadł Ken.

— Będziemy w kontakcie? - powtórzył, biorąc ją za rękę.

— Potrzebuję trochę czasu. Jadę do Karoliny Północnej. Skeeter zawsze powtarzał, że muszę odnaleźć własną prawdę. Teraz już wiem, że nie zaznam spokoju, dopóki nie przestanę jej w sobie dusić. Nic by mi nie pomogło, gdybym wyznała ją tobie. Albo jemu. Muszą ją poznać Mars i Sylva, jeżeli tylko zdołam zebrać się na odwagę, żeby im wszystko opowiedzieć. Chcę ich zobaczyć.

— Avery, co się wtedy stało? Proszę, opowiedz mi.

Potrząsnęła głową.

— Nie chodzi o to, co się wtedy stało, ale o to, co się stało z nami wszystkimi. Podczas tamtych wakacji bardzo się ze sobą zżyliśmy, Mars, Sylva i ja. Jakbyśmy byli duchem na trzech parach nóg. Nie potrafię ci tego opisać. Moi rodzice nie dostrzegali, że dorastamy, Adam i ja. Adam mnie zdradzał, a przynajmniej tak to odbierałam. Nie mogłam się z nim porozumieć, ani z nim, ani z rodzicami, za to doskonale rozumiałam się z Sylwą i Marsem. Fakt, to co nas łączyło, miało

mało szans na przetrwanie, ale wówczas było dla mnie bardzo prawdziwe. — W jej oczach znowu wezbrały



ły. — Kochałam ich całym sercem i raptem mnie stamtąd zabrano. Nie wiedziałam, co się z nimi stało. Nie miałam ich adresów. Skończyły się listy, wiadomości, skończyło się wszystko. Po prostu zniknęli. Możliwe, że i oni bardzo przeżyli tę rozłąkę, że ich to też zabolalo. Nie wiem. Tak czy inaczej, musimy wreszcie stawić temu czoło.

Ken przesunął kciukiem po jej dłoni.

- Dlaczego nie pojechałaś tam wcześniej, przed laty?

Potrząsnęła głową i otarła łzy.

- Muszę pojechać teraz. Przepraszam, że sprawiłam ci ból.

Przed domem rozległ się klakson.

- To Armia Zbawienia — powiedziała Avery. Wstała i wyjęła z kontaktu wtyczkę telewizora. — Niech go zabiorą. Ty wzięłeś sobie ten duży, prawda? Cieszę się, że tu jesteś. Nie oddam im niczego, co chciałbyś zatrzymać.

Weszli tragarze. Ken i Avery wspólnie dyrygowali ostatecznym rozpadem domu. Książki, kilka obrazów, jej płyty i niektóre z kuchennych przedmiotów owinięto w papier i zapakowano. Czekwały na ciężarówkę z przechowalni. W wielkich tekturowych pudłach wisiały ubrania. Ken towarzyszył jej do chwili przyjazdu ciężarówki.

Drobiazgi zapakowała do bagażnika nowego, ledwie półrocznego BMW; Ken nalegał, żeby je zatrzymała. Patrzyła za nim, gdy szedł nad wodę, żeby popatrzeć na pustą przystań, w której przez tyle lat stał „Bald Wind”. Sprzedał go i kupił większą łódź, która cumowała w porcie jachtowym.

Wrócił do domu.

Avery stała w pustym pokoju.

- Jutro przyjdą sprzątaczkę — powiedział. — Położą nową wykładzinę.

- Ile chcesz wziąć za dom?

- Dwieście. Daliśmy za niego czterdzieści dwa tysiące, pamiętasz? Niezły zysk. Podzielimy się pół na pół, zgoda?

- Będzie ci dobrze? Miłe masz mieszkanie?

- Nie, Avery, nie będzie mi dobrze. Będę za tobą tęsknił całym sercem. Cholera, Kocham cię i nie mam pojęcia, co zrobić, żeby przestać.

- Ja też cię Kocham, Ken. Byłeś dla mnie dobry, zasłużyłeś na lepszy los.

- Uważaj na siebie. - Objął ją, przytulił i długo trzymał w uścisku. — Cóż, kochanie, to chyba wszystko. Resztą zajmą się prawnicy. My swoje skończyliśmy.

Wciąż obejmując Avery ramieniem, odprowadził ją do drzwi. Obróciła się do niego, żeby uścisnąć go ostatni raz. Ucałował jej czoło i oczy.

Ujęła jego twarz w dłonie.

- Niech ci będzie dobrze - szepnęła. - Odezwę się.

Odprowadził ją wzrokiem.

Wycofywała samochód, tak oślepią łzami, że robiła to na pamięć, nie widząc krawężnika. Minęła kilka uliczek, budynek, który przez tyle lat służył jej za biuro, przed czymś domem ujrzała ogrodnika wyrrywającego chwasty z żywopłotu.

Skręciła na północ i wjechała na autostradę 1-95.

## Część druga

### Rozdział 8

Gdyby kierować się tym, ilu osobom na jej widok ciekła ślinka, można by sądzić, że w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku Sylva była dojrzałą, pokrytą puszką brzoskwinia, gdy zupełnie nieoczekiwanie zaczął się za nią uganiać Adam. Dotychczas, przez wszystkie spędzane z rodziną wakacje, nie zważał ani na Sylwę, ani na Marsa, ani na Avery. Chodził z ojcem łowić pstrągi, a rozsmakowawszy się w golfie, całe dni spędzał z nim na okolicznych polach golfowych. Ale tamtego lata kompletnie stracił zainteresowanie i wędkowaniem, i gol-fem. Zapomniał nawet o swoich dziewczynach, które zostały w domu.

— Przeszkadzasz nam — powtarzała mu Avery. — Dlaczego nie zostawisz nas samych? Wszędzie za nami łazisz, nie masz nic lepszego do roboty?

Sylva patrzyła na niego maślanym wzrokiem.

- Mnie on nie przeszkadza...

Chryste. Avery dokładnie wiedziała, dokąd to wszystko zmierza. I bardzo się jej to nie podobało. Przypuszczała, że Sylva okaże się taka sama jak dziewczęta, które udając, że chcą się z nią zaprzyjaźnić,

próbowały zbliżyć się do brata. Ale nie chodziło wyłącznie o Adama. Odnosiła wrażenie, że i Mars zainteresował się nią tak jakoś inaczej. Działo się coś dziwnego. Zawsze miała fioła na jego punkcie, dlatego cieszyła się, że się koło niej kręci.

Farmę wciąż zarządzał syn Maca. W stajni przybyły dwa nowe konie, Calico i Skunky. Avery doszła do wniosku, że stary Mac nadal siedzi w więzieniu, lecz nic się o tym nie mówiło.

Niemal codziennie jeździli we czworo na konne przejażdżki; Avery, jak dawniej, na Księżycowym Promyku. Tam-tego roku Mars skończył szesnaście lat, Adam siedemnaście. Konie dawały im poczucie wolności, jakiej dotąd nie znali, i w obecności dziewcząt często szarżowali. Zapuszczali się aż na drugą stronę gór, potem zjeżdżali do zalesionej, porośniętej mchem doliny. Wiązali konie do sękatych laurowych drzewek i zsuwali się po skałach, żeby pobaraszkować przy wodospadzie. Wodospad tryskał wodą na wielkie głazy leżące na dnie głębokiego parowu, którego dno porastały kwitnące rododendrony. Nazwali to miejsce AMAS. Wodospad AMAS.

Woda w sadzawce u jego stóp wpływała do strumienia

0 kamienistym dnie i pędziła przed siebie po kamieniach złocistych niczym samorodki, jakby kto ją gonił. Na głazach można było wspaniale odpocząć, dlatego po zabawie w lodowatej toni często na nich siadywali, żeby się ogrzać w słońcu. Neco-wee przyrządzała im lunch: jaja na twardo i kanapki. Jedzenie popijali wodą czerpaną dłońmi ze strumienia.

Adam chciał, żeby rozebrali się do naga i skoczyli na głębinę. Schował się z Marsem za wiszącą skałą. Tam zrzucili ubranie

1 wskoczyli do wody. Sylva i Avery przyglądały się im z zazdrością, zbyt nieśmiało, żeby pójść w ich ślady.

Po dłuższej chwili Sylva oznajmiła:

- Ja się rozbieram.
- Nie, nie możesz...
- Dlaczego? - Ściągnęła bluzkę, rozwiązała długie włosy. -

Chodź.

Avery siedziała na skale, obejmując kolana. Sylva wskoczyła do wody. Nie знаła dna i Avery doszła do wniosku, że za długo nie wypływa.

Wreszcie się wynurzyła, ale ponieważ nie mogła znaleźć

oparcia dla stóp, miotła się w sadzawce, nieprzytomnie mlójąc wodę i raz po raz osuwając się w głębinę.

Avery rzuciła się jej na pomoc. Chociaż nie zdążyła się rozebrać, kilka silnych, pewnych ruchów ramion wystarczyło, by znalazła się obok przyjaciółki. Chwyciła ją, odwróciła na plecy, podtrzymała jej głowę i popłynęła do najbliższych skał.

Adam widział, co się stało: podpłynął do nich i wyciągnął Sylwę na przybrzeżny głaz.

Mars nie umiał pływać, tak samo jak jego siostra, ale zawsze trzymał się miejsc, gdzie mógł sięgnąć dna lub przytrzymać się gałęzi.

Sylwa długo krztusiła się i kaszłała. Adam, który zaliczył kurs pierwszej pomocy, orzekł, że da sobie radę bez sztucznego oddychania.

Avery przyniosła przyjaciółce bluzkę i pomogła jej się ubrać. Sylwa miała mokre szorty i dygotała z zimna, ale poza tym nic jej nie dolegało. Zziębnięta Avery przysiadła w słońcu. Mogła przesiedzieć tak cały dzień, wpatrując się w huczącą między kamieniami wodę. Nigdy nie weszła na szczyt skalnej grani, rzeka więc zaczynała się dla niej tu, w tym miejscu. Królestwo na dnie. Zastanawiała się, czy woda pamięta swoje życie sprzed upadku ze skał. Czy pozostaje ta sama co kiedyś, czy po takim przeżyciu staje się inna? Czy na tym drugim, wyższym brzegu też kwitły rododendrony? Czy rzeka widziała już takie kwiaty? I dokąd się tak spieszy?

Woda zwalniała, wirowała, zawracała pod obłokiem mgły, lecz widać było, że ma nieprzepartą ochotę spłynąć w dół, dać susa, przeskoczyć zwalone pnie drzew, zatańczyć na bystrzynie i rozprysnąć się o głazy. Czy jej podróż zakończy się w jakimś wspaniałym miejscu? Rzeka dobrze wiedziała, że bezruch oznacza porażkę. Gdyby zatrzymać niespokojny pęd życia, sadzawka zamieniłaby się w bajoro.

Avery i Adam zaczęli uczyć pływać Marsa i Sylwę. Niby robili to dla zabawy, ale doskonale zdawali sobie sprawę, jak ważne są ich lekcje. Zresztą Adam zamierzał uczyć Sylwę nie tylko pływania, i wcale tego nie taił. Mars i Avery obserwowali

ich ze skały, potem legli na wznak, żeby przez zielony baldachim popatrzeć na chmury malujące na niebie abstrakcyjny, nieustannie zmieniający się deseń.

Mars milczał chwilę, a potem rzekł:

- Założę się, że tego lata to zrobią.
- Wcale mnie to nie zdziwi - odparła Avery. - Masz coś przeciwko temu?
- Nie moja sprawa. Sylwa jest już duża, może za siebie decydować.
- Myślałam, że go za to zabijesz. Gdybyś spróbował mnie dotknąć, on by cię pewnie zabił.
- Wątpię.

I Avery wiedziała, że Mars ma rację. Adama nic by to nie obeszło.

Kamień był gorący. Mars pochylił się i musnął wargami jej usta. Z jego włosów skapnęły krople lodowatej wody. Dostała gęsiej skórki. Pocałunki sprawiały jej przyjemność, mimo to go odepchnęła.

- Zastanawiałeś się kiedyś, dokąd ta rzeka płynie?
- Nie mam pojęcia. Po prostu płynie, i tyle.
- Może do jakiegoś jeziora? Wyobraź sobie, jaka byłaby wtedy spokojna. Gdyby wpadała do oceanu, zginęłaby tam, przepadła. Ocean by ją pochłonął. Pewnie by się bała.
- Rzeka się nie boi. Istnieje nawet w oceanie. Jest odmieniona, staje się częścią czegoś większego, ale zawsze jest.

Wieczna. Nieskończona.

Avery nie sprawdziła, dokąd płynie rzeka, nie szukała też odpowiedzi na mapie. Słuchała jej szeptu, równie zrozumiałego i czystego jak sama woda, i z zadziwieniem stwierdzała, że ją rozumie.

Pewnego dnia Mars przyniósł ze sobą dłuto i wyrył w kamieniu napis:

Wodospad Amas

Adam, Mars, Avery, Sylva .

Lipiec 1962

Sylva spędzała z Adamem każdą wolną chwilę, w dodatku wolała być z nim sam na sam. Mars miał swoje obowiązki i nieczęsto mógł się od nich oderwać. Dlatego Avery była samotna. Na Florydzie Adam miał tylu kolegów i koleżanek, że nie wiedział, co z nimi zrobić. Nieszczęśliwa i opuszczona, Avery całymi dniami chodziła, kipiąc gniewem. Brat dwa razy w tygodniu jeździł z ojcem na golfa i tylko wtedy miała Sylwę dla siebie. Lecz Adam zdążył mocno nadwerężyć ich przyjaźń. Sylva chciała być wobec niego lojalna i miała się na baczności.

- No i? - zapytała Avery, kiedy pewnego dnia przysiadły

nad strumieniem.

- No i co?

- Jak to co? Nie masz mi nic do powiedzenia?

Sylva zachichotała.

- Mów - nalegała Avery.
- Zrobiliśmy to. Prawie. Adam ci nie mówił?
- A skąd. On ze mną nie rozmawia. No i jak to jest?

Sylva wzruszyła ramionami.

- Nie potrafię ci tego opisać.

Avery pomyślała, że Sylva nie potrafi tego opisać, bo tak naprawdę do niczego między nimi nie doszło.

- A ty? Zrobisz to z Marsem?
- Nie.
- Dlaczego?
- Bo nie.
- Nie chcesz?
- On też nie chce.
- Ja Adama kocham. "Wyjdę za niego za męża. Wiem, że i on mnie kocha. Jest najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek widziałam. I wybrał właśnie mnie.

Avery nie wierzyła w to ani przez chwilę.

- Będziesz musiała długo na niego czekać - odrzekła. -  
W tym roku Adam kończy szkołę, potem idzie na studia. Chce zostać lekarzem i będzie się uczył osiem lat, może nawet więcej. Rodzice nie pozwolą mu się ożenić, dopóki nie zrobi dyplomu.

Sylva jakby jej nie słyszała.

- Jest taki romantyczny - mówiła. - W życiu nie przypuszczałam, że będę mieć takiego chłopaka. Nie uważasz, że jest przystojny?
- Wierz mi, dobrze wiem, jaki on jest. Żyję w jego cieniu, zapomniałaś? — Znała go, mimo to nie rozumiała, co może widzieć w Sylwie. I co by na to powiedziała jego dziewczyna z Florydy? Czują, że Adam nie traktuje Sylvy poważnie.
- On z tobą nie zostanie — powiedziała.
- Zostanie. On mnie kocha.
- Sylva, ty go w ogóle nie znasz. Wiem, jaki on jest. Jeśli z nim nie skończysz, będziesz potem cierpieć.
- Ty się na tym nie znasz, Avery. Nie chcę tego słyszeć.

Jesteś zazdrosna, i tyle.

- Nieprawda - zaperzyła się Avery. - Po pierwsze, jest dla ciebie za stary. Po drugie, ma ambicje naukowe. Po trzecie, w ogóle do siebie nie pasujecie.

- Przestań. Nie chcę tego słuchać. Jesteś zawistna i złośliwa.

- I ma dziewczynę w Stuart.

- A właśnie, że nie ma. Zresztą, na pewno z nią zerwie.

Przestań o tym mówić.

- Sama się przekonasz. — Wiedząc, że przekroczyła pewną granicę, Avery zmieniła temat: - Charlotte wygląda, jakby połknęła arbuza. W całości.

- Niedługo urodzi.

- Nie mogę sobie wyobrazić, jak to może wyjść z brzucha.

Można przy tym umrzeć.

- Nie, to chyba nawet nie za bardzo boli. Zresztą Charlotte rodzi już drugi raz — zauważyła Sylva. — Ja tam bym się bała.

- Ja też.

W końcu matka zorientowała się, że córka nie ma towarzysztwa, i kiedy pewnego razu Avery snuła się po domu, zagadnęła ją, co się dzieje.

- To samo, co zwykle, wszystko przez Adama - odparła

Avery. - Doszedł do wniosku, że w tym roku chce chodzić

z Sylwą, i teraz Sylva spędza z nim każdą chwilę. Myślę, że potem będzie płakać. Już jej to powiedziałam.

- Widzę, że jesteś urażona. Co jej powiedziałaś?

- Ze Adam nie myśli o niej poważnie, że tylko ją wykorzystuje. I że ma tabuny dziewczyn na Florydzie.

- Nie chciała tego słuchać, co?

- Jest na mnie wściekła.

- I król kazał zabić posłańca...

- Kogo? — Avery przekrzywiła głowę.

- To stare porzekadło. Jeśli przynosisz komuś złą wiadomość, ten ktoś traci do ciebie sympatię. Wolałby raczej cię zabić, niż usłyszeć prawdę.

- To najgorsze wakacje w moim życiu. Nigdy nie przypuszczałam, że Sylvie może bardziej zależeć na Adamie niż na mnie. Nie sądziłam, że jest taka jak inne. Myślałam, że na zawsze będziemy przyjaciółkami. Adam nie ma prawa wdzierać się między nas. Wstrętny samolub. A ona się cieszy, jakby ją kto na sto koni wsadził!

- Tak mi przykro. Chcesz, żebym z nim porozmawiała?

- I co by to dało? Jeśli zechcą być razem, to będą. Nic ich od tego nie odwiedzie.

- Chyba masz rację. — Matka popatrzyła na nią smutnym wzrokiem i pogłaskała ją po głowie. — Przykro mi, Avery.

Kiedy po południu Avery weszła do stajni, spotkała w niej Adama. Szczotkował Błyskawicę. Oparła się o ściankę boksu i spojrzała na brata.

- Co się tak gapisz? - Jak lawsze. gniewny.

- Czy ty wiesz, co Sylva do ciebie czuje?

- To żadna tajemnica. Szaleje za mną. - Wiecznie pewny siebie głupek.

- No i?

- No i co?

- Ty za nią nie szalejesz — zauważyła Avery.

- Może trochę - odparł. - Zresztą, co cię to obchodzi?

- Podoba ci się, bo akurat jest pod ręką. Co ty właściwie sobie wyobrażasz?

— Do niczego jej nie zmuszam, sama tego chce.

— Adam, ona ma tylko czternaście lat. - Avery usiadła na furtce boksu Błyskawicy.



- I co z tego? Jak na swój wiek, jest bardzo dojrzała.
- Zastanów się. Ty zostaniesz lekarzem. A ona? Będzie twoją żoną?
- Żoną? A skąd!
- W takim razie powiedz jej to. Choć raz w życiu bądź uczciwy.
- Przecież ona... Chyba nie myśli, że... - Urwał. - Ona nie skończy nawet ogólniaka.
- Właśnie o to chodzi, głupku. To nie jest dziewczyna dla ciebie. A co będzie, jeśli zrobisz jej dziecko?
- A co ty w ogóle o tym wiesz? - Napelniał wiadro wodą.
- Fakt, nie za wiele. Ale wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że strasznie by to przeżyła. - Avery umilkła na chwilę, po czym dodała: - Ty też.
- Do niczego między nami nie doszło.
- Sylva mówiła co innego. Zresztą, doszło, nie doszło, moim zdaniem to tylko kwestia czasu. Myślałam, że do tego nie dopuści, ale tak za tobą szaleje, że chyba muszę pożegnać się z nadzieją. Na dodatek ubzdurzyła sobie, że będziesz jej chłopakiem po wieki wieków. Śmiertelnie mnie to przeraża. Adam, to prosta, wiejska dziewczyna. Nie ma takich możliwości jak ty.
- Myślałem, że ją lubisz.
- Bo lubię. Mówię prawdę, co wcale nie znaczy, że jej nie lubię. Akceptuję ją taką, jaką jest.
- Nie mam z tym nic wspólnego.
- Wprost przeciwnie. — Usiadła na słomie i pomyślała, że mimo wszelkich swych zalet, jego urody, osobowości, umiejętności i talentów, Adam wyraźnie szwankuje na umyśle. Mars nie był aż tak przystojny, za to odznaczał się dobrym charakterem, wrażliwością i uczciwością. Uważała, że to znacznie waż-

niejsze.

— No dobra, jeśli to zrobimy, użyję zabezpieczenia - oświadczył Adam.

— Nie, musisz ją zabezpieczyć inaczej. Rzecz w tym, że mi ją zabrałeś. Była moją przyjaciółką. Masz miliony przyjaciół, wcale jej nie potrzebujesz. Sylva cały czas spędza teraz z tobą i już mnie nawet nie lubi. Jak myślisz, jak się teraz czuję?

— Czy to moja wina, że woli być ze mną niż z tobą? — Skończył szcztokować konia. - Zwariowałaś? Jesteś zazdrosna czy co? I przestań mi mówić, co mam robić. — Zaczął czyścić boks, wybierać widłami brudną słomę.

— To nie są zawody — odparła. — Nie mogę z tobą walczyć, masz nade mną przewagę. Ona uważa, że ją kochasz. Myśli, że to jakiś romans. Nie powinienes zadawać się z moją jedyną przyjaciółką. Przypominam ci, że zepsułeś mi kilka innych fajnych układów.

— Czy to moja wina, że nikt cię nie lubi? Pilnuj swego nosa, siostrzyczko, dobra?

Spojrzała w jego ciemne, błyszczące lodowatą inteligencją oczy i miała wrażenie, że patrzy w pustkę. Jego włosy miały barwę mahoni. Okres dojrzewania udało mu się przejść bez jednego pryszcza na nieskazitelnej cerze.

— Tata zapisał się do klubu country tylko po to, żebyś mógł grać w golfa. Wszystkie twoje trofea stoją na półce w bawialni. Ale to, co wygrałam ja, jest u mnie w pokoju, na korkowej tablicy.

— Przecież zaczęłaś pływać właśnie dzięki temu, że zostaliśmy członkami klubu.

— Wiem, ale to nie dla mnie tata się zapisał.

— Na razie nie zdobyłaś nic oprócz paru mało ważnych

blaszek. Zresztą i tak jesteś tylko w juniorach. Weź się lepiej do szczotkowania Promyka. Skoro korzystamy z koni, musimy przy nich pomagać.

— I co z tego, że mało ważnych? Liczy się, że w ogóle je zdobyłam. Najgorsze jest to, że zawsze wdzierasz się między mnie a moje koleżanki. — Avery wzięła zgrzebło i poszła szczotkować Księżycowego Promyka. — Zostaw je wreszcie w spokoju. - Poglaskała konia, poklepała go po aksamitnych chrapach. Oczy Promyka przypominały ozdobione rzęsami śliwki.

- Ty nie masz koleżanek.

- Próbuję zdobyć je w szkole, ale kiedy przychodzą do nas do domu, korzystają z okazji, żeby zobaczyć ciebie. Zaczynasz z nimi flirtować i obskakiwać je jak szympans, a one omal nie mdleją z wrażenia.

- Nieprawda.

- Prawda. Flirtujesz z nimi, żartujesz i podskakujesz przy nich jak żreback. A one patrzą na mnie jak na uprzykrzonego komara. Jesteś dla nich nastoletnim idolem. Ilekroć dzwoni telefon, ktoś chce rozmawiać z tobą. Przy każdych świętach, czy to Dziękczynienia, czy Bożego Narodzenia, mówi się tylko o tym, jaki jesteś wspaniały. Och, jakiś ty bystry — śliczny, jak karaluch!

- Zamknij się, Avery.

- Mówię ci tylko, żebyś zostawił Sylwę w spokoju. To moja przyjaciółka. Nie jest ci do niczego potrzebna, sprawisz jej ból.

- Jakim prawem mi to wszystko mówisz? Pewnie poszłaś już z Marsem na całość.

- Nieprawda! - Zaszokowało ją, że mógł o czymś takim w ogóle pomyśleć. — I nie będziemy tego robić. Nawet nie wiemy jak.

- Mars dobrze wie.

Domyśliła się, że brat skończył czyścić boks, bo zamknął drzwi i wyszedł ze stajni.

- Zostaw Sylwę w spokoju! Słyszysz? — krzyknęła. — To

moja przyjaciółka! - Przytuliła się do końskiego łba i szepnę

ła: - Moja jedyna przyjaciółka.

Ktoś kiedyś powiedział — nie pamiętała kto ani kiedy — że człowieka będą sędzić po tym, jak traktował swą siostrę. Pomyślała, że gdyby według tych kryteriów sędzić Adama, nie mógłby liczyć na wysoką notę.

Ostatni dzień wakacji zawsze wisiał nad nimi jak groźba, a kiedy już nadchodził, był niczym letnia ulewa. Avery pożegnała się z Marsem. Uścisnął ją lekko, skrępowany obecnością

rodziców. Sylva trzymała się Adama, jakby za chwilę miał nastąpić koniec świata, nie zważając na obecność matki czy ojca. Adam obiecał, że będzie do niej pisał. Avery wiedziała, że to lipa. Sylva się rozplakała. Żegnała się z Avery jak z kimś obcym. Avery przyjęła to z ciężkim sercem. Nienawidziła Adama za to, że stał się przyczyną tej sytuacji. Nie umiała się w niej odnaleźć, nie wiedziała, co powinna czuć, co mówić. Nie mogła wprost uwierzyć, że jej własny brat może być tak okrutny.

Pobiegła do kuchni pożegnać się z Neco-wee. Na chwilę przysiadły na progu. Neco-wee objęła ją i powiedziała:

- No i tak. I znowu mamy koniec lata...

- Smutnego lata.

- Jak to?

- Tak, tak. — Avery obracała w palcach dmuchawiec.

- Jeździliście konno.

- Wiem. Znaleźliśmy dolinę po drugiej stronie gór. I wo

dospad. Zabieraliśmy koszyk ze smakołykami, które dla nas przyszykowałaś, i jedliśmy na skałach. Było pięknie.

- To niedobrze?

- Nie - odparła Avery. - Chodzi o Sylwę i Adama. Oni...

Sama nie wiem. Nie wiem, jak to wytłumaczyć.

Ojciec zatrąbił klaksonem. Avery uścisnęła Indiankę.

- Kocham cię, Neco-wee. Do zobaczenia za rok! - krzyk

nęła, zbiegając ze wzgórza. Usiadła z tyłu, obok Adama.

Ojciec odpalił silnik.

- Wszystko w porządku, Pączku? Pączulinko? Skorzystaliśmy z toalety?

- Gotowi do odjazdu - odparł Adam.

- Sylva była naprawdę nieszczęśliwa - powiedziała matka. - Nie powinienes być jej zwodzić, Adamie.

- Przejdzie jej. — Jak zwykle zadowolony z siebie, brat otworzył czasopismo. Avery kopnęła go w łydkę.

- Przestań, Avery!

- Potwór - szepnęła i odwróciła się do niego plecami.

Wyjrzała przez okno, żeby zapamiętać kształt górskiej grani.

Czuła się nieszczęśliwa, uwięziona w samochodzie.

- Za rok wszystko będzie po staremu, zobaczycie - odezwała się matka, wieczna optymistka.

- Ja już tu nie przyjadę — odparł Adam. — Za rok o tej porze będę pracował w szpitalu.

- Będziesz opróżniał kaczki i baseny - mruknęła Avery. - Zajęcie w sam raz dla ciebie.

Matka wyciągnęła rękę nad oparciem fotela i dała im po pudełku Milk Duds. Avery pomyślała, że jej złudzenia w stosunku do własnych dzieci graniczą z chorobą umysłową. Milk Duds! Rzeczywiście!

\*\*\*

Dziecinne i błagalne listy Sylvy do Adama nadchodziły przez całą jesień. Wysyłała kartki, wiersze i listy miłosne, zdaniem Avery po to, żeby o niej nie zapomnieli. A on się z niej tak nabijał. Nie otworzył nawet połowy listów. Avery go znienawidziła. Miał na głowie tyle spraw: ostatni rok szkoły średniej, rozmaite zajęcia, golf, pływanie, dziewczyny, prywatki, tańce... A Sylva nie była jedyną dziewczyną, która się za nim uganiała.

Jedyny list, jaki Avery dostała od niej tamtego roku, przyszedł tuż po Święcie Dziękczynienia. Sylva pisała, że matka jest już zbyt chora, żeby cokolwiek robić. Sylva musiała rzucić szkołę, żeby zająć się Shelby i Bobbym, dzieckiem Echo, a szkoła była dla niej jedyną szansą na wyrwanie się z Crowfoot Ridge. Mars zorganizował zespół z kolegą gitarzystą, skrzypkiem i mandolinistą. Grywali na potańcówkach w szkołach średnich i w małych wioskach zagubionych wśród gór. Chciał ukończyć szkołę i zajmować się swoją muzyką. A Wayne poszedł do wojska, zostawiając w domu Echo, która znów była w ciąży.

Sylva prosiła Avery, żeby przypomniała Adamowi, by do niej napisał. Jakby Avery miała na niego jakiś wpływ. Uznała, że Sylva napisała do niej tylko po to, żeby przekazać wiadomość Adamowi.

Adam miał już wtedy nową dziewczynę. Tammy była córką jednego z klubowiczów, z którymi ojciec grywał w golfa.

Avery napisała i do Sylvy, i do Marsa. Uprzedziła Sylwę, że Adam nie wybiera się do Karoliny Północnej, ponieważ wkrótce rozpoczyna studia. Miała nadzieję, że przyjaciółka wszystko zrozumie. List do Marsa przyszedł jej z większym trudem, ponieważ nie miała od niego żadnej wiadomości. W sumie nie napisała nic, co miała ochotę napisać. Zapytała tylko o jego zespół i opowiedziała mu o swoich występach w pływackiej reprezentacji szkoły.

Zrobiła dobry początek i od tej chwili rozpoczęła się regularna wymiana listów między nią i Marsem, która trwała przez cały rok. Sylva nie napisała więcej i Avery obawiała się, że straciła przyjaciółkę na zawsze.

Kiedy w czerwcu Adam skończył szkołę, cała rodzina zachowywała się tak, jakby chciała go ukoronować.

Tymczasem Avery myślała tylko o jednym: o wyjeździe do Crowfoot Ridge.

## Rozdział 9

Latem sześćdziesiątego trzeciego pojechali do Karoliny Północnej bez Adama. Adam zamieszkał w domu kolegi ojca. Avery miała dla siebie całe tylne siedzenie samochodu, toteż podróż wydała jej się dłuższa i dziwnie obca.

Po rozpakowaniu rzeczy Avery pierwsze kroki skierowała w stronę ścieżki łączącej farmę MacKinseya z farmą Marshal-lów. Martwiła się, jak Sylva zareaguje na wiadomość o nieobecności Adama, ale jej wieloletnia przyjaciółka miała na głowie inne sprawy i nawet o niego nie spytała.

- Mama jest w szpitalu - powiedziała, ściskając Avery na

powitanie. — Leży już bardzo długo, ale nie widać żadnej

poprawy.

- Sylva, lekarze potrafią czynić cuda. Na pewno ją wyleczą,

zobaczysz.

- Mam pod opieką trójkę dzieci. Dzięki Bogu, że na jesieni

Shelby idzie do szkoły. Zajmuję się też Bobbym, trzyletnim

synkiem Echo...

- Wayne nie wrócił?

- Nie. Jest gdzieś w Wietnamie. No i jeszcze Yancey, córka

Charlotte, ma dopiero pół roku...

- Zajmujesz się tyloma dziećmi i chodzisz do szkoły? Jak ty to robisz?

- Nie chodzę do szkoły. Mama zachorowała przez świętem

Dziękczynienia, więc zostałam w domu, żeby jej pomagać. Echo

i Charlotte pracują w mieście, a tata znalazł robotę setki kilo-metrów stąd. Nie wiem nawet, gdzie mieszka, rzadko tu przyjeżdża.

- Straciłaś prawie całą dziewiątą klasę... Będę ci pomagała.

Codziennie, przez cały miesiąc. Będzie fajnie, zobaczysz.

Avery mówiła serio.

Przez ten rok Sylva wydorosłała bardziej niż Avery. Poczucie odpowiedzialności za dzieci i to, że rzuciła szkołę, wyraźnie zwiększyły dzielącą je przepaść. Adam wbił między nie klin.

- Dlaczego Adam do mnie nie napisał? Myślałam, że napisze. Czekałam i czekałam. Potrzebowałam go.

Avery objęła ją i przytuliła.

- Nienawidzę go za to, że sprawił ci ból — powiedziała. —

Żałuję, że częściej nie pisałam. Nie rozumiałam, co przeżywałaś.

- Muszę o nim zapomnieć. Tak będzie najlepiej, prawda?

- Tak, Sylva, chyba tak.

Avery poświęcała jej całe dnie, udając, że bawią się w dom i w dorosłość, ale zabawa szybko ją znużyła. Wieczory spędzała z Marsem. Czasami jeździli konno nad wodospad. To, na co nie byli gotowi przed rokiem, teraz wydawało się zupełnie naturalne. Trzymali się za ręce, całowali się, patrzyli sobie w oczy. Uwielbiała z nim być. Kiedy grał z zespołem, jeździła z nim, by wraz z przyjaciółkami pozostałych muzyków przysłuchiwać się występom. Do przewożenia instrumentów i wzmacniaczy Mars zorganizował furgonetkę. Grali znakomicie i Avery uznała, że pewnego dnia Mars zostanie wielkim gwiazdorem estrady. Kiedy publiczność biła brawo i krzyczała „bis”, pękała z dumy.

Kiedy zostawali w furgonetce sami, uprawiali coraz intensywniejszy petting. Nie byli gotowi na ten najważniejszy krok, w każdym razie nie ona, ale pozwalała mu na wiele. Zawsze respektował wyznaczone przez nią granice. Tymczasem ona czuła, że z każdym dniem coraz bardziej za nim szaleje, i powoli zaczęła rozumieć, co Sylva czuła do Adama.

Pewnego dnia nadeszła wiadomość: mama Marsa i Sylvy umarła.

Avery pamiętała, że już poprzedniego roku wyglądała jak

woskowy szkielet, ale nie spodziewała się, iż Kitty Marshall kiedykolwiek umrze. Minęło kilka trudnych dni, podczas których Mars i Sylva usiłowali pogodzić się ze smutną prawdą. Avery siedziała między nimi w pierwszej ławce podczas nabożeństwa żałobnego. Trzymali się za ręce, złączeni na zawsze. Państwo Baldwin przesłali kwiaty i usiedli w tylnych ławkach kościoła. Przyszła też Neco-wee. I wszyscy Marshallowie. Oprócz Huntera. Avery nie wyobrażała sobie, co teraz poczną.

Hunter się spóźnił. Szedł głównym przejściem, potykając się, wpadając na ławki, z trudem utrzymując

równowagę. Kaznodzieja właśnie wygłaszał kazanie, gdy Hunter dotarł wreszcie do trumny, by jej dotknąć. Poklepał ją mocno, zbyt mocno. Sylva i Mars zamarli.

Nawet duchowny zamilkł, żeby się mu przyjrzeć.

Zapadła cisza. Dudniący odgłos przetoczył się echem przez cały kościół. Hunter odstąpił od trumny. Nieuczestny, ciężko opadł na pierwszą ławkę obok Marsa, odwrócił się, żeby sprawdzić, kto przyszedł, i pomachał komuś ręką. Wszyscy na niego patrzyli. Hunter potarł skręconą rudą brodę, spojrzał na kaznodzieję i mruknął:

- Wal dalej.

Kiedy wynoszono Kitty na cmentarz, na trumnie drżały rozsypane kwiaty. Dzikie kwiecie na łące za kościołem kołysało się łagodnie i chyliło w podmuchach chłodnego wiatru. Avery nie mogła sobie wyobrazić, jak to jest nie mieć matki. Bała się o przyszłość Marsa i Sylvy. Sylva cierpiała w milczeniu, nie roniąc jednej łzy. Ich bólu nie ukończyłyby żadne słowa pociechy.

Hunter podszedł do grobu, zatoczył się, zakolysał i żeby odzyskać równowagę, oparł się o trumnę. Kiedy krótka uroczystość dobiegła końca, odwrócił się i nie odezwawszy się do nikogo, nawet do własnych dzieci, poczłapał do swej półcieża-rówki. Avery patrzyła za nim. Przystanął, żeby oddać mocz w krzakach. Ani razu nie obejrzał się za siebie.

Kitty Marshall spoczęła między swym ojcem i najstarszym synem, Franklinem, tym, który zginął na wojnie.

Późnym popołudniem dom Marshallów spowił długi cień.

Wokół uginającego się od jedzenia stołu na parterze kłębił się tłum żałobników. Sylva zniknęła na górze. Avery napełniła szklanek lemoniadą i zaniósła ją przyjaciółce.

- Masz, pij. Chcesz coś zjeść? Jest szynka i pieczony kur-

czak. A może masz ochotę na kanapkę?

Sylva usiadła na kołdrze, którą przed laty uszyła jej mama, objęła się wpół i zaczęła się kiwać nieprzytomnie w przód i w tył.

- Żyła na kredyt - szepnęła. - Ktoś tak powiedział. Ale nie

wiem, co to tak naprawdę znaczy.

- Ciii... — Avery łagodnie gładziła jej długie włosy.

- Umarła na coś, co ludzie nazywają długą i ciężką chorobą.

Co my bez niej zrobimy?

- Sylva, życie nigdy cię nie oszczędzało. Teraz straciłaś

mamę. Musisz spróbować to zrozumieć.

- Czy nadal jesteś moją przyjaciółką? — zapytała Sylva, nie

przestając płakać. - Nie przeżyłabym, gdyby było inaczej.

- Oczywiście, że jestem. Zawsze nią będę, tak samo jak ty



zawsze będziesz moja. — Avery objęła ją i przytuliła. Potem zwinęły się w kłębek na kołdrze i Avery utuliła przyjaciółkę do snu.

Kiedy wślizgnęła się do sypialni, Mars leżał już w łóżku, a z radia dochodziła cicha muzyka. Światło było zgaszone. Avery wpełzła pod koc, przytuliła się do pleców chłopaka, objęła go i położyła dłoń na jego piersi. Nakrył jej dłoń swoją dłonią i delikatnie pogłaskał palce. Pocałowała go w ramię.

- Tak mi przykro — szepnęła.

- Wiem.

- Na dole jest jedzenie. Chcesz, to coś ci przyniosę.

Podciągnął koszulę i przytknął jej dłoń do swego gładkiego, napiętego brzucha.

- Nie. Chcę, żebyś ze mną była.

- Co teraz będzie? - spytała. Czuła jego oddech, ciepło jego ciała. Przesunęła rękę trochę wyżej i dotknęła miękkich włosów na piersi.

- Będziemy żyć, jak żyliśmy. Mamy nie było w domu już od dawna. Hunter tu nie bywa.

Koniuszkami palców wyczuwała długie blizny.

- Może teraz wróci?

- Wątpię. - Odwrócił się i dotknął jej drobnych piersi, twardych brodawek.

Załaskotały ją, zaskoczyły. Poczowała dziwne napięcie w pod-brzuszu.

- Kocham cię, Mars. Ciebie i Sylwę. Kocham was bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Delikatnie pocałował ją w usta. Jego wargi miały smak słodkiej lemoniady.

- Mars, Sylva nie powinna zajmować się tymi wszystkimi dziećmi. - Dotknęła jego twarzy i otarła łzy z policzków.

- Shelby idzie we wrześniu do szkoły.

- Wiem. Sylva też powinna. - Przeczesła palcami jego długie włosy.

- Masz rację - szepnął. - Porozmawiam z Charlotte i Echo.

Najmą opiekunkę. — Podciągnął jej koszulę i zaczął całować ją długimi, czułymi pocałunkami.

- Pomożesz jej?

- Ale jak?

- Posiedź z nią przy lekcjach, dopilnuj, żeby wróciła do szkoły. — Objęła go i oplótła nogami. — Tak się o was martwię...

- Wiem.

Dotykał miejsc, których dotąd nie znał. Odpowiadała mu tym samym, coraz śmielej i śmielej. Serce biło jej jak szalone, oddech się rwał. Nigdy jeszcze tak daleko się nie posunęli.

Pieszczoty szybko przybierały na intensywności. Avery pragnęła być z nim, ale się bała. Dotykał jej tak łagodnie, że nawet nie pomyślała, by go powstrzymać. Zawahał się. I nagle tama pękła, i nagle Avery zapragnęła go mimo lęku. Jej ciało podejmowało decyzje, w których umysł nie uczestniczył. Mimo to wiedziała, że wystarczyłoby jedno słowo i Mars by się wycofał.

- Nie chcę sprawić ci bólu — szepnął.

- Nie, nie sprawisz. Kocham cię całym sercem.

- I ja cię kocham. Od zawsze. Od chwili, gdy przyjechałaś tu jako mała dziewczynka.

- Nic nie mów.

Przyciągnął ją do siebie i objął. Wybrzuszenie między jego nogami zdziwiło ją i zaskoczyło. Chciała być jeszcze bliżej niego, bliżej niż pozwalało na to ubranie. Zdjęli koszule i po raz pierwszy przywarli do siebie nago, całując się i dotykając. Avery czuła, że cała płonie. Patsy Cline śpiewała w radiu piosenkę Crazy.

Odważyła się go dotknąć, a kiedy to zrobiła, zadrżał.

Usłyszeli ciche pukanie.

- Mars?

Zamarli. Avery zabrała rękę.

- To ciotka - szepnął.

Uchyliły się drzwi. Avery schowała się pod koc i wstrzymała oddech.

- Mars? Przyszłam powiedzieć ci dobranoc. Już jadę. Daj znać, gdybyś czegoś potrzebował.

- Już śpię - odparł Mars. - Niedługo się zobaczymy. Dzień-

ki. Dobranoc.

Zamknęła drzwi.

- Zamknij na klucz - szepnęła Avery.

- Nie mają zamka. - Odwrócił się na moment i sięgnął do szuflady szafki nocnej. - Chcę cię zabezpieczyć. Nigdy w życiu na nic bym cię nie naraził. Mam nadzieję, że jest jeszcze dobra.

Trzymam ją tu od dawna. Nie przeszkadza ci to? — Objął ją mocno, przygarnął, oplótł rękami i nogami. — Nie? — powtórzył.

- A tobie?

- Nie, Avery.

Przetoczył się na nią i wciskał między jej uda, dopóki nie była gotowa go przyjąć. Połączył ich niewidzialny magnes. Drżała w oczekiwaniu tego, co miało nastąpić, ale był delikatny, ostrożny i wsuwał się w nią drobnymi ruchami, a ona wycho-dziła mu naprzeciw, unosząc biodra. Bolało mniej, niż myślała. Wiedziała, że robi dobrze, czuła się w jakiś sposób dopełniona.

- Boże, Avery, to jest niesamowite...

Kiedy wszedł głębiej, trochę ją zabolalo. Napięła mięśnie, z oczu popłynęły jej łzy. Natychmiast to zauważył. Znieruchomiał, zadrżał i ciężko dysząc, przytulił ją jeszcze mocniej.

- Przepraszam - szepnął w zagłębienie jej ramienia. - Boże, mam nadzieję, że nie zrobiłem ci krzywdy. Nie zapomnę tej nocy do końca życia.

Legł przy niej, a ona się w niego wtuliła. Dotknął jej. Inaczej niż dotąd. Czubkami palców badał śliskie, jedwabiste źródło jej namiętności. Czuła się cudownie, cudownie dopełniona. Oplótł ją nogami i ramionami, kochając za to, że jest taki czuły, że tak delikatnie wprowadza ją w świat nowych doznań, że to właśnie z nią chciał podjąć tę podróż w nieznanne.

Długo leżeli w milczeniu, dotykając się i rozmyślając o tym, co zrobili. Analizowali swoje doznania. Odczucia. Nad rysującymi się na de nieba górami zawisł samotny, mosiężny księżyc, częściowo przesłonięty ramami okna. Jego kryształowe, nieco przyćmione światło opromieniło twarz Marsa, pozłociło mu włosy i nadało jego oczom barwę akwamaryny, co mogła dostrzec jedynie dziewczyna zmieszana i jeszcze zarumieniona od nowych cielesnych doznań. Rozczuliła się na myśl, jak wielkie znaczenie ma dla niej to, że wybrała właśnie Marsa. W jej oczach zalśniły łzy.

- Skąd wiedziałeś, jak się to robi? - szepnęła.

- Nie wiedziałem. Od dawna się tego bałem, bardzo mnie to niepokoiło.

- Czego się bałeś?

- Tego, że będę za duży albo za mały, że będę się gubił i potykał. Ale najbardziej chyba tego, że mogę sprawić ci ból.

- Myślisz, że zrobiliśmy to jak trzeba?

Zaśmiał się krótko i mocno ją przytulił.

- Myślę, że musimy jeszcze trochę poćwiczyć.

Do pokoju weszła Sylva i zbudziła ich, wślizgując się pod koc. Zwinęła się w kłębek przy Avery i oparła głowę na jej ramieniu. Leżeli we trójkę i milczeli, znajdując w swojej obecności pociechę i utracone poczucie bezpieczeństwa. Usnęli niczym szczenięta w koszu - młodzi, zranieni, bezbronni. W nocy Avery słyszała płacz Sylvy.

Śniadanie zjedli sami, ponieważ Echo zatrzymała Shelby'ego i Bobby'ego w przyczepie. Na góry i łąki kropił leciutki kapuśniaczek. Nad stawem sunęły kłaczki mgły. Byli boso i podłoga

w kuchni wydawała im się lekko wilgotna. Zanosilo się na upalny dzień. Sylva wyszła na ganek, żeby nakarmić psy. Potem usiadła w kuchni.

Ich ból wypełniał cały dom.

— Macie teraz dużo obowiązków - powiedziała Avery. -

Oboje.

— To nic nowego. — Sylva wsypała do miseczki trochę płatków i zalała je mlekiem.

— Dasz radę wrócić do szkoły? — spytała Avery.

— Naturalnie, że tak — odrzekł Mars. — Jesienią, kiedy tylko

Shelby pójdzie do pierwszej klasy. Osobiście tego dopilnuję, masz moje słowo.

— Za dużo straciłam, będę odstawać...

— Pomogę ci - zapewnił ją Mars. - Obiecuję. Długo czekaliśmy, żeby rodzice pokierowali naszym życiem, ale teraz jest już za późno. Musimy przestać czekać i zająć się tym sami. Zostałaś w domu, żeby pomóc mamie i Shelby'emu. Tak było trzeba, nie miałaś wyboru. Porozmawiamy z nauczycielami. Powiemy im, dlaczego tyle opuściłaś. Załatwimy to. Nie pozwolę, żebyś się poddała. Charlotte i Echo muszą zatroszczyć się o dzieci same.

Włożył do tosterka kromkę chleba i zabębnił palcami o kuchenny blat. Przed oczami Avery przesuwały się obrazy z minionej nocy. Wciąż czuła, jak Mars ją wypełnia, jak łączy się z nią w zupełnie nowy sposób.

— I wiesz co? — rzucił. — Pójdę na studia.

— A kto też twoim zdaniem za nie zapłaci? — zapytała Sylva.

— Ja. Pieniędzmi, które Wayne zostawił mi przed odjazdem, i tymi, które zarabiam, grając w zespole. Do końca lata będę reklamował naszą kapelę. — Toster wypluł grzanekę. — Mogę grać wszędzie. W barach, kościołach, nawet w domach kultury.

Wszędzie tam, gdzie ludzie chcą słuchać muzyki. Na prywatnych imprezach? Czemu nie? Damy ogłoszenie w gazecie: zespół do wynajęcia. I zażądamy wyższego honorarium.

— Mógłbyś namalować nazwę zespołu na drzwiach furgonetki - podpowiedziała Avery. - Dokądkolwiek byście pojechali, wszyscy by ją widzieli. Namaluj nazwę, a obok numer telefonu.

- Tak, nazwa. Nie mamy nawet nazwy — odparł. — Nie zdążyliśmy się na tyle zorganizować.

- Może „Mars”? — rzuciła Avery.

- I już? Chłopakom się to nie spodoba.

- Zapytaj ich — namawiała. — Uważam, że jest fajna. Prosta, inna i łatwo ją zapamiętać. A oni? Mają lepsze imiona?

- Earl i Hoyt.

- Hoyt? Czy to imię coś wam mówi? - pytała Avery. -

Panie i panowie, nie mam więcej pytań.

Widziała, że Mars połknął haczyk.

- A co byście powiedzieli na „Mars i zielone ufoludki”? — zaproponowała Sylva i wybuchnęła śmiechem.

- Nie sędzę, żeby chłopcy uznali to za zabawne - odrzekł

Mars, wtórując jej śmiechem. - A może „Crowfoot Ridge

Band”? To powinno wszystkich zadowolić.

Na moment zapomnieli, że ledwie poprzedniego dnia po-chowali matkę. Pełna nadziei rozmowa i to, że są razem, sprawiły, iż przyszłość zaczęła im się rysować w pogodniejszych barwach. Znaleźli dla siebie cel, w dodatku mieli jeszcze szkołę. Avery wiedziała, że oboje doskonale rozumieją, jak ważna jest szkoła. Sami do tego doszli. Przyglądała się im, kiedy zmywali statki. Czuła, że od tej chwili wszystko pójdzie lepiej.

Wakacje skończyły się o wiele za szybko. Ostatnie dni spędzili razem, snując się wokół. Ale ostatnią noc Avery i Mars mieli tylko dla siebie. Sylva pojechała do Brevard, do Charlotte, żeby popilnować Yancey.

- Tak bardzo cię kocham, Mars, że to uczucie niemal mnie rozsadza. Nie chcę rozstawać się z tobą nawet na godzinę, a co dopiero aż na cały rok. — Mocno się w niego wtulała.

Obietnice, które składali sobie w najlepszej intencji, były skazane na niedotrzymanie, o czym doskonale wiedzieli. Wiedzieli, że nie będą codziennie do siebie pisać, że on nie będzie na nią czekał, przez cały rok unikając innych dziewcząt. Choć Avery święcie wierzyła, że resztę życia mogłaby spędzić, nie widząc innych mężczyzn, coś w głębi duszy szeptało jej, że stanie się inaczej.

Potem długo leżeli, pieszcząc się i całując, pragnąc, by

wspomnienia tych dotknięć nigdy nie wyblakły. Kiedy Avery się rozplakała i wtuliła twarz w zagłębienie jego ramienia, on też zapłakał. Gdy serce pękało jej na dwoje, wiedziała, że jemu pęka również. Cierpienie trawiło jej ciało niczym ogień wyschniętą puszcę. Ogarnęło też Marsa. Wierzyła, że on czuje dokładnie to samo co ona. Wiedziała, że nigdy go nie zapomni: chłopaka o oczach w kolorze laguny i włosach miękkich jak u niemowlęcia, chłopaka, którego serce i umysł przepełniały poezja i muzyka. Że na zawsze zapamięta ich pierwszy raz i czułość, z jaką ją traktował.

Przyciągnęła go jeszcze bliżej i rozszlochała się na dobre. Jej serce przepełniała radość i smutek zarazem. Próbował całować jej łzy, lecz wiedziała, że nic ich nigdy nie powstrzyma, że będą płynąć wiecznie, jak woda w strumieniu.

Nazajutrz rano nie mogli się pożegnać. Stali objęci na ganku.

- Odprowadzę cię - powiedział.

- Nie. Nie potrafiłabym pożegnać się z tobą na oczach

mamy i taty. Po prostu bym nie potrafiła.

Odsunęła się o krok. Najpierw trzymał rękę na jej ramieniu, potem dotykał jej dłoni, wreszcie stykali się tylko czubkami palców.

— Nigdy cię nie zapomnę, Avery. Pamiętaj, że cię kocham.

— Do zobaczenia za rok. Napisz, dobrze?

Odwróciła się do niego plecami i pobiegła przed siebie. Zatrzymała się tylko raz, żeby na niego popatrzeć.

Nie spuszczał z niej wzroku. Pomachał ręką. Weszła na ścieżkę prowadzącą do farmy MacKinseya.

Usiłowała powstrzymać łzy, zanim dotrze do chaty, ale na próżno. Będzie musiała wymyślić jakąś bajeczkę dla rodziców. I tak nie rozumieją. Zrozumieliby dopiero wówczas, gdyby powiedziała im, że sprawy zaszły znacznie dalej, niż przypuszczają, a tego powiedzieć nie mogła.

Wzięła się w garść. Rozstanie z Marsem było najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek musiała zrobić. Rodzice nic nie zauważyli.

Kiedy pakowali bagaże, zeszła do nich Neco-wee. Chciała się pożegnać i podczas gdy ojciec przenosił rzeczy do samochodu, one stały i rozmawiały.

- Jeszcze jedno piękne lato dobiega końca -powiedziała Avery, trzymając ją za rękę.

- Więcej takich nie będzie.

- Dlaczego tak mówisz?

- Ponieważ spadnie na nas ciemne niebo. Na nas i na tę krainę.

- Na jaką krainę?

- Na Stany Zjednoczone. - Neco-wee zawsze coś prorokowała. - Tak samo jak przeszło sto lat temu.

- Co się wtedy stało?

- Plemię Czirokezów przebyło Szlak Łez. Dziesiątki tysięcy moich rodaków otoczono, zmuszono do opuszczenia gór i pognano do miejsca zwanego Oklahomą, na zachód od rzeki Missisipi.

- Dlaczego?

- Bo biali ludzie zapragnęli naszych ziem.

- To dlaczego ich nie zabiliście?

- Oglądasz zbyt wiele filmów, dziecko. Nie jesteśmy narodem wojowników. Uprawiamy rolę i miłujemy pokój. Karmiśmy białych owocami naszych pól, a gdy tego było im mało, zmusili nas do odejścia.

- Kiedy tu wróciliście?

- Byli tacy, którzy uciekli do lasu i nigdy nie dali się złapać.

Inni wrócili z Oklahomy, żeby odzyskać nasze ziemie i prawo do osiedlenia się w ojczyźnie naszych ojców. Biali dali nam to,

co do nich nie należało. Już nigdy stąd nie odejdziemy.

- A te chmury? Widzisz jakieś chmury?

- Widzę ciemne niebo. Ciemne czasy. Takie same, jak wówczas, gdy weszliśmy na Szlak Łez. Jak podczas wielkiego płaczu Czirokezów. Przyjedziesz tu za rok?

- O, tak. - Avery uścisnęła Indiankę.

Skończyli się pakować. Baldwinowie zachowywali się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Czyżby rzeczywiście nie dostrzegli w niej żadnej zmiany? Miała wrażenie, że ma to wypisane na czole.

Co by się stało, gdyby odkryli prawdę?

## Rozdział 10

Zgodnie z przewidywaniami Neco-wee naród wstąpił na szlak łez, gdy w listopadzie zamordowano prezydenta Kennedy'ego. Nie było dnia, żeby Avery co najmniej kilkakrotnie o niej nie myślała. Nie miała gdzie się schronić. Oczekiwała, że świat dorosłych będzie normalny, bezpieczny i sensowny. Obchodząc w grudniu swoje szesnaste urodziny, myślała, że zwariuje.

Śmierć Kennedy'ego położyła kres erze zaufania i wiary.

0 tragicznymi losach tej rodziny mówiono przez długie miesiące

we wszystkich wiadomościach i w specjalnych programach, które nauczyciel prowadzący aktualności polityczne przygotowywał dla Avery i jej kolegów, żeby pomóc im znieść tę bolesną stratę.

Kennedy był pierwszym prezydentem, którego dobrze znali, a przynajmniej tak im się wydawało. Dlatego oglądali dzienniki, chodzili nieco wolniej, mówili ciszej. Wstrząśnięci, mieli wrażenie, że zbrukano ich niewinność. I niewinność ich kraju.

Sylva w każdym liście rozpisywała się o występach Marsa

1 jego zespołu i - na tyle, na ile pozwalała jej skromność - o swoim nowym chłopaku, wspaniałym Donaldzie Thornsber-  
rym, którego poznała na jednym z koncertów.

Listy od Marsa przepelniała poezja, słowa piosenek i zapewnienia o miłości. Czytała je raz po raz, hołubiła, chroniła, wreszcie wiązała wstążką i chowała do pudełka po butach. Początkowo przychodziły raz w tygodniu, w okolicach Bożego Narodzenia już tylko dwa razy w miesiącu, a w okresie Wiel-



kanocy raz na cztery tygodnie. Ostatni przyszedł pod koniec maja.

Najdroższa Avery!

Myszę, że powinienem Cię uprzedzić, że nasz zespół dostał pracę w Fontana Village, i to na całe dwa miesiące wakacji. Wyjeżdżamy zaraz po maturze.

Dlatego nie zastaniesz mnie w Crowfoot Ridge. Wierz mi, w pierwszej chwili chciałem tę propozycję odrzucić, ale muszę zdobyć pieniądze na college.

Spróbuj namówić rodziców, żeby w tym roku pojechali do Fontany. Myszę, że jeszcze zdążycie zarezerwować miejsca. To naprawdę ładna miejscowość i dużo w niej atrakcji. Jeśli jednak nic z tego nie wyjdzie, daj znać, kiedy będziesz w Crowfoot Ridge. Postaram się urwać, żeby Cię zobaczyć.

Kocham Cię całym sercem

Mars

Crowfoot Ridge. Charakterystycznie pofałdowane pagórki, sterczące kitki dojrzewającej kukurydzy, lasy - wszystko zamarło w oczekiwaniu. Domek numer trzy. Ten sam domek, ten sam strumień. Rozpakowawszy się i rozgościwszy, rodzice Avery poszli przywitać się z innymi letnikami i wypić drinka na werandzie, natomiast Avery popędziła do Sylvy.

Piszczwały, obściskowały się i podskakiwały z radości, jakby miały po sześć lat. Potem usiadły na huśtawce na ganku.

- Zadzwonimy do Marsa - wydyszała Avery zaraz potem. -

Powiemy mu, że już jestem. Jeśli nie będzie mógł przyjechać,

zmuszę tatę, żeby zawiózł nas do Fontany.

- On przyjedzie. Wiem, że przyjedzie.

- No to teraz opowiadaj mi o Donaldzie.

Sylva piała nad nim z zachwytu i zdradziła przyjaciółce szczegóły, które pominęła w liście.

Avery zauważyła, że dom jest wyjątkowo cichy.

- Gdzie są wszyscy? - spytała.

- Rozjechali się - odparła Sylva. - Donald jest naprawdę

słodki. Wieczorami pracuje w kręgielni w Brevard. Ma własną furgonetkę, sam ją sobie kupił. Dzisiaj chyba nie przyjedzie, ale nigdy nic nie wiadomo. Może wpadnie jutro. Gra w kosza w reprezentacji szkoły, za rok zdaje maturę. Nie mogę się doczekać, żeby ci go przedstawić.

- A ja nie mogę się doczekać, kiedy go poznam.

- Wiesz, aż trudno uwierzyć, jaka byłam głupia, kiedy

kochałam się w Adamie. Niewiele brakowało i straciłabym

przez to ciebie. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką i chcę cię za

tamto przeprosić.

- Nie ma o czym mówić, dobrze cię rozumiem. Martwiłam się o ciebie. Teraz karta się odwróciła i ja kocham się w Marsie.

- Nie powinnaś. - Sylva odwróciła głowę.

- Dlaczego?

- Bo on idzie na studia. Nie będzie go całe lato. Na pewno przyjedzie, żeby się z tobą zobaczyć, ale jest zajęty. Wydorósł.

- Spotyka się z innymi?

- Wiem, że ciebie traktuje wyjątkowo, ale... Nie pokładaj w nim wielkich nadziei. Wierz mi, daleko mu do ideału. Był dla mnie dobry, jak na brata, rzecz jasna. Po śmierci mamy zaprowadził mnie z powrotem do szkoły. Od razu poszedł do dyrektora i opowiedział mu całą historię. O tym, jak mama chorowała, a ja musiałam zostać w domu i pomagać przy Shelbym. Co wieczór siedział ze mną nad książkami, pomagał mi w nauce. Powinni byli cofnąć mnie o dwie klasy, bo prawie nie umiałam już czytać, ale dzięki niemu straciłam tylko rok.

- Wiedziałaś, że ci pomoże. TJSSNSTJZ dotrzymuje obietnic. -

Sylva miała szczęście, że trafił jej się taki brat.

Weszły do domu i usiadły na sofie. Avery zastanawiała się, czy kiedykolwiek zdejmą ze ściany tę wstrętną niedźwiedzią skórę.

- Kiedy wrócą? — zapytała. — Jesteś sama?

- Uhm. Pierwszy raz w życiu. Cudowne uczucie. — Sylva objęła się wpiół. - Charlotte i Yancey są w Brevard, mieszkają z Wileym. Chodzę do nich w niedzielę i pilnuję małej. Wayne, Echo, Bobby i Shelby pojechali na weekend do Fontany na występ Marsa.

- Kiedy wrócił?

- Kto? Wayne? Zwolnili go jakiś czas temu. Echo bardzo się

ucieszyła.

- No chyba. A Hunter? Widziałaś go po pogrzebie mamy?

- Tak, raz czy dwa razy. Rzadko tu bywa. Nie wiem, gdzie

mieszka. - Uniosła włosy, odsłaniając kark. - Gorąco dzisiaj

i parno.

Po kolacji rozmawiały i rozmawiały, aż Avery ochrypla. Zatelefonowała do Marsa do Fontany, ale go nie zastała. Zostawiła wiadomość i oddzwonił przed upływem godziny.

- Dzisiaj wieczorem gramy — powiedział. — Dansing skoń-

czy się najwcześniej o drugiej nad ranem, ale jutro mam wolny

dzień. Przyjadę przed południem.

- To daleko? Ile ci to zajmie?

- Ze dwie godziny. Będę przed dwunastą.

- Fajnie. Nie mogę się już doczekać. Może w następny

weekend tata zawiezie nas do Fontany. Może.

W niedzielę rano przed dom zajechała Charlotte i zatrąbiła, nie wysiadając ze swego długiego samochodu, przypominające go zakończoną płetwami łódź. Sylva wybiegła na ganek.

- Wróć około piątej albo szóstej! - krzyknęła do Avery.

Avery odprowadziła je wzrokiem. Zegar wskazywał dziewięć-tą. Miała przed sobą trzy godziny czekania. Trzy długie godziny. Mars przyjedzie wcześniej — wmawiała sobie, przynajmniej godzinę wcześniej. Najwolniej, jak to możliwe, wzięła prysznic, ubrała się, potem bardzo starannie się uczesała i korzystając z kosmetyków Sylvy, zrobiła sobie delikatny makijaż. Trwało to godzinę. Czekanie było prawdziwą torturą, zwłaszcza że w niedzielne poranki w telewizji występowali sami kaznodzieje.

Do wpół do drugiej po południu zdążyła zapamiętać ze szczegółami wygląd każdego źdźbła trawy porastającej obrzeża podjazdu i przeżyć całą gamę najróżniejszych emocji. Z niepewności zrodziło się silne przekonanie, że Mars w ogóle nie przyjedzie. Może zapomniał? A może to, co słyszała wczoraj przez telefon, było jakąś pomyłką? Może zablądził. Albo zginął w wypadku. Zachorował, został ranny... A może stało się jeszcze

coś innego? Godziny wyczekiwania dowiodły, jak wielką ma nad nią władzę.

Przyjechał o drugiej. Spóźnił się raptem dwie godziny, ale ona czekała na niego aż pięć. Czekala cały rok i pięć godzin. Podjechał furgonetką i wysiadł. Avery stała w drzwiach. Chciała do niego podbiec, była zła, że się spóźnił, ucieszona, że jest cały i zdrowy, niepewna, czego oczekiwać. Zmierzał ku niej mężczyzna. Dorosły mężczyzna z brodą. Włosy mu ściemniały i były dłuższe niż przed rokiem. Nabral ciała, przestał być patykowaty i wyciągnięty jak dawniej. Wbiegał na ganek, pokonując po dwa stopnie naraz.

- Avery? - Stanął przed drzwiami z wyrazem lekkiego zdu-

mienia na twarzy. — Przepraszam za spóźnienie. Zaspałem, a potem zagotowała mi się woda w chłodnicy. Nie miałem baniaka i musiałem... - Objął ją i przytulił.

- Zaspałeś?
- Wyjechałem później, niż planowałem. Coś się stało?
- Tak długo na ciebie czekałam...
- Spóźniłem się tylko dwie godziny. — Podniósł rękę, żeby spojrzeć na zegarek. - Nie spodziewałem się takiej reakcji.
- Jestem głupia - odrzekła z uśmiechem i przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

To ostrożne powitanie trochę ich ostudziło. Weszli do domu. Mars zniknął w łazience, a gdy stamtąd wyszedł, stanął przed lodówką. Nalał sobie do szklanki lemoniady i wrzucił do niej parę kostek lodu.

- Chcesz? - spytał, wypiwszy połowę.
- Nie, dzięki.
- Nie mamy za dużo czasu. Czy coś się stało? Coś się zmieniło? Chcesz mi o czymś powiedzieć? - Opadł na sofę.

Przysiadła obok niego. - Dlaczego jesteś taka oficjalna?

- Nie, nie, wszystko jest w jak najlepszym porządku. —

Przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Miał zimne wargi.

- Tak jest dużo lepiej - powiedział, bawiąc się jej medalionem. Musnął ręką jej pierś. Następny pocałunek był bardziej namiętny.

- Możemy trochę pospacerujemy? - Ściągnęła go z sofy. -

Czuję się... Sama nie wiem. Tak jakoś dziwnie.

Spacerowali po podwórzu, opowiadając sobie o wydarzeniach minionego roku, aż trafili do stodoły, gdzie usiedli na kopce siana. Znajome zapachy pomogły jej wyzbyć się zdenerwowania. Mars był już bardziej mężczyzną niż chłopakiem, był też znacznie szybszy, niż się spodziewała. Kiedy zdjął koszulę i kiedy musnęła palcami jego blizny, pamiątkę po ataku niedźwiedzia, przypomniała sobie, że wciąż jest obiektem jej najgłębszej namiętności. Zdjął jej bluzkę, zaczął pieścić ją ustami, łaskocząc brodą. Drgnęła, gdy okrążył palcami szczyt jej piersi.

- Co się stało?

Ujęła jego dłoń i wymacała zgrubienia na opuszkach palców.

- Dużo gram, to od gitary — wyjaśnił.

Dotknęła jego brody.

- Nigdy przedtem nie całowałam się z brodaczem.

Czuła, że coraz bardziej jej pragnie i dopiero wtedy pocałowała go, wkładając w to całe serce. Niebawem rozpalili ją do tego stopnia, że i ona zapragnęła go do utraty tchu. Coś między nimi nadal iskrzyło.

Ciężko dysząc, pociągnęła go na siebie i kochała z takim samym oddaniem jak kiedyś.

Potem czekali na Sylwę. Kiedy zadzwoniła, żeby ich uprzedzić, że zostaje na noc u Charlotte, zrobili sobie kanapki i zjedli je w jego łóżku.

Nazajutrz rano długo stali przy furgonetce, odwołując chwilę rozstania.

- Namówię tatę, żeby w przyszły weekend zabrał mnie do

Fontany - powiedziała Avery. - Może nie uda nam się zostać

sam na sam, ale przynajmniej się zobaczymy. Jeśli to nie wypali,

odwiedzisz mnie w niedzielę — dodała z niezachwianą pewnością.

- Jedź już. Zobaczymy się za kilka dni.

Pocałowali się na do widzenia.

Pomachała mu na pożegnanie, wróciła na farmę MacKinseya i zjadła z rodzicami lunch, przy którym urządziła wielkie przed-

stawienie, namawiając ich na wycieczkę do Fontany. Niczego nie obiecywali, ale i nie odmówili. Na początek dobre i to.

Sylva miała wrócić koło ósmej, zatem o letnim zmierzchu Avery poszła na farmę Marshallów. Rodzice oczywiście nie wiedzieli, że tego lata Sylva jest w domu sama. I dobrze, przynajmniej mogli spokojnie spać.

Sylva przygotowywała się do randki z Donaldem całą godzinę. Układała sobie włosy i rozmawiała z Avery, która przyglądała jej się z łóżka, powoli zasypiając.

- Wyglądasz przepięknie. Pierwszy raz widzę cię w takim dorosłym wydaniu. Jesteś śliczna.

- Dzięki. Staram się, jak mogę. Czy ta spódnica dobrze leży?

Mam wrażenie, że trochę mnie pogrubia.

- Nie, jest ładna. Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam.

- To chodź z nami na kolację. Potem tu wrócimy.

- Jadłam już, ale bardzo chciałabym go poznać. Zeszłej nocy

prawie nie spałam i oczy mi kleją. Zbudź mnie, jak wróćcie.

Obiecay, że zbudzisz.

- Nie spałaś? A to dlaczego?

- Chciałabyś wiedzieć!:

Obudziło ją głucho trzaśnięcie drzwi samochodu. Zgodnie z przewidywaniami, Sylvy w łóżku nie było. W ciemności jaśnieła tarcza zegara. Dochodziło wpół do pierwszej. Otworzyły się siatkowe drzwi. Skrzypnęły i zamknęły się ze stukotem. Przetarła oczy, wygładziła podkoszulek, wyprostowała gumkę przy szortach. Słyszała na dole ich kroki, nic więcej. Sylva i Donald nie rozmawiali, zachowywali się bardzo cicho.

Zeszła do połowy schodów i zawołała:

- To ty, Sylva? Już wróciłaś?

Zadudniły ciężkie buciory. Ktoś wpadł na stolik, zagrzechotała lampa. W dochodzącym z sieni świetle zauważyła cień nóg, poza tym w domu panowała ciemność.

Bezszelestnie oparła bosą stopę na przedostatnim stopniu.

- Sylva?

Hunter gwałtownie obrócił się na pięcie.

- No proszę, i co my tu mamy? - Zachwiał się, stracił

równowagę i zachichotał.

- Przepraszam. Myślałam, że to Sylva wróciła. — Zaskoczona

Avery nie chciała go widzieć, odwróciła się, żeby wrócić na górę.

- Zaczekaj no, panienczko. Kiedyś tu przyjechała?

Avery przystanąła.

- Przedwczoraj.

Hunter przytrzymał się balustrady przy schodach. Avery ruszyła na górę. Spać z nim pod jednym dachem, w dodatku bez Sylvy? Nie podobała jej się ta perspektywa. Nie powinna była tu przychodzić.

- Chwila, panienko! - rzucił, chwytając ją za ramię. -

Szukam Wayne'a. Nie ma go w przyczepie.

- Pojechali z dziećmi do Fontany. Mars ma dzisiaj wy-

stęp. - Natychmiast zrozumiała, że popełniła błąd. Jak mogła

być tak głupia?

- Wyrosłaś, wyładniałaś...

Łypnęła na niego spode łba.

- Co jest? Wycięli ci język? - Jego przekrwione oczy pasowały kolorem do brody.

- Zaraz wróci Sylva.

- A gdzie tam. Kurwi się teraz ze swoim pięknišem. - Ściągnął ją ze schodów. - Chodź no do światła, żebych cię sobie obejrzał. Żebych zobaczył to, co ogląda mój chłopak. - Popchnął ją do holu.

- Proszę mnie puścić — nakazała śmiertelnie poważnym głosem. — To boli.

- Ładniutkaś — wychrypiał. — No, no... Dojrzałaś niczym śliweczka.

Kopnęła go, żeby się uwolnić. Popchnęła. Zachwiał się, ale nie zwolnił uchwytu.

- Powiedziałam, że to boli.

Wyrwała mu się i pobiegła w stronę schodów. Chwycił ją i zatoczyli się na regał. Zadzwończyły filizanki. Stanął za nią i opasał ją ramionami.

- Precz z łapami! - zapiszczała. -

- Daj spokój, mała. Widziałem, jakieś na mnie patrzyła. Jakęś się mi przyglądała.

- Nigdy na pana nie patrzyłam! - Szarpnęła się, odepchnęła go, ale trzymał mocno. — Niech pan przestanie, niech mnie pan nie dotyka!

Wykręcił jej rękę.

- A może dasz mi buziaka? - Przyciągnął ją do siebie.

Odwrociła głowę. Im bardziej się broniła, tym bardziej chciał dopiąć swego. - No, dziewczeczko, daj Hunterowi buziaka...

Z całej siły grzmotnęła go łokciem w brzuch. Zgiął się wpół, wtedy się wyszarpnęła.

Chwycił ją za podkoszulek, ponownie wykręcił jej rękę i popchnął do bawialni.

- Złamie mi pan rękę! Boję się pana!

Znowu się uwolniła. Uderzył ją w twarz. Policzek palił ją żywym ogniem, w uchu dzwoniło. Upadła na podłogę.

Podniósł ją, jakby nic nie ważyła, i pchnął na sofę.

Przeraźliwie krzyknęła. Krzyk go rozsierdził. Chwyił ją szorstkimi dłońmi i wrzasnął:

- Zamknij się! Nie boisz się mnie, mała! Łypałaś na mnie od lat. Widziałem, jak się na mnie gapisz tymi swoimi oczami.

Przychodziłaś tu, jak wielka dama, maciłaś dzieciakom we łbach...

- Mój tata po mnie jedzie. - Wierciła się pod ciężarem jego cielska.

- Akurat.

- Złaż ze mnie!

Zatkał jej ręką usta i nos, nie mogła ani mówić, ani oddychać. Próbowwała się wyrwać, ale nie zdołała.

- Lubisz to, panienko. Lubisz, jak mój chłopak cię obmacuje...

Utknęła w śmiertelnym potrzasku.

Była szybka. I sprytna. Może dopisze jej szczęście. Może zaraz wróci Sylva. Może tata po nią przyjdzie. Może zdoła się uwolnić. Jakoś.

Tarł o jej nagie uda brudnymi spodniami. Śmierdział wódką i zgnilizną. Jego oddech palił jej włosy. Puścił jej ramię. Zdrętwiało. Może je złamał?

Zaczął się mocować z paskiem u spodni.

Usiłowała z nim walczyć, ale nie była w stanie wykonać żadnego ruchu.

Prawą dłonią zasłaniał jej usta, lewą rozpinał spodnie. Uniósł się lekko i wiedziała już, że je zsunął: poczuła go na pośladkach.

Zaskomlała.

— Mój chłopak już się do ciebie dobrał, co nie? Ale tobie potrzeba prawdziwego mężczyzny.

Jego cuchnąca ręka tłumiła krzyk, nie pozwalała odetchnąć.

Ściągnął z niej szorty.

Nie! Boże, nie! Próbowwała go kopnąć.



Podsunał ją wyżej, wymacał pierś. Głucho jęknęła w spoconą dłoń. Ugryzła i poczuła smak tłuszczu. Przycisnął jej brzuch i lekko ją unosił.

Boże, nie. Boże, proszę, nie.

Zabrał rękę. Nareszcie mogła nabrać powietrza. Podciągnął ją wyżej, żeby wystawiła mu się jak suka psu.

Wierzgnęła, obróciła się do niego twarzą, kopiąc go i krzycząc.

Chwytał ją, rozsunął jej uda i mocno pchnął.

Czuła, że zaraz umrze.

Rozrywał ją na dwoje.

Brakowało jej tchu.

Chwyła go za włosy i szarpnęła do tyłu z nadzieją, że złamie mu kark.

Na chwilę rozluźnił uścisk.

Odepchnęła go ze wszystkich sił.

Głośno sapnął, lecz ani drgnął.

Wierzgnęła, wyswobodziła nogi i mocno go kopnęła. Strach dodał jej sił. Przeskoczyła przez boczne oparcie sofy, przywarła do ściany i drobnymi kroczkami zaczęła przesuwac się w stronę drzwi. Zaplątała się w szorty, które opadły jej na kostki. Uderzyła głową o półkę ze strzelbą.

Hunter już się podnosił, już ku niej szedł. Wymacała strzelbę. Próbowwała zdjąć ją z półki, lecz nie miała siły. Musiała się odwrócić i chwycić ją oburącz.

Tak, ogłuszy go, uderzy go kolbą w głowę...

Pokój przecięła smuga jaskrawego światła - nadjeżdżał jakiś samochód. Po chwili światło znieruchomiało, wydobywając z mroku niedźwiedzią skórę na przeciwległej ścianie. Avery usłyszała kroki na ganku. Skrzypnęły siatkowe drzwi. Światło reflektorów drgnęło, na chwilę zalało bawialnię, potem się rozmyło. Znowu zapanowała ciemność, rozpraszana jedynie światłem lampy w holu.

Sylva weszła do pokoju i stanęła jak wryta. Nie powiedziała ani słowa.

Strzelba żyła własnym życiem. Hunter poruszał się jak w zwolnionym tempie. Szedł pochylony, dla równowagi przy-trzymując się oparcia sofy. Zdawało się, że nie dostrzega córki.

Avery natrafiła palcem na spust.

Nie знаła się na broni. Wiedziała tylko, że kiedy naciśnie się spust, pada strzał. Że postrzelone zwierzę, czy to niedźwiedź, czy jeleń, natychmiast nieruchomieje.

Hunter rzucił się na nią. Sylva krzyknęła, ukryła twarz w dłoniach i podbiegła do przyjaciółki, żeby ją osłonić. Trąciła lufę i strzelba wypaliła. Hunter znajdował się o krok przed nimi.

Siła wystrzału rzuciła je na ścianę. Trzymały strzelbę obie, ona i Sylva. I obie zamarły. Potem pod Avery ugięły się nogi.

Hunter zachwiał się i cofnął o krok.

Upadł na stolik i zrzucił z niego lampę. Zacisnął ręce na piersi, przetoczył się na bok i jęknął.

- Nie! Boże, nie! - krzyknęła Sylva. W sekundę znalazła się u jego boku i zawołała: - Tato, nie! - Uklękła przy nim i rozszlochała się.

Avery z trudem łapała oddech. Nie mogła się wyprostować. Nie wyplątała się jeszcze z szortów. Coś z niej wyciekało, coś lepkiego spływało jej po nogach.

Hunter patrzył w sufit.

Na jego koszuli wykwitła okrągła plama krwi.

Avery osunęła się po ścianie i przysiadła na piętach. Żeby nie upaść, przytrzymała się strzelby.

Hunter znieruchomiał.

Sylva potrząsnęła go za ramię, wzięła za rękę. Spojrzała na Avery, potem wyprostowała się i wstała.

— Boże, co ja narobiłam?

Poruszała się tak wolno, że Avery nie zauważyła, kiedy odebrała jej strzelbę. I pomogła wstać, kiedy się nachyliła, żeby podciągnąć jej szorty. Gdy wreszcie oprzytomniała, podciągnęła je sama.

W bawialni cuchnęło prochem i potem. Avery nie mogła ustać na nogach. Znowu osunęła się po ścianie. Ciszę pokoju zakłócały jedynie ich głośne oddechy. Avery przykucnęła i objęła kolana.

Sylva uklękła i mocno ją przytuliła. Avery nie odrywała wzroku od Huntera. Na podłodze zebrała się kałuża krwi.

- Już dobrze - mówiła Sylva - już dobrze. Nie powinnam była zostawiać cię samej, to moja wina. — Przycisnęła jej głowę do piersi, jakby chciała ją ochronić.

Nie mogły przestać patrzeć na Huntera.

— Tak mi przykro, Sylva. Chyba go zabiłam... — odezwała się Avery suchym, łamiącym się głosem.

Sylva pomogła jej wstać i zaprowadziła ją do kuchni.

— Mów. Powiedz, co się stało.

Usiadły na ławie przy stole. Sylva podała jej szklankę wody. Avery upiła łyk.

— Myślałam, że to ty. Zeszłam na dół. Tak mi przykro...

- Mów dalej.

- Boże, tak dawno go tu nie było... Zaczął się do mnie dobierać...

- Wiem.

— On chyba nie żyje. Nie wiem, jakim cudem strzelba wypaliła, nie zamierzałam strzelać...

- Posłuchaj. Nikt nie może wiedzieć, co tu się stało. Próbowałam zabrać ci strzelbę, pewnie dlatego wypaliła. Powiemy, że zabił go ktoś inny. Ktoś obcy. Nie wiadomo kto.

— Ale kto? Nie możemy kłamać.

— Dobrze. To ja go zabiłam. Powiem, że mnie napastował. Po tym, co robił Charlotte przez tyle lat, słusznie mu się to należało. Łatwo się wybronię. Tu, górach, dla każdego mają inne prawo.

— Ale to ja go zabiłam. To ja w niego mierzyłam. Tak mi przykro... - W tym momencie do Avery dotarło to, co przed chwilą usłyszała. - Co znaczy, że „słusznie mu się to należało“?

— Myślałam, że ci o tym mówiłam. Hunter był ojcem zmarłego dziecka Charlotty. W każdym razie wszyscy tak uważamy.

— Boże...

— Pamiętaj: nie możemy nikomu powiedzieć. Słyszysz? Avery wypila łyk wody. Drżała jej ręka.

— Policja się dowie. Odkryją prawdę.

— Nieważne, kto pociągnął za spust. Strzelba po prostu wypaliła. Zrobiliśmy to razem. Ale ty jesteś z Florydy. Twój tata jest bogaty. Znam tutejszych, i to dobrze. Ja się z tej sprawy wykręcę, ty nie. Nie spodoba im się, że bogacze z Florydy zabijają ich kumpli. Posłuchaj mnie, wiem, co mówię. Nawet okiem nie mrugną, kiedy powiem im, że go zabiłam. Rozumiesz? Ale jeśli zeznamy, że to ty pociągnęłaś za spust, zmarnu-

jesz sobie życie. Będziesz gnła w więzieniu w nieskończoność.

Nawet tata nie da rady cię stąd wyciągnąć.

— Moje życie? I tak już je zmarnowałam. — Avery sięgnęła po szklankę. Ręce drżały jej tak mocno, że woda wylała się na stół. - Sylva, to czyste szaleństwo. W bawialni leży trup. Tam leży twój ojciec... — Nie mogła mówić, zaschło jej w ustach.

— Nie ma czasu o nim myśleć. To nie szaleństwo, Avery, to nie jest szaleństwo.

— Ale co ja powiem rodzicom? I co zrobimy z ciałem?

— Daj mi się skupić. - Sylva zwiesiła głowę, włosy opadły jej na twarz. Avery czekała, próbując normalnie oddychać. -

Dobrze, posłuchaj: pójdziemy do twego taty i powiemy mu, że Hunter się na ciebie rzucił. Kiedy ruszyłam ci na pomoc, zaatakował mnie i wtedy go zastrzeliłam. Twój tata w to uwierzy i wezwie policję.

- A ja? Co niby w tym czasie robiłam? Siedziałam i patrzyłam, jak się szamociecie? Tata nie uwierzy w ani jedno słowo.

- Uwierzy. Choćby dlatego, że będzie wolał wierzyć, że Hunter zgwałcił mnie, nie ciebie. Ludzie wierzą w to, w co chcą. Przyjedzie radiowóz. Policja zajmie się Hunterem. Nikomu nie powiemy, że cię zgwałcił, zgoda? Inaczej zabiorą cię do szpitala i lekarze odkryją, że nie był pierwszy. Dowiedzą się o tobie i Marsie. Cholera, nie. Nie możemy im powiedzieć, że mnie zgwałcił, bo wtedy to mnie zaciągną na badania. Po słuchaj: o gwałcie sza, dobra? Tak będzie najlepiej.

- Masz rację. Nie chcę iść do szpitala.

Avery była oszołomiona. Nie docierało do niej rozumowanie Sylvy, ale czuła, że przyjaciółka ma rację. Każde kłamstwo było lepsze od przyznania się ojcu, że została zgwałcona i że zabiła gwałciciela. Wolała też nie ryzykować, że ojciec odkryje, iż sypiała z Marsiem.

Nie była przekonana, że wersja Sylvy jest najlepsza z możliwych, ale ponieważ chciała czym prędzej wyjść z domu Marshallów, powiedziała:

- Zgoda, jeśli tylko nie stanie ci się nic złego.

Sylva pomogła przyjaciółce dojść do łazienki i tam ją obmyła. Avery chwiała się na nogach.

- Gdzie masz buty?

- Na górze.

- Zaczekaj, zaraz wracam. Masz tam coś jeszcze?

- Nie zostawiaj mnie samej.

Zasłaniając sobą martwego Huntera, Sylva zaprowadziła ją z powrotem do kuchni.

- Siedź tu i nie ruszaj się. Idę po buty.

Żeby nie widzieć zwłok, wyszły przez drzwi kuchenne. Ścieżka prowadziła przez ciemny tunel między wysoką kukurydzą i przydrożnymi krzakami. Nie przejeżdżał tamtędy ani jeden samochód, droga tonęła w ciemności. Noce w Appalachach są chłodne, dlatego idąc, tuliły się do siebie, żeby się rozgrzać i nie bać. Bezksiężycowe niebo nie budziło cieni. Dokoła panował gęsty mrok.

Kiedy dochodziły do ciemnego domku, coś drgnęło na niskiej gałęzi drzewa. Avery przystanęła, wstrzymała oddech i zadarła głowę. Patrzyły na nią świecące, bursztynowe oczy.

- Co się stało? — spytała szeptem Sylva.

Sowa leniwie przymknęła powieki. Nagle rozpostarte skrzydła głośno załopotały, poderwały ją do lotu i uniosły w dal.

- Chodź, to tylko ptak. - Sylva pchnęła Avery w stronę chaty. Nad strumieniem zbierała się mgła. Płynęła nad ziemią, skłębiona i mętna. Przedarły się przez nią i wreszcie weszły do bezpiecznego domku.

- Pani Baldwin! Panie Baldwin! - zawołała cicho Sylva, doskonale panując nad głosem. — Stało się coś strasznego.

Do saloniku wpadła smuga światła z sypialni. W drzwiach stała rozespana matka, nakładając szlafrok. Za nią wyszedł ojciec Avery.

Sylva zaczęła opowiadać im swoją wersję zdarzeń.

- Co? - przerwał jej Baldwin. - Rzucił się na Avery? Nic ci się nie stało?

Avery chwiejnie podeszła do krzesła i usiadła.

- Rzucił się na ciebie? — spytała matka. — Czy to prawda?

Avery skinęła głową i wbiła wzrok w podłogę.

Sylva zapewniła ich, że Avery nic się nie stało, i opanowanym głosem podjęła opowieść.

- Biłyście się z Hunterem? - dopytywała się matka. - Boże, nic ci nie zrobił?

- Nie, nic - odparła Syka. - Proszę, niech państwo pozwolą mi skończyć.

Avery wstała i podeszła do ojca. Ten objął ją i spojrzał na Sylwę.

- Mów. Co było dalej?

Avery wiedziała, że w tej chwili gotów byłby zabić. Że gdyby wyznała prawdę, natychmiast zawiózłby ją do szpitala, do lekarzy, którzy wtykaliby w nią palce i zadawali pytania. Woląла raczej umrzeć. Kłamstwo było najlepszym wyjściem z sytuacji. Bardzo bolała ją ręka, ale kości miała całe. Dziewictwo straciła z kimś innym, jednak tego nie chciała im zdradzić. Lekarz od razu by się na tym poznał i wszystko wyszłoby na jaw, tak, jak przewidywała to Sylva, która właśnie opowiadała najstraszniejszy fragment opowieści.

Rodzice byli tak zaszokowani, że zabrakło im tchu, że ugięły się pod nimi nogi.

- Chcesz powiedzieć, że on nie żyje? - dopytywał się ojciec. — Że go... zabiłaś? Boże, dzwonię na policję. I do Marsa.

- Co teraz będzie? - spytała Sylva przez łzy.

- Przesłuchają was.

- Nie! Avery tam nie było! Zapomniałam o tym powiedzieć.

Kiedy się z nim biłam, Avery wybiegła, żeby was sprowadzić.

Wtedy chwyciłam strzelbę i... i strzelba wypaliła. Avery usłyszała huk i zawróciła. Czekwała na mnie na ścieżce.

Tego wcześniej nie ustaliły, lecz Avery czym prędzej wszystko potwierdziła:

- Myślałam, że Sylva nie żyje, ale bałam się tam wejść.

- Dzwonię na policję - oznajmił ojciec i ruszył do domu

MacKinseyów, żeby zatelefonować.

Sylva, Avery i matka weszły do sypialni. Avery zwinęła się w kłębek na łóżku i rozplakała, drżąc na całym ciele. Potem przywarła do matki i długo nie chciała jej puścić.

- W Fontanie nie odpowiadają. Zadzwonimy później - powiedział ojciec po powrocie. - Ale zawiadomiłem policję, już jadą. Mam tam na nich czekać. Trzymacie się?

- Nie! Nie odchódź, tatusiu! — Avery krzyczała na próżno, gdyż ojciec już wyszedł. Opadła z sił, czuła każdy mięsień.

Matka zaprowadziła ją pod prysznic, potem wytarła. Obejrzała zaczerwienie na ramieniu w miejscu, gdzie po wystrzale uderzyła ją kolba strzelby, i sińce, pozostawione przez ręce Marshalla, po czym otuliła ją dużym szlafrokiem kąpielowym. Sylva też wzięła prysznic. Avery weszła do podwójnego łóżka. Sylva włożyła piżamę Avery i położyła się obok niej.

Udawały, że śpią, i w końcu usnęły naprawdę. Kiedy Avery się obudziła, słońce świeciło jej prosto w oczy. Sylva jeszcze spała.

- Obudź się.

Sylva była nieprzytomna jak po silnym środku odurzającym. Poruszyła się i potarła oczy, jakby próbowała sobie przypomnieć, gdzie jest i co się wydarzyło.

- Nie uda nam się, wszystko się wyda — szepnęła Avery.

- Dlaczego? Co się stało?

- Nic. Nie wiem.

Z korytarza dobiegł ich głos matki.

- Już nie śpicie? Neco-wee zrobiła wam śniadanie. Taca czeka na ganku.

- Dziękuję, mamó.

Usiadły na ganku i zjadły po kawałku zimnej grzanki. Sylva obrała banana. Chwilę trzymała go przed sobą niczym bukiet, potem odgryzła kawałek, a resztę podała Avery.

Przysiadła się do nich matka.

- Mars i Wayne już jadą. Powinni tu być przed dwunastą.

Taty jeszcze nie ma.

Avery czuła się jak kaleka. Była krucha i obolała, mogła chodzić tylko z czyjąś pomocą. Siedziały na ganku, czekając na Marsa. Wrócił ojciec. Wrócił i zaczął nerwowo krążyć nad brzegiem strumienia.

W końcu przyjechali Wayne i Mars. Długo stali przy furgonetce, rozmawiając z ojcem. Mars często zerkał na Avery i Sylwę. Z jego oczu było niewypowiedziane cierpienie i ból. Echo i matka stały z Bobbym i Shelbym.

Po rozmowie Mars i Wayne pojechali do Charlotte, żeby

0 wszystkim jej opowiedzieć.

Wkrótce potem przed domek numer trzy zajechał radiowóz

1 na ganek weszli dwaj policjanci.

- Chcemy porozmawiać z Sylwą Marshall - powiedział jeden z nich z przeproszącą miną. — Musimy zabrać ją na posterunek i spisać zeznanie.

Sylwa bez słowa podeszła do radiowozu i usiadła na tylnym siedzeniu. Avery chciała krzyknąć: „To nieprawda! Nie słuchajcie jej! To ja go zabiłam!”. Lecz nie wydała nawet najcichszego dźwięku.

Postawienie w stan oskarżenia. Adwokat. Sędzia. Proces. Sekcja zwłok. Zatrzymanie nieletniej. Sieroctwo. Policja. Śledztwo. Raport koronera. Przesłuchanie. Ograniczenie praw. Słowa te pojawiały się w oderwanych od siebie zdaniach i fragmentach rozmów. Wpadały Avery jednym uchem i wypadały drugim.

Zorganizowano pogrzeb. Uroczystość żałobna miała się odbyć na cmentarzu.

Matka nalegała, by Avery wzięła w niej udział.

- Nie, nie pójdę tam. Nigdy. Nawet za milion lat.

- Musisz. Pogrzeby są dla żywych, nie dla zmarłych.

Zacietrzewiona Avery przeszła ją wzrokiem. Nie mogła

uwierzyć, że jej własna matka może coś takiego zaproponować.

- Musisz zamknąć ten rozdział raz na zawsze.

- Nie pójdę, nawet o tym nie myśl — upierała się Avery.

: — Musisz zobaczyć, jak go chowają.

- Dlaczego?

- Przez wzgląd na swoich przyjaciół, na Sylwę i Marsa. I na siebie samą. Musisz wiedzieć, że to już koniec.

- Wszystko i tak już się skończyło.

- Musisz iść. Inaczej nigdy o tym nie zapomnisz.

Na pogrzebie stała pomiędzy rodzicami. Ojciec ją obejmował.

Matka trzymała za rękę.

Byli tam Sylwa, Mars, Wayne, Echo, Charlotte, Wiley, Shelby, Neco-wee oraz ludzie, których Avery nie знаła. Po-chmurny dzień, wilgotny i grozący ulewą, dobrze pasował do nastroju zebranych.

Na zamkniętej trumnie leżała wiązanka mieczyków.

Kto też je przyniósł?



Duchowny wygłaszał stosowne słowa, lecz Avery ich nie słyszała. Wbiła wzrok w ziemię. Potem popatrzyła na łąkę. Zobaczyła kwiaty i zieloną ścianę lasu. Słowa kaznodziei nie miały znaczenia. Wreszcie skończył. Amen.

Do grobu ojca podszedł Mars.

Stał przy trumnie, patrząc na kwiaty. Uniósł je oburącz powolnym, wystudiowanym ruchem. Kwiaty zadrżały. Mars odwrócił się i podszedł do grobu matki. Uklęknął i umieścił wiązanek przy nagrobku. Wstał, przyjrzał się swemu dziełu i wrócił do zebranych. Wszyscy go obserwowali.

Przystanął przy grubym, burym rulonie na ziemi.

Pochylił się, nie garbiąc pleców, uniósł rulon i wyprostował się, jakby salutował sztandarem podczas parady. Avery zobaczyła w nim nagle dorosłego mężczyznę.

Potrząsnął rulonem, rozwinął go, po czym nakrył trumnę ojca.

Jego ruchy były dokładnie przemyślane. Cofnął się o krok i skinął głową duchownemu.

W oddali zagrzmiało. Drobnny, chłodny deszcz spadł na ramiona Avery i ściągnął je gęsią skórką.

Centymetr po centymetrze, grabarze zaczęli spuszczać trumnę do dołu.

Niedźwiedzia skóra leżała na niej niczym żałobny całun.

\*

Po pogrzebie Mars przyszedł do ich domku. Avery wyszła do niego na ganek. Usiedli na schodach.

- Zabrali Sylwę - powiedział. - Ci z wydziału do spraw młodocianych. Krzyczała tak głośno, że straciła głos, ale i tak ją zabrali.

Po raz pierwszy od wielu dni byli sam na sam. Dzień już gasł, zapadał mglisty zmierzch.

- Dlaczego ją zabrali?

- Przypuszczam, że z kilku powodów. Zabiła Huntera, więc musi stanąć przed sądem.

- Broniła siebie i mnie, działała w samoobronie.

- Wiem, ale zdaje się, że według prawa nie można zabić człowieka tylko dlatego, że chce zrobić komuś krzywdę. Nie rozumiem tego tak samo jak ty. - Oparłszy łokcie na kolanach, wpatrywał się w ziemię.

- Przecież ona nie może pójść do więzienia. Nie zamierzają chyba... - Avery nie potrafiła dokończyć. Jakże zdoła żyć w kłamstwie?

- Prawdopodobnie zatrzymają ją w domu dla nieletnich.

Nie skończyła osiemnastu lat, do tego jest sierotą.

- Jest już prawie dorosła - zauważyła Avery. - Mogłaby mieszkać z Wayne'em i Echo.

- Z punktu widzenia prawa stanowego jest sierotą — odrzekł Mars. - Shelby'ego też by zabrali, ale Echo powiedziała, że to jej dziecko. Miała refleks.

- A ciebie wezmą?

- Ja już pracuję. Za miesiąc zaczynam studia. Jestem wy-  
starczająco dorosły, żeby sobie poradzić. - Objął ją i przyciągnął do siebie.

- Dla ciebie dzieciństwo już „się skończyło - szepnęła. Chciała wyznać mu prawdę, przynajmniej jemu, lecz była jak sparalizowana.

- Dzieciństwo skończyło się dla nas wszystkich.

- Już tu nie przyjedziemy. Czuję, że już nigdy cię nie zobaczę. — Nie wytrzymała i wybuchnęła płaczem.

- Nigdy cię nie zapomnę, Avery. Nigdy, dopóki będę żył.

Ale musisz stąd wyjechać i nigdy tu nie wracać. Ucz się. Żyj normalnie - mówił, tuląc ją do siebie.

Wstali i trzymając się za ręce, poszli nad strumień.

- Ja też będę musiał bez ciebie żyć, Avery. Trzeba się z tym pogodzić. Wieczorem wyjeżdżam. Wracam do Fontany. Moje

życie, moja rodzina... To nie dla ciebie, Avery. Wiem, że nie. Czeka na ciebie lepszy świat.

- Nie, Mars — zaprotestowała przez łzy. — Będziemy do siebie pisać, dzwonić, będziemy się widywać...

- Nie mogę - odrzekł. - Nie będę do ciebie pisał. Muszę pozwolić ci odejść. Nie rozumiesz? Jeszcze mocniej bym cię ranił.

- Nie, ty nigdy byś mnie nie zranił. — Nie wierzyła własnym

usom.

- Pocałuj mnie, Avery. A potem zapomnij, na zawsze. Nie jestem dla ciebie. W moich żyłach płynie zła krew.

- Nigdy cię nie zapomnę. Nigdy nie przestanę cię kochać.

- Przeszaniez. Posłuchaj mnie. To już koniec.

Krew odpłynęła jej z głowy, serce zamarło, nie mogła oddychać. Przestała cokolwiek słyszeć. Nie docierał do niej śpiew ptaków, nie czuła powiewu wiatru — świat przestał istnieć. Nie mogła o niego walczyć, nie mogła walczyć o Marsa, obarczona ciężarem kłamstwa.

Ostatni pocałunek. Łzy. Nie potrafiła znaleźć słów.

Zostawił ją nad strumieniem, drżącą i osłabłą. Wsiadł do furgonetki. Avery była w szoku. Nie mogła złapać tchu. Wyszła na środek drogi i odprowadzała samochód wzrokiem, dopóki nie zniknął za zakrętem.

- Chcę wracać do domu - powiedziała. - Dlaczego nie możemy wyjechać już teraz?

- Policjanci prosili ojca, żeby złożył zeznanie - odrzekła matka. - Robi co może, żeby ciebie chronić, żebyś nie musiała tam chodzić. Wyjedziemy rano. Po południu zabieram Bobbyego i Shelby'ego na Mary Poppins. Echo pomaga w czymś Wayne'owi, a chłopcom dobrze zrobi mała odmiana. Chodź z nami. Zajmiesz czymś myśli.

Umysł Avery nie radził sobie ze wspomnieniami. Na myśl o tym, co zrobił jej Hunter, ogarniała ją nienawiść, wiedziała jednak, że nie powinna go była zabijać ani potem kłamać. Nie

powinna była pozwolić Sylvie wziąć winy na siebie. Za jednym zamachem straciła i Marsa, i swoją najlepszą przyjaciółkę. Załłaciła za morderstwo? Za kłamstwa?

Ostatnie słowa Marsa długo brzmiały jej w uszach i wprawiły w jeszcze większą rozpacz. Nie kochał jej. Zresztą ich namiętność wygasła podczas tragicznych wydarzeń minionych dni. Uszła z niej cała nadzieja i radość. Mars mówił o swojej przyszłości. Ona nie miała żadnej.

Jego podejście było racjonalne, dobrze o tym wiedziała. Ale świadomość ta ani nie łagodziła bólu, ani nie tłumiała płaczu. Łzy co chwila napływały jej do oczu. Zresztą nawet gdyby Mars nie podjął tak ostatecznej decyzji, jakże mogłaby spojrzeć mu w oczy? Jak kiedyś spojrzeć w oczy Sylvie?

Głupi film budził w niej gwałtowną chęć krzyku. W końcu wyłączyła się i skupiła na swoim nieszczęściu.

Następnego dnia, kiedy rodzice pakowali walizki, na farmę MacKinseya przyjechała Echo. Chciała zamienić parę słów z ojcem. Avery przysłuchiwała się ich rozmowie z ganku.

- Aresztowali Wayne'a - zaczęła Echo.

- Za co? Przecież nie miał nic wspólnego ze śmiercią waszego ojca. Był tego dnia w Fontanie. Sylva się przyznała...

- Nie, nie, nie o to chodzi - przerwała mu Echo. - Kiedy policjanci chodzili po farmie, badając okoliczności śmierci Huntera, zauważyli na polu krzaczki marihuany i liście schnące w stodole. Nie wolno jej ani uprawiać, ani sprzedawać. Aresztowali go pod zarzutem posiadania i rozprowadzania zakazanego środka odurzającego.

- Chryste! - wykrzyknął ojciec. - Słowo daję, trudno w to uwierzyć. Tylko tego brakowało! Będzie siedział. Posiedzi jak nic. Po co mu była ta przeklęta marihuana?

- Co ja mam teraz zrobić? - spytała Echo. Zaczęła chodzić nerwowo przed furgonetką.

- Nie wiem, co ci doradzić. Bardzo ci współczuję... Może Charlotte i jej mąż wrócą na farmę?

Avery wiedziała, że Charlotte i Wiley nie mają ślubu. Wiedziała dużo więcej, niż mogłaby kiedykolwiek wyznać. Biedny

Wayne siedział w więzieniu za tylko to, że uprawiał jakieś głupie krzaczki, tymczasem ona wywinęła się od kary za morderstwo.

— Tak, naturalnie. Trudno mi zebrać myśli - odrzekła

Echo. — Dziękuję panu. Zaraz z nimi porozmawiam. — Odjechała furgonetką Wayne'a.

— Co to wszystko znaczy? — spytała Avery, kiedy ojciec wrócił na ganek.

— Wiedziałaś, że uprawiają marihuanę?

— Próbowali związać koniec z końcem.

— To znaczy, że wiedziałaś?

— Nie przyszło mi do głowy, że to niezgodne z prawem — skłamała. Uwierzy czy nie? — Uprawianie tytoniu jest legalne —

dodała. - Co zrobią z Sylwą?

— Będą się nad tym zastanawiać długie miesiące. Koła sprawiedliwości obracają się bardzo powoli.

Potrafiła całkiem dobrze kłamać. Zdziwiający, jakie to było proste.

Ale jaką cenę zapłaci za to w przyszłości?

Stała samotnie, patrząc w kierunku farmy Marshallów. Chciała pobiec znajomą ścieżką w rozedrganym słońcem powietrzu i odnaleźć Marsa i Sylwę w stodole. Może będą się bawić ze szczeniakami, opowiadać historie o duchach albo czyścić wysuszone liście? Chciała, żeby wszystko było tak jak dawniej, żeby znowu mieli po osiem lat, żeby Mars był chudym chłopczykiem, a Sylwa małą dziewczynką. Wiedziała, że już nigdy nie pobiegnie znajomą ścieżką, nie przeskoczy sterczącego z ziemi kamienia, nigdy nie zawoła Sylwy, nie obejmie Marsa ani nie poczuje jego ciepła.

Wzdłuż szosy kłaniały się stokrotki, na polach rosła kukurydza, ale ścieżka była pusta. Ta pustka krzyczała jej w uszach. Avery owinęła samotność w ból i pogrzebała ją głęboko na dnie duszy.

No właśnie: jaką cenę przyjdzie jej za to wszystko zapłacić?

## Rozdział 12

Kiedy Adam wnosił swoje walizki i paczki do bawialni, na ekranie telewizora umierali ludzie, płakały dzieci i eksplodowały bomby. Usłyszeli klakson - przed dom zajeżdżał zamówiony samochód. Avery przełączyła kanał, a rodzice pomogli synowi zapakować bagaż do auta. Podczas gdy Adam z wielką pompą wyjeżdżał na studia, z przylądka Canaveral szybowoła w kosmos rakietą. Avery znowu zmieniła kanał. Tym razem trafiła na głupi film. Te, które odgrywała w swojej głowie, były lepsze.

Codziennie przez godzinę dreptała przy skrzynce na listy. W czasie tej jednej, jedynej godziny nie walczyła z narastającą nadzieją. Kiedy zza rogu wyjeżdżał pocztowy dżip, kiedy przystawał przed kolejnymi domami, serce waliło jej jak młotem.

- Niestety, nic dla ciebie nie ma - mówiła listonoszka, wręczając jej plik korespondencji.

Mimo to Avery i tak przeglądała wszystkie listy.

Dwadzieścia trzy godziny codziennie odradzającej się nadziei kończyły się godziną otumaniającego rozczarowania.

Pochylona nad szkolną ławką, śniła na jawie albo kiwała się nad zeszytem, puszczając mimo uszu monotony wykład nauczyciela. Zakrywając kartkę ramieniem, pisała „Mars Marshall”, „Avery i Mars Marshallowie”, „pani Avery Marshallowa” tylko po to, żeby zobaczyć, jak te słowa wyglądają na papierze. Koledzy rozprawiali o meczach futbolowych, ona zaś przywoływała na pamięć szczęśliwe dni spędzone nad wodospadem

AMAS. Przebiegała w myślach znajomą ścieżką, przeskakiwała każdy jej korzeń i kamień - znała tam wszystkie występy, uskoki i zbocza. Opuściła się w nauce, czego nikt nie zauważył. Dziękowała Bogu, że przynajmniej trener przyjął ją do reprezentacji, dziwiąc się, skąd u niej nagły spadek formy.

Nocą pisywała do Sylvy i Marsa. Starannie dobierała słowa, lecz nie znała ich adresów, zresztą i tak nie wysłałaby do nich żadnego listu. Narastający strach powierzała dziennikowi, którego nigdy nie spuszczała z oka.

Jej senne koszmary zaczęły się od niedźwiedziej skóry okry-wającej opuszczaną do grobu trumnę i obmacujących ją rąk Huntera, którego nieświeży oddech mieszał się z wonią prochu. Wyobrażała sobie Sylwę w więzieniu lub w pełnej szczurów klatce, którą kiedyś widziała na filmie. Jej przenikliwy krzyk w środku nocy budził rodziców.

Pewnego dnia usiadła po turecku na łóżku i trzymając się za brzuch, zaczęła się kiwać do przodu i do tyłu.

— Wstawaj, Avery, bo spóźnisz się na autobus! — zawołała

z kuchni matka. - Śniadanie stygnie!

Codziennie słyszała to samo. Jednakże tego ranka nie po-biegła do kuchni, nie porwała ze stołu bułeczki i nie popędziła do autobusu. Na myśl o jedzeniu jęknęła.

- Jestem chora, mam, nie pójde do szkoły.

— Jeśli nie pójdziesz do szkoły, wybij sobie z głowy dzisiejszy

basen. — Matka szła do sypialni.

Avery bała się tego, co ją za chwilę czekało. Ujęła w palce zawieszony u szyi medalik i po raz tysięczny pogłaskała serdu-szko. Robiła tak, ilekroć chciała, żeby przyniósł jej szczęście, pociechę lub dodał odwagi.

W drzwiach sypialni stanęła matka. Czyściutka, zadbana, obwiązana wykrochmalonym fartuszkim, wyglądała jak z igły.

Avery jęknęła. Zacisnęła dłoń na medaliku babci.

- Co się stało? - Matka zrobiła zatroskaną minę. - Masz

okres? Boli cię brzuch?

Avery pragnęła umrzeć. Nie potrafiła wydusić z siebie tego, co musiała powiedzieć.

Matka założyła ręce na piersiach.

- No więc? - W jej głosie zabrzmiała nutka irytacji. - Nie mam ochoty podwozić cię samochodem.

- Mam, jestem chora i nie pójde do szkoły. — Avery spojrzała jej w oczy i odgarnęła włosy. Wskoczyła z łóżka, pobiegła do łazienki i zwymiotowała, choć nie miała czym.

Matka namoczyła myjkę i otarła jej twarz.

- To pewnie grypa, kochanie.

Avery zakaszłała i wypła łyk wody.

- Jestem chora jak jasna cholera.

Matka nie zmieniała wyrazu twarzy.

- Na co, córeczko?

- Od lipca nie miałam okresu. I bolą mnie piersi. Myślę, że jestem w ciąży.

- To wcale nie musi znaczyć... Pójdziemy do lekarza.

W ciąży? Przecież to niemożliwe. Nie możesz być w ciąży, dziecko.

Avery wróciła do łóżka i wsunęła nogi pod koc. Matka przysiadła na łóżku i spojrzała jej w oczy, szukając w nich wyjaśnienia. Avery wiedziała, że nie zrobi jej historycznej sceny, że załatwi to tak samo jak wszystkie inne sprawy. Załatwi i natychmiast zapomni, jakby nigdy nic się nie zdarzyło.

- Skłamałam, mamó. Hunter Marshall mnie zgwałcił.

Matka głośno wciągnęła powietrze.

- Dlaczego skłamałaś? Dlaczego nic nie powiedziałaś? Gdybyś powiedziała, zabralibyśmy cię do szpitala.

- No właśnie. Wiedziałam, że tak zrobicie. Nie chciałam, żeby ktoś mnie tam dotykał. Żeby mnie oglądał. - Powiedziała tylko pół prawdy. - Dość się naprzeżywałam.

- Mój Boże, Avery... - szepnęła matka lekko łamiącym się głosem. - Chcesz powiedzieć, że on cię naprawdę... I co było dalej? Sylva go zastrzeliła? - W jej oczach zabłysła straszliwa świadomość tego, co się stało, i związanych z tym następstw. Chowając twarz pod zasłoną z włosów, Avery kiwnęła głową.

- On nie żył, to było potworne... - powiedziała. - Nie mogłam wam wszystkiego powiedzieć. Przez myśl mi nie

przeszło, że tak to się może skończyć. - Łzy wyplakała już dawno temu. Ze wstydu ukryła twarz w dłoniach. Matka objęła ją i utuliła.

- Ciii... Zobaczysz, będzie dobrze. To nie twoja wina. Na

pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie. Porozmawiam z tatą.

- Proszę cię, tylko nie z tatą!
- Prześpij się, kochanie. — Delikatnie poklepała córkę. —

Zadzwoń do szkoły i powiem, że jesteś chora. - Wstała

i podeszła do drzwi.

- Zadzwon do trenera. Powiedz mu, żeby wykreślił mnie z reprezentacji.

- Powiem tylko, że jesteś chora. Pojedziemy do lekarza i zrobimy próbę.

Avery zwinęła się w kłębek i wtuliła w poduszkę. Wyrzuciła z siebie przynajmniej część prawdy. Przystanie chodzić na treningi. Nie pójdzie ani na dzisiejszy, ani na żaden inny. Tylko jedno umiała robić dobrze: pływać. Tylko pływanie poprawiało jej nastrój. Na korkowej tablicy nad biurkiem wisiały jej blaszane medale.

Wiedziała, że tata wróci dopiero o szóstej. Jak stawić mu czoło? Miała przed sobą dziesięć godzin na opracowanie strategii. Była w czwartym miesiącu ciąży, chodziła do liceum i jej życie już się skończyło. Dziękowała Bogu, że Adam studiuje poza domem. Na pewno by to wszystko złośliwie skomentował i śmiertelnie ją poniżył. Pragnęła być niewidzialna; podciągnęła wyżej koc. Okazało się, że potworności lata nie wystarczą. Będzie musiała znieść coś znacznie gorszego niż to, co wydarzyło się w Crowfoot Ridge. Wstrząsnął nią dreszcz. Tak bardzo chciałyby być teraz z Sylwą i Marsem. O Boże, Mars. Co by było, gdyby tak... Nie, to niemożliwe. Szybko tę myśl odpędziła. Mars zawsze używał prezerwatywy, Hunter nie.

Z zamyślenia wytrąciło ją ciche pukanie do drzwi.

- Avery, zjesz coś?

Matka postawiła na łóżku tacę. Oczy miała czerwone i zapuchnięte. Z miseczki z zupą grzybową unosiła się para, obok leżały trójkątne grzanki z żółtym serem.

Avery usiadła.

- Która godzina?
- Czwarta.
- Chyba się zdrzemnęłam. Boże, jeszcze dwie godziny...
- Jedz, kochanie.

Avery wzięła łyżkę. Ostatni posiłek skazańca, którego egzekucję zaplanowano na szóstą. Może ojciec się spóźni? Nie, to byłoby jeszcze gorsze.

- Mamo? — Znieruchomiała. — Co się ze mną stanie?



— Porozmawiam z ojcem sama, tak będzie najlepiej. I łatwiej dla was obojga. Musimy podjąć decyzję, zastanowić się, co jest dla ciebie najkorzystniejsze. Tata cię kocha. Zrobi wszystko, żeby ci pomóc.

— Ale prędzej czy później muszę spojrzeć mu w oczy.

— Wszystko będzie dobrze. Zajmiemy się tobą. Bardzo mi cię żal, ale zobaczysz, wszystko się jakoś ułoży. - Rozsunęła zasłony i pokój zalało popołudniowe słońce. O czwartej jest w październiku najgoręcej, lecz dzięki klimatyzacji upał nie doskwiera. Matka przystanęła w drzwiach.

— Miałaś dziś kilka telefonów — rzuciła przez ramię. — Uznałam, że nie zechcesz z nikim rozmawiać. - I wyszła z sypialni.

Matka, osoba, która o wszystkim decyduje. Avery nie pamiętała, żeby kiedykolwiek w życiu podjęła samodzielną decyzję. Z wyjątkiem wakacji w Crowfoot Ridge, gdzie podjęła decyzję fatalną. Spisek, który uknuły z Sylwą, był po prostu koszmarny. Zatajenie prawdy było kłamstwem, a kłamstwo pogarszało sytuację.

Skrzypnęły drzwi. Avery zeszywniała, poczuła, jak paraliżuje ją jeszcze większe napięcie. Zerknęła na zegarek: pięć po szóstej. Próbowwała głęboko odetchnąć, ale nie zdołała. Rodzice rozmawiali o kolacji. Wstała, weszła do łazienki i odkręciła prysznic.

— Jak się masz, Pączulinko! - krzyknął tata przez drzwi. -

Jak tam moja dziewczynka?

— Dobrze, tatku.

Stała pod strumieniem gorącej wody, chcąc zmyć z siebie poczucie winy. Mogła przynajmniej odwlec to, czego odsunąć

na dobre nie była w stanie. Zwlekała, ile się dało, wreszcie skończyła się ciepła woda. Nie wiedziała, co czeka ją w kuchni, czemu będzie musiała stawić czoło.

Mama wykladała ryż na półmisek. Tata siedział na swoim miejscu i pił koktajl.

— Jak było na treningu? — spytał.

— Nie poszłam na trening. — Usiadła. Na koszulę ściekała jej woda z mokrych włosów.

- Avery źle się dziś czuła - wyjaśniła matka.

— Biedulka. A teraz? Już lepiej?

- Tak.

— Dzwonił do mnie Adam — rzekł ojciec. — W czasie ferii świątecznych chcę popłynąć w rejs. Adam oczywiście pali się do tego. To dodatkowy wydatek. Uważam, że studia są wystarczająco drogie i bez tego.

— Myślę, że powinien popłynąć — odrzekła matka.

— Ta przyjemność kosztuje pięćset dolarów.

- Nieważne. Powinien popłynąć.

— Zdziwiasz mnie, kochanie. Nie przypuszczałem, że się na to zgodzisz.

Podczas tej trywialnej rozmowy Avery zdołała coś przełknąć. Ani na chwilę nie podniosła oczu znad talerza.

- Jesteś dzisiaj wyjątkowo milcząca - zauważył ojciec.

- Czy mogę już odejść od stołu?

- Naturalnie.

Avery wróciła do sypialni, nie wiedząc, kiedy matka przekaze ojcu tę straszną wiadomość. Tak, na pewno będzie musiała zrezygnować ze szkoły... Zastanawiała się, jak ludzie popełniają samobójstwo. Kiedy się zorientowała, że rodzice przeszli do bawialni, cichaczem wślizgnęła się do holu. Teraz. Teraz mu powie.

Matka mówiła bardzo spokojnie, rozważnie dobierając słowa. Ukryta za ścianą Avery podsłuchiwała. Było jej zimno z poníženia. Co za wstyd.

- Trzeba załatwić skrobankę - powiedział ojciec tak cicho, że Avery ledwo go słyszała.

- Nie, wykluczone. Zresztą na skrobankę jest już za późno.

- Dlaczego? Nic innego nam nie pozostaje.

- To bardzo niebezpieczny zabieg. Avery może przyplącić to życiem albo kalectwem.

- Wiem, że to niebezpieczne, i co więcej, niezgodne z prawem.

- Zostanie w domu — powiedziała matka.

- Nie może. Będziemy musieli odesłać ją do domu samotnej

matki. - Głos ojca nabrzmiął od łez. - Nie mogę uwierzyć, że

będzie musiała przez to przechodzić. Nie dość, że ten bydlak ją

zgwałcił, że zginął na jej oczach? Boże, czy ona kiedykolwiek się po tym podniesie? A teraz jeszcze to! Myślałem, że zgwałcił Sylwę, nieją.

- Avery skłamała.

- Dlaczego?

- To było ponad jej siły. Nie chciała jechać do szpitala i poddawać się badaniu.

- W domu dla samotnych matek miałyby przynajmniej jakieś towarzystwo.

- Nie, na takie rozwiązanie też się nie zgadzam. Avery zostanie w domu, Adamie. Słyszysz?

- Ale... ale jak to wszystko zorganizujemy?

- Jest już prawie w piątym miesiącu. W ósmym lekarze wywołają przyspieszony poród. Tak samo, jak zrobili to ze mną, gdy chodziłam w ciąży z Avery. To jej nie zaszkodzi. Dzięki temu pozostaną nam tylko cztery miesiące.

- Ale Adam przyjedzie do domu na święta - odparł ojciec. - Nie chcę, żeby się dowiedział.

- Adam popłynie w rejs. Opatrzność nad nami czuwa. Powiemy, że Avery jest chora. Ma szmery w sercu albo anginę. Zwolnimy ją ze szkoły i będziemy trzymać w odosobnieniu. - Umilkła. - A kiedy Adam przyjedzie na ferie wiosenne, będzie już po wszystkim.

- Tylko jak mu wytłumaczymy, skąd mamy małe dziecko? - Ojciec był zdruzgotany.

- Nie będziemy mieć dziecka. Oddamy je do adopcji. - Matka znalazła rozwiązanie i jej głos brzmiał jeszcze spokoj-

niej. — Avery nie może zajmować się niemowlęciem, a ja nie zamierzać wychowywać dziecka Huntera Marshalla.

Avery uciekła do swego pokoju, położyła się do łóżka i wybuchnęła płaczem. Później przyszedł tata i pocałował ją na dobranoc. Udała, że śpi. Cichutko zamknął za sobą drzwi.

Potrząsnęła głową, przetarła oczy i spróbowała przestać

o tym myśleć. Przesuwając medalik to w jedną, to w drugą

stronę, zaczęła wspominać babcię, uroczyste kolacje z okazji

Święta Dziękczynienia, urodzinowe przyjęcia, szczęśliwe chwile

z przeszłości. Jak zwykle, najważniejszą sprawą dla rodziców

było to, żeby o ciąży nie dowiedział się Adam. Chcieli go

chronić przed drobnymi tragediami życiowymi, ukryć je za

wszelką cenę.

Matka załatwiła jej półroczne zwolnienie ze szkoły. Powiedziała, że córka ma szmery w sercu i nie może wychodzić z domu. Avery próbowała powierzyć swój strach pamiętnikowi. Gotowa była zrobić wszystko, byleby tylko zrzucić z serca dławiący ciężar i znowu swobodnie oddychać. Miała wrażenie, że przygniata ją betonowy blok. Dręczyły ją nocne koszmary, raz łagodne, kiedy indziej druzgoczące.

Większość czasu spędzała w swoim pokoju. Specjalnie dla niej ojciec kupił drugi telewizor. W jego oczach widziała odbicie własnej tragedii.

Pełna wdzięku i nieporuszona matka zachowywała stoicki spokój. Przywoziła jej ze szkoły zadania domowe i co tydzień zawoziła nauczycielom odrobione lekcje. Odosobnienie nie mogło zniszczyć życia jej córce, jeśli tylko była w stanie temu zapobiec.

Avery oglądała telewizję i po odrobieniu lekcji układała puzzle z pięciu tysięcy części. Nie czuła się uwięziona i z ulgą przyjmowała fakt, że nie musi widywać nikogo poza matką

i ojcem.

A projektor w jej głowie wyświetlał wciąż te same filmy z przeszłości...

Na Święto Dziękczynienia przyjechał Adam. Avery nosiła luźne koszule, które dobrze kryły brzuch. Zresztą brat i tak by niczego

nie zauważył. Telefon dzwonił jak najęty: Adam wpadał do domu tylko po to, żeby zmienić szorty do tenisa na garnitur, po czym wychodził na prywatkę. Powiedziano mu to samo, co wszystkim innym: Avery ma szmery w sercu i potrzebuje spokoju. Ale jego i tak interesował wyłącznie bożonarodzeniowy rejs.

Miała nadzieję, że na Bermudach zmiecie go jakiś sztorm albo wessie Trójkąt Bermudzki.

List od Sylvy nadszedł pierwszego grudnia, już po wyjeździe Adama na uniwersytet. Avery niecierpliwie rozdarła kopertę, spodziewając się jedynie krótkiej wiadomości, tymczasem w kołnierzyku tkwił długi, wystukany na maszynie list. Dzięki Bogu, dzięki Bogu, powtarzała w duchu, zaczynając czytać.

Najdroższa przyjaciółko!

Chodzę teraz do szkoły dla dziewcząt w Blue Ridge. Jest cudownie. Nawet nie wiesz, jaka jestem

szczęśliwa. Mieszkam w internacie z siedmioma innymi dziewczętami. Wszystkie są w moim wieku i bardzo się ze sobą przyjaźniły. Jadamy w sto-lówce. Przy szkole jest mnóstwo pięknych trawników i można tu uprawiać wiele sportów. Poza tym chodzę na rozmowy z zakonnica, siostrą Margaritą. I, jak widzisz, nauczyłam się pisać na maszynie. Wreszcie znalazłam coś, co mi dobrze idzie.

Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze, że jesteś szczęśliwa. Cieszę się, że się tu znalazłam, nie mogło mi się przydarzyć nic lepszego. Uznali, że to był wypadek, i przysłali mnie tu, bo jestem sierotą. Pojechałam do domu na Święto Dziękczynienia, ale w szkole zostanę aż do matury. Na farmie są teraz Charlotte, Wiley, Yancey i Shelby. Echo i Bobby nadal mieszkają w przy-czepie.

Donald nie przestaje do mnie pisać. Widziałam się z nim na przepustce. Tak to nazywają, zupełnie jak w wojsku. Donald mówi, że kiedy stąd wyjdę, od razu się pobierzemy. Uważam, że jeszcze za wcześnie na takie decyzje. Ale trzeba przyznać, że był przy mnie przez cały czas.

Tutaj moją najlepszą przyjaciółką jest Sally, ale nigdy nie będę miała drugiej takiej jak Ty. Już wiem, że nie ponoszę winy za to,

co się wtedy stało, ale nadal się uczę, jak sobie z tym radzić. Chodzę do szkoły, zapisałam się na kurs stenografii i maszynopisania.

Widziałam Marsa. Przyjechał na farmę na Święto Dziękczynienia, i tylko na jeden dzień. Potem od razu wrócił na uczelnię. Bardzo mu ciężko. Książki są bardzo drogie. Nie chce mieszkać w Crowfoot Ridge i dojeżdżać do szkoły, choć to w sumie blisko. Bez pomocy Wayne'a ledwie wiąże koniec z końcem. Nadal gra, ale nie zarabia tyle, żeby mu na wszystko starczyło. To dobrze, że studiuje, nawet jeśli nie zdoła zrobić dyplomu. Bardzo lubi stolarkę i mówi, że kto wie, może rzuci naukę i zostanie cieślą.

Wayne dostał dziesięć lat. Wszyscy mówią, że po pięciu wyjdzie. Mac umarł.

Pilnie się uczymy, chcąc jak najpełniej wykorzystać okazję, że jesteśmy w szkole. Niewykluczone, że to nasza największa szansa w życiu. Tutaj jesteśmy bezpieczne.

Kiedy zabierali mnie z domu, myślałam, że umrę. Ale teraz wiem, że tak jest dla mnie lepiej. Czułam się strasznie, że tamtej nocy zostawiłam Cię samą. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, ale siostra Margarita pomogła mi wiele zrozumieć. Nadal bardzo mi przykro, Avery, i nigdy nie przeboleję tego, co się wtedy stało.

Przepraszam, że tak długo się nie odzywałam, ale nie wiedziałam, co napisać. Wszystko było takie potworne. Mam nadzieję, że już się otrząsnęłaś, że o wszystkim zapominasz i że ten rok będzie dla Ciebie wspaniały. Proszę, napisz do mnie.

Całuję

Sylva

Avery nie mogła odpisać. Nie mogła jej powiedzieć, co się stało, nie mogła już nigdy się z nią zobaczyć. Jak do tego doszło? Jak to się stało, że pozwoliła Sylvie wziąć winę na siebie? Jak? Dzięki Bogu, że Sylva chodzi na te rozmowy z siostrą Margaritą i ma koleżanki, z którymi dzieli szkolne życie. Jak to się stało, że te wszystkie wspaniałe wakacje zakończyły się tak wielką tragedią? Co miałaby Sylvie napisać?

Przeczytała list dziesiątki razy. Trzymała pióro nad kartką papieru, ale nie napisała ani jednego słowa. Nie, najlepiej do

tego nie wracać. Mars studiował i nie odezwał się ani razu. Avery doszła do wniosku, że będzie go kochała do grobowej deski, do końca swych dni, że nikomu o tym nie powie, choć już nigdy nie usłyszy jego imienia, nie zobaczy jego uśmiechu, nie dotknie jego włosów. Ta miłość na zawsze pozostanie jej tajemnicą. Nigdy nie zapomni ani Sylvii, ani jego. Niech żyją swoim życiem. Niech założą rodziny i chowają dzieci.

Jej życie już się skończyło. Nie zechce jej żaden mężczyzna, nie przyjmie jej żaden college, żadne dziecko nie będzie chciało mieć takiej matki. Mars też by jej nie chciał, gdyby znał prawdę.

Boże Narodzenie bez Adama, który żeglował po morzach, minęło w dziwnej atmosferze. Rodzice nie zaprosili gości, nie wydali przyjęcia, nie spotkali się z resztą rodziny. Cięża była coraz bardziej widoczna i zenująca. Kiedy Avery miała zły dzień, zdawało jej się, że w jej łonie rośnie diabelskie nasienie, że hoduje w sobie obcego, i na tę myśl włosy stawały jej dęba. Kiedy indziej czuła w sobie nowe życie, leciutkie drzenie, i wiedziała, że nosi w sobie małego dzidziusia. Nuciła mu kołysanki i delikatnie gładziła brzuch. Dla własnej wygody rodzice łatwo zapomnieli o tym, że jest to również jej dziecko. Brak ruchu i tygodnie bez słońca sprawiły, że zaczęła wyglądać i czuć się jak inwalidka. Jednak o dziwo, dni mijały niczym słonie, które paradują, trzymając się za ogony. Minął styczeń, luty i marzec. Lekarz postanowił wywołać poród na dziesięć dni przed wyznaczoną datą terminowego rozwiązania. Poród miał się odbyć w szpitalu w Fort Pierce. Dziecko wydymało ją do tego stopnia, że na miesiąc przed porodem nie widziała swych kolan.

Piątego kwietnia matka zawiozła swoją milczącą córkę do szpitala w Fort Pierce, gdzie nikt ich nie znał. Przygotowano dokumenty umożliwiające adopcję.

- Najlepiej będzie, jeśli w ogóle go nie zobaczysz - powiedziała, nie odrywając oczu od drogi.

Avery nie odpowiedziała.

Tego dnia dziecko było bardzo ruchliwe, bez przerwy wierciło się i kopało. Nie wiedząc dlaczego, Avery myślała o nim jako o chłopcu. Mały najwyraźniej wyczuwał, że tego

dnia wyjdzie na wolność. W pewnym sensie ona też miała tę wolność odzyskać. Będzie mogła wrócić do swego młodego życia, jak powiadała matka. Z tym że Avery nie wierzyła, iż cokolwiek jej z życia zostało.

Zapamiętała jasno świecące lampy. I nogi rozłożone, wysoko podniesione i przywiązane. Wszyscy na nią patrzyli, co odebrała jako nowy rodzaj poniżenia. Zapamiętała też głośny krzyk, może swój własny, a może kobiety rodzącej w pokoju obok. Nafaszerowali ją środkami odurzającymi. To popadała w drzemkę, to znów się wybudzała, nie całkiem odróżniając jeden stan od drugiego. Za oknami separátky zapadła noc, lecz zza drzwi prowadzących na korytarz wpadało mdłe światło. Była sama. Jej brzuch nie był jeszcze płaski, choć zabrakło w nim dziecka. Jęknęła - zabrzmiało to jak dobywające się z trzewi zawrodozenie. Do pokoju wpadła pielęgniarka i próbowała ją uspokoić. Na próżno. Skończyło się na kolejnym zastrzyku.

Kiedy się ocknęła, za oknami świeciło. Wyślizgnęła się z łóżka i boso, w szpitalnej koszuli, poszła na oddział noworodków. Dzieci były zawinięte w niebieskie lub różowe kocyki. Wszystkie łóżeczka miały plakietki z nazwiskami.

Jedno maleństwo w błękitnym kocyku nie miało nazwiska. Wiedziała, że to jej syn. Stała za szybą, przyglądając się śpiącemu dziecku, aż osłabła i poczuła spływającą po udach krew.

Korytarzem przechodziła pielęgniarka. Zorientowała się, że Avery jest bliska omdlenia, szybko znalazła wózek, pomogła jej usiąść i zawiozła z powrotem do pokoju.

Lecz Avery zdążyła przynajmniej zobaczyć syna.

\* \* \*

Kiedy szmery serca w cudowny sposób minęły, matka robiła wszystko, żeby córka zachowywała się najnormalniej w świecie. Avery wróciła do szkoły na ostatni miesiąc nauki i ukończyła ją wraz ze swymi rówieśnikami. Stała się zamknięta w sobie, wyniosła i nieśmiała. Czuła, że na jej czole pulsuje jaskrawe piętno. Była przekonana, że nikt się na tę bajeczkę nie nabrał.

- Będą cię pytać o zdrowie, Avery. Podziękuj za zainteresowanie i mów, że czujesz się lepiej. Nie musisz dodawać nic więcej.

Tyle razem przeszli, ale nigdy o tym nie rozmawiali. Avery uznała, że to bardzo dziwne. Rodzice wymietli tę sprawę z życia, tak jak wymiata się za próg piasek naniesiony przez wiatr. Liczyły się tylko wytyczone przez matkę cele.

Zaczął się nią interesować pewien koszykarz, niejaki Gary Gibbons. Początkowo nie zwracała na niego uwagi, ale kiedy zaprosił ją do kina na Doktora Żywago, zaproszenie przyjęła. Wszyscy w szkole rozprawiali o tym pięknym filmie. Gary przyjechał po nią własnym samochodem, ale nim zabrał ją do kina, wszedł na chwilę do domu i grzecznie porozmawiał z rodzicami. Był synem adwokata, którego Baldwin znał z klubu.

Oznajmiwszy Larze, że odchodzi, że zostaje z żoną i rodziną, Żywago spytał ją, czy mu wierzy. Lara spojrzała na niego i pokręciła głową. Oczywiście, że mu nie wierzyła. Avery rozszlochała się Gary'emu w ramię.

Zabierał ją na plażę i na prywatki. Potem zaprosił na bal absolwentów. Od czasu do czasu pozwalała mu na pocałunek, nie dopuszczała jednak do odważniejszych pieszczot, nie wspominając już o seksie. Wreszcie zapytała go, dlaczego z nią chodzi.

- Budzisz we mnie szczególne uczucie, Avery - odparł. -  
Bardzo dziwne. Nie jesteś jeszcze gotowa. Sprawiasz wrażenie delikatnej i młodszej od nas wszystkich. Nie potrafię tego wytłumaczyć. Kocham twoją kruchość. Nie rozumiem, na czym to polega. Wiem, że chorowałaś i muszę cię traktować z czułością. Chcę być cierpliwy. — Zawiesił głos i przeciągnął palcem po jej podbródku. — Przypominasz mi rannego królika. Chciałbym, żebyś to zrozumiała. Wiesz, o czym mówię?

- Chyba tak - odparła, myśląc, że jest sto lat starsza od swoich rówieśników.

Na rozdanie świadectw poszła z rodzicami. Ukończyła szkołę bez osiągnięć i wyróżnień. Niby czego mogła się spodziewać? Po uroczystości jej rodzice i rodzice Gary'ego wdali się w rozmowę na trawniku. Ojciec i

matka upodobała sobie Gary'ego

bardziej, niż się spodziewała. Avery go lubiła i ceniła, oni uwielbiali. Uważali, że jest wymarzoną chłopakiem dla córki, i mieli nadzieję, że pewnego dnia ją poślubi.

Tamtego lata Gary i Avery większość czasu spędzili na moto-rówce jego ojca. Pływali po zatoce, opalali się i zwiedzali maleńkie wysepki. W srebrzystych falach morza odbijał się wzorzysty rysunek mlecznego nieba. Kiedy nie pływali, siedzieli na plaży. Gdy Gary grał w golfa, ona mu towarzyszyła, prowadząc wózek. Uczył ją prowadzić samochód i nim wyjechał do college'u w Connecticut, Avery zdała egzamin na prawo jazdy. Na studia wyjechał w przeddzień jej wyjazdu do szkoły w Gainesville.

W akademiku dzieliła pokój z Lissą Caldwell. Na ostatnie lata szkoły średniej jej anioł stróż wziął sobie urlop, ale teraz zabrał się ostro do pracy, a nawet brał nadliczówki. Dziewczęta od razu przypadły sobie do gustu. Lissa stała się pierwszą przyjaciółką Avery od czasów Sylvii. Wyciągała ją z chandry, zabierała na wszelkie uroczystości szkolne, wszystkie możliwe bale męskich stowarzyszeń, na otwarte spotkania organizowane przez koła żeńskie, na wszelkie mecze, a nawet na zajęcia pozaprogramowe.

Nauczyła ją grać w scrabble i brydża. Kiedy Gary napisał do Avery, że z nią zrywa, nauczyła ją flirtować z chłopcami. Czesła ją, pomogła jej odświeżyć niemodną garderobę, zmuszała do nauki, żeby nie wylano jej z uczelni, pokazała, jak korzystać z biblioteki. Razem chodziły na tenisa, gdzie odkryły, że Avery ma beznadziejną koordynację wzrokowo-ruchową.

— To umiejętność, z którą przychodzi się na świat — powie-

działa Lissa. - Albo ją masz, albo nie. Są inne rzeczy, których

możesz się nauczyć. Życie nie kończy się na tenisie.

- Swego czasu nieźle pływałam - wyznała Avery.

Kiedy Lissa zaczęła umawiać się z Jackiem, Avery ogarnął strach. Był starszy od pozostałych studentów, brał udział w wojnie i chesne opłacał ze stypendium dla żołnierzy w służbie

czynnej czy z czegoś w tym rodzaju. Oboje bardzo szybko się zaangażowali. Avery bała się, że znowu zostanie sama. Ale Lissa

0 niej pamiętała i ciągała ją ze sobą na randki z Jackiem dopóty,

dopóki ten się tym nie zmęczył i nie znalazł dla niej chłopaka.

- Avery, to jest Ken Kessler — powiedziała Lissa tak, jakby

ofiarowywała jej prezent. - Ken robi dyplom i należy do tego

samego bractwa co Jack.

Ken uściskał jej dłoń i błysnął miłym uśmiechem.

- Skoro pochodzisz ze Stuart, jesteśmy sąsiadami. Mieszkam

w Fort Pierce. Pewnie widziałaś tam ciężarówkę mojego ojca.



Jest właścicielem „Kessler Properties”.

- Tak, chyba tak — odrzekła Avery. — I napisy na placach budowy.

- A więc już wiesz, gdzie będę pracował po studiach. -

Odgarnął z czoła kosmyk jasnych włosów.

- Ken lubi żeglować. Spędził na morzu prawie całe życie — dorzucił Jack, chcąc ją zachęcić.

- W pierwszej chwili myślałam, że mówisz o marynarce wojennej. Nigdy nie pływałam żaglówką.

- Nie, nie służyłem w marynarce. Niedługo spuszczaamy na wodę jacht. Zrobimy to przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Oświadczył się jej rok później, podczas rejsu jachtem Kesslera seniora. Oczy miał czyste jak niebo, a ona zdążyła go już poznać

1 wiedziała, że jest człowiekiem bezpośrednim i nieskomplikowanym. Nie spodziewała się, że znajdzie kogoś, kto będzie jej pragnął. Podobał jej się jego pogodny stosunek do świata.

Zazdrościła mu wiary w siebie i tupetu.

Nie musiała mu zdradzać swoich tajemnic. Mogła pogrzebać przeszłość i nigdy do niej nie wracać. Postanowiła, że o Crowfoot Ridge nikt się nigdy nie dowie.

W dniu iście królewskiego ślubu Adama z Tammy Avery włożyła seledynową sukienkę. Na uroczystość zjechało aż pięćuset gości. Suknia Tammy, uszyta z koronki i atłasu, miała

kilometrowy tren. Avery wiedziała, że nie chce takiej pompy na swoim ślubie. Rodzina Tammy zafundowała nowożeńcom miesiąc miodowy na Bermudach. Potem Adam rozpoczął studia medyczne.

Na ślubie Lissy — rzuciła naukę, żeby wyjść za Jacka — Avery wystąpiła w spokojnym kostiumie, jaki przystoi pierwszej drużynie. Miesiąc miodowy młoda para spędziła na Bahamach.

Kiedy w sześćdziesiątym siódmym Avery brała ślub z Ke-nem, miała na sobie długą suknię ze starej koronki. Została panią Avery Kessler: Avery Baldwin w końcu umarła i została pogrzebana. Lissa była jej jedyną drużną i jedyną pomocnicą. Uroczystość - o co Avery walczyła jak lwica - zakończyła się ogrodowym przyjęciem dla czterdziestu gości. Obyło się bez wspaniałej sukni, bez welonu i limuzyn. Zabawę umiłali im jeden jedyny gitarzysta klasyczny.

Miesiąc miodowy spędzili, żeglując wzdłuż wybrzeża Florydy jachtem ojca Kena.

Uczucie, jakim Avery przez tyle lat darzyła Marsa, jej matka nazwała szczenięcą miłością. To, które przyciągnęło Avery do Kena, narodziło się z pokrewieństwa dusz, z tego, że wyszli z podobnych domów rodzinnych, że mieli wspólnych znajomych, że dążyli do takich samych celów, a przede wszystkim z wdzięczności. Resztką miłości do Marsa paliła się w jej sercu niczym magiczna świeczka, taka, którą trudno zgasić.

Może szczenięcą miłość przeżywa się tylko jeden, jedyny raz?

### Część trzecia

Jechała na północ. Wiatr gwizdał przez otwarte okna, rozwiewał jej włosy, rywalizował z muzyką płynącą z radia. Skręt na St. Augustine minęła nie wiadomo kiedy. Ruch na drodze przybrał na sile i spowolnił go dopiero lekki deszcz w okolicach Jacksonville, gdzie powietrze przesycił nieprzyjemny zapach z fabryki papieru. Przybrzeżne niziny zostały daleko w tyle i wreszcie Avery zdecydowała się na przystanek. Zjadła kanapkę, napełniła bak tanią w Georgii benzyną i podelektowała uszy południowym akcentem kasjerki. Pakowane w dwu- i pięciokilogramowe torby orzeszki laskowe sprzedawano tam za bezcen. Sto pięćdziesiąt kilometrów za Savannah skręciła w lewo i wjechała na autostradę międzystanową numer dwa-dziesiąt sześć. Karolina Południowa. Powietrze było tam bardziej suche, temperatura niższa.

Wjechała między pagórki u stóp Blue Ridge Mountains i w wieczornym słońcu ujrzała liściaste lasy pyszniące się kolorami jesieni. Barw takich jak te nigdy dotąd nie widziała, a przynajmniej nie w prawdziwym życiu.

A prawdziwie życie miała dopiero przed sobą.

Droga opadała w coraz głębsze doliny, samochód z coraz większym trudem pokonywał strome podjazdy. Kolory przybrały na sile. Zakrywające zachodnie niebo chmury nabrały delikatnej barwy brzoskwiniowego i malinowego sorbetu. Obserwując przenikające się kolory, jechała prosto w zachodzące

słońce krętą wstęgą drogi. Nie były to jedynie wąskie paski wykwitającej nad widnokregiem różowawej czerwieni. Nie. W tych stronach zachodzące słońce ogarniało cały świat, rozlewało się kolorami od lewej strony do prawej, sięgało daleko za nią. Kiedy na północ od Spartanburga pojawiły się góry, kolory stały się intensywniejsze i pastele nabrały nasyconych barw kwiatów: olśniewających różów i złota. Jeden rzut oka na góry wystarczył, żeby w sercu Avery odżyło dawne poczucie przynależności.

Włączyła światła.

Znak informował, że do Hendersonville zostało trzynaście kilometrów. Zmierzch pędził na powitanie nocy.

Jej serce rwało się do spotkania z dawnymi przyjaciółmi. Nie wiedziała, jak spojrzeć im w oczy. Nie wiedziała, czy znajdzie w sobie odwagę. Strach wypalił ją do tego stopnia, że została z niej tylko pusta skorupka. Podczas tych wszystkich lat odosobnienia zapadła się w siebie, ukryła pod ciemnym welonem. Każdy następny kilometr unosił ten welon o ułamek milimetra, każdy następny kilometr zdejmował jej z

barków niewidoczny ciężar i przybliżał chwilę wyzwolenia. Nawet niepewność uleciała z niej niczym obłoczek dymu. Zastąpiło ją oczekiwanie odkupienia, wolności, a przynajmniej końca bezbrzeżnej samotności.

Noc. Hotel. Pokój. Kiedy otworzyła okna, uderzyło ją suche, rześkie powietrze. Siedziała za kółkiem jedenaście godzin, dwie godziny spacerowała po Hendersomdlle. Gdyby zamknęła okna, nie musiałyby się przykrywać puchową kołdrą. Zmęczona i zadowolona, wołała ich jednak nie zamykać. Przywołała na pamięć obraz siedmioletniej Sylvy, dziesięcioletniego Marsa, potem piętnastoletniej Sylvy i siedemnastoletniego Marsa. Oczami wyobraźni ujrzała farmę Marshallów i wszystkie jej szczegóły: dom MacKinseya, domki nad strumieniem, sto-łdołę, pędy jeżyn, górskie stoki, wysoką grań. Ileż to razy zaglądała do pudełka z zabawkami, zastanawiając się, gdzie zostawiła dzieciństwo?

Nie miała pojęcia, jak teraz może wyglądać Sylva, matka trojga dzieci, i żonaty Mars. Jak wyglądały kolejne etapy ich

życia? Czym się na co dzień otaczali? Co przechowywali w pamięci? O jakich problemach rozmawiali? Co oglądali w te-lewizji? Jak bardzo odmieniło ich dwadzieścia jeden lat dojrze-

waniar

Długa jazda, długi spacer, chłodne górskie powietrze, wygod-ny pokój i puchowa kołdra okazały się równie skuteczne jak tabletki nasenne.

Kiedy rano wyruszała do Crowfoot Ridge, górskie kotły i doliny przesłaniała gęsta mgła. Nakrapiane rosą pola lśniły, spływając ze znajomych wzniesień. Dęby i topole przybrały barwę topazu, a klony cynobru.

Farma MacKinseya wydała się jej mniejsza niż wtedy, gdy widziała ją ostatni raz. Drzewa orzechowe, niegdyś wielkie i rozłożyste, urosły jeszcze bardziej, by stać się prawdziwymi gigantami. W jej pamięci wiecznie zielone, mieniły się teraz złotem i czerwienią. Ale kolumny na zadaszanej werandzie białeły w oddali jak dawniej. Czy Neco-wee jest w kuchni?

Farma Marshallów wyłoniła się z mgły skąpana w trójkącie światła, po części wydobyta ze wspomnień, po części rzeczywi-sta. Avery znowu usłyszała zgiełk dziecięcych głosów. Znowu zobaczyła chude, opalone stopy, które pędziły przed siebie, pobrękując sprzączkami na sandałach. Brzegi łąk były upstrzo-ne kępkami stokrotek. Ubrana w jesienne barwy okolica wydała się jej jeszcze piękniejsza niż w czasach dzieciństwa.

Zaparkowała przed domem.

Nad sadzawką nadal wisiała mgła, gęstsza niż nad łąkami. Lilie już przekwitły i czekały na następne lato.

Chwilę stała przy samochodzie, po czym ruszyła w stronę zapadającego się ganku, który był wrotami do przeszłości. Jej pamięć odtwarzała w zwolnionym tempie przerażające sceny sprzed lat. Stała w miejscu, gdzie narodziły się kłamstwa i taje-mnice, gdzie powstała zмова milczenia. Przystanąła. Nie mogła iść dalej.

Na ganek wyszła jakaś kobieta. Przypominała Charlotte, ale

tylko dlatego, że Avery zobaczyła ją właśnie tutaj, w znajomym otoczeniu.

- Nazywam się Avery Baldwin - zaczęła niepewnie. - To ty, Charlotte? Pamiętasz mnie?

- Oczywiście! Boże kochany, nie do wiary...

- Przepraszam, że przyjeżdżam bez zapowiedzi i o tak wczesnej porze. Chcę zrobić Sylvie niespodziankę, ale nie wiem, gdzie jej szukać. Wpadłam tu, żeby się dowiedzieć, gdzie teraz mieszka.

- Nic prostszego — odrzekła Charlotte i poinstruowała ją, jak ma jechać. — Zemdleje na twój widok, tego możesz być pewna. Mówiła, że niedawno do ciebie pisała.

- Tak, pierwszy raz od lat. Co u ciebie, Charlotte?

- Wszystko po staremu. Wciąż jestem żoną mojego kochanego Wileya. Dużo musiał przejść, biedaczek. Yancey chodzi do Blue Ridge Community College. Do głowy by mi nie przyszło, że moja córka pójdzie kiedyś na studia. Młodo wyszła za mąż, zaraz po maturze, potem się rozwiodła i wróciła do szkoły. Uczy się o komputerach. Nie wiem, co w tym widzi, ale cóż. Echo i Wayne sprzedali tę starą przyczepę i postawili sobie chałupę. Bobby'ego wzięli do wojska. Żyjemy pomalutku. Wiosną uprawiamy ogród, pod koniec lata sprzedajemy nadwyżki, przed zimą rąbiemy drewno. Nie wejdiesz? Może przysiądziesz na chwilę?

Avery cofnęła się o krok. Nie mogła się przemóc, by podejść do ganku, wejść do bawialni, zobaczyć znajomy piec i jasną plamę na ścianie w miejscu, gdzie kiedyś wisiała niedźwiedzia skóra.

- Nie będę cię zatrzymywać — powiedziała Charlotte. — Jak cię Sylva zobaczy, będzie najszczęśliwszą kobietą po tej stronie Pisgah. Wiem, że nie możesz się już doczekać spotkania, ale wpadnij potem i do mnie, słyszysz?

- Dzięki, Charlotte. Któregoś dnia tu zajrzę. Tego możesz być pewna.

Dwa i pół kilometra prosto, potem skręt w lewo i kawałek pod górkę - to tutaj typowe wskazówki. Biały domek za żywoplotem. Skromny, ale zadbane. Wjechała na podwórze i wyłączyła silnik.

Za siatkowanymi drzwiami pojawiła się Sylva. W zamglo-

nym świetle dnia wyglądała tak, jakby stała za warstwą gazy. Avery wysiadła i podeszła bliżej.

— Sylva?

Sylva pchnęła drzwi tak gwałtownie, że trzasnęły o ścianę i z piskiem rzuciła się jej na szyję.

— To ty! Nie mogę w to uwierzyć! Nie mogę! Nie wierzę,

że naprawde tu jesteś!

Avery rozplakała się niepowstrzymanym szlochem. Objęły się mocno i zakołysały. Pamięć podsuwała Avery obrazki małych roztańczonych dziewczynek. Przed jej oczami w przyspieszo-nym tempie przesuwała się mozaika wspomnień: łapacz snów, jabłkowity koń, polne kwiaty, zbierane małymi rączkami, kalejdoskop wirujących obrazów, dźwięków, kolorów, odcieni i barw. Kosmata skóra niedźwiedzia, spadające gwiazdy, świet-łiki, zygzakowate błyskawice na ołowianym niebie. Ciemny chleb ze słodkim masłem i smażonymi zielonymi pomidorami. Śmiech.

Obejmowały się tak mocno, że zakreśliło im się w głowie. Dlaczego? Boże, dlaczego pozwoliły, by minęło aż tyle lat? Avery ujęła twarz Sylvy w dłonie, zaczęła całować jej oczy i czoło. Płakały bez poczucia wstydu i Avery otarła jej łzy w drodze do domu.

Sylva podała kawę przy kuchennym stole. Trzymając się za ręce, zaczynały mówić jednocześnie i jednocześnie milkły. Po-dejmowały dziesiątki wątków, żadnego nie kończąc.

— Opowiedz mi o swoich dzieciach, o wszystkich po kolei.

— Zaczniemy od Juniora. Jest najstarszy. Ma już szesnaście

lat. Pracuje dorywczo w kregielni, tak jak kiedyś jego ojciec.

Nie mówi o niczym innym tylko o marynarce wojennej

i o tym, że pewnego dnia pożegluje na spotkanie zachodzącego

słońca. Cóż, może jeszcze zmieni zdanie. Kto to może wiedzieć?

— Następne? - Avery zamieszała łyżeczką w filiżance kawy.

— Następny jest Joey. Ma czternaście lat i uczy się w pierw-

szej klasie ogólniaka w Brevard. Nie wiem, co z niego wyrośnie.

Jest wrażliwy, ma zdolności artystyczne. Jak Mars. - Jej głos

wciąż kojarzył się Avery z ciepłym czekoladowym kremem

topniejącym na lodach.

- A co słyhać u Marsa? - spytała, chcąc, żeby zabrzmiało to jak najnaturalniej.
- Ożenił się. Chyba ci o tym pisałam. Ma wspaniałą żonę. Wszyscy ja uwielbiają. I dziesięcioletniego synka.
- A twoja córka?
- Avery?
- Nazwałeś ją Avery?
- Nie mówiłam ci o tym? Myślałam, że wiesz.
- Nie. Jestem zaszczyczona.
- Słodka dziewczynka. Skończyła trzynaście lat i dobrze się uczy. Wszyscy są jeszcze w domu, ale myślę, że w przyszłym roku Junior nas opuści.
- A jak tam Donald? Co u niego?
- Wszystko dobrze. Zajął się ubezpieczeniami, pracuje dla State Farm. Teraz mów, co u ciebie.
- Wyszłam za mąż po pierwszym roku studiów. Przerwałam naukę i wzięłam się do handlu nieruchomościami. Ken ma firmę budowlaną. Niedawno wnieśliśmy o rozwód. Adwokaci dopracowują warunki. Nie mamy dzieci. Chyba byliśmy zbyt zajęci mniej ważnymi sprawami.
- Tak mi przykro... Ale dlaczego? Co poszło nie tak?
- Nic.
- Jak to? — Sylva zrobiła zdziwioną minę.
- Nic. Wszystko było jak trzeba. Do dnia, kiedy zdałam sobie sprawę, że żyję życiem mojej matki, zamiast swoim własnym. Twój list... Nie, twój list nie miał z tym nic wspólnego. Chciałam zobaczyć jesień w Crowfoot Ridge. Naczekałam się, nie sądzisz?
- Jesień dopiero się zaczyna. Żeby zobaczyć ją w pełni barw, musisz poczekać do połowy października. Możesz tak długo

zostać?

- Czemu nie, to już za dwa tygodnie. Spróbuję wynająć domek na kilka miesięcy. Chciałabym zobaczyć i zimę. Śnieg, o którym mi opowiadałaś.

- Nigdy nie widziałaś śniegu?

- Nie. Całe życie spędziłam na bagnach Florydy albo na

jachcie Kena. Tutaj liście naprawdę zmieniają kolory. — Spojrzała w okno. — Są cudowne.

- Tylko poczekaj, najlepsze dopiero przed nami - odrzekła

Sylva. — Jak mnie znalazłaś?

- Wpadłam na farmę i rozmawiałam z Charlotte.

- Ma już powyżej czterdziestki. Nie do wiary, prawda?

- I tylko jedno dziecko, dziewczynkę. Yancey?

- Tak. Oczywiście wychowała również Shelby'ego. Echo też ma tylko jedno dziecko. Pamiętasz Bobby'ego? Jest teraz w wojsku. Aż trudno uwierzyć, że minęło tyle czasu. - Sylva zamyśliła się. - Miałaś jacht?

- Właściwie nie ja. Jacht należał do Kena, to jego największa miłość. A co u Shelby'ego?

- Nigdy nie byłam na jachcie. Co u Shelby'ego? Nieźle się urządził, mieszka w Atlancie. To musi być cudowne... Myślę o tym jachcie i żeglowaniu.

- Wiesz, szkoda, że w dzieciństwie nie zamieniłyśmy się miejscami, choćby tylko na rok.

- To by dopiero odmieniło nasze życie, co? Chodź, pokażę ci dom. Mieszkamy tu od piętnastu lat.

Chłopcy dzielili pokój pełen plakatów zespołów rockowych

i motocykli.

Na łóżku w pokoju małej Avery stały pluszowe koniki. Na wszystkich ścianach wisiały zdjęcia koni, na półkach i półeczkach roiło się od końskich statuetek, a korkową tablicę zdobiły liczne wstążeczki.

- Oho, miłośniczka koni - zauważyła Avery. - Ja na takiej tablicy wywieszałam swoje medale.

- Ma zupełnego fioła na punkcie koni i znakomicie jeździ - powiedziała z dumą Sylva. - Chce zostać hodowcą koni, a jeśli nie hodowcą, to treserką albo weterynarzem. O niczym innym nie mówi.

Okna małżeńskiej sypialni wychodziły na ocienione drzewami podwórze. Wyszły na dwór. Sylva pokazała Avery ogródek zielny i kwitnące astry.

- Gdzie się zatrzymałaś? Mogłabyś spać u nas.

- Nie, na razie mieszkam w hotelu w Hendersonville. Muszę poszukać sobie kwatery na dłużej.

Wciąż myślała o Marsie. Nie czuła się zreżymowana, zadając zbyt dużo pytań, ale nie mogła się dłużej powstrzymać.

- A co słyhać u Marsa? Mówiłaś, że ma syna.

— Tak, Frankiego, i cudowną żonę. Musisz się z nimi zobaczyć.

Jakże mogłaby nie zobaczyć się z Marsem?

Ale jak zniesie widok kobiety, z którą się ożenił?

Nie był to dobry dzień na szczera spowiedź. Może zrobi to kiedy indziej. Przede wszystkim powinna wyznać prawdę Marsowi. Albo jemu i Sylwie równocześnie. Tylko nie dzisiaj.

- Pojedź do nich - powiedziała Sylva. - Mars ma warsztat w Crooked Creek, to po drodze do Hendersonville. Świetnie mu się powodzi. Na pewno polubisz jego żonę.

Avery bardzo w to wątpiła. Ogarnęła ją zazdrość. Co za idiotyzm.

— Nie uprzedzaj go, że przyjechałam, dobrze? — poprosiła. — Zrobię mu niespodziankę. Jesteś pewnie zajęta, a ja odrywam cię od pracy.

— Ależ skąd! Żeby spędzić z tobą dzień, odwołałabym nawet wizytę tych z Wielkiej Wygranej.



- Z Wielkiej Wygranej?
- Tych, co piszą, że wygrałaś dziesięć milionów dolarów. Nigdy nie dostałaś takiego listu? Do mnie napisali, czekam tylko na czek. — Wybuchnęła śmiechem.
- Mam nadzieję, że się ze mną podzielisz. - Avery uścisnęła ją lekko. Nie mogła się powstrzymać, musiała ciągle dotykać. - Wyglądasz cudownie. Tak się cieszę, że życie ci się ułożyło.
  
- Ta cała sprawa z Hunterem... — Sylva urwała.
- Nie powinnam była pozwolić ci wziąć winy na siebie. Co ja sobie wyobrażałam? Nie powinnyśmy były kłamać. Drogo zapłaciłaś za to, co zrobiłam.
- Za to, co obie zrobiłyśmy. Nasza wersja brzmiała wiarygodnie i nie zrujnowała mi życia. Tylko nie mów mi, że przez wszystkie lata dręczyły cię wyrzuty sumienia,
  
- Wyrzuty sumienia, tajemnica i kłamstwa, .Powiedziałaś Marsowi prawdę?
- Nigdy nikomu nic nie mówiłam. Oprócz nas o tamtym nie wie nikt na świecie. Powody, dla których wtedy kłamałyśmy, są ważne i dzisiaj. Wszystko, co powiedziałam ci tamtej nocy, jest jak najbardziej aktualne. Byłaś bogatą dziewczyną z Florydy, Avery. Oni by cię zlinczowali. A tak, spędziłam trzy lata w dobrej, prywatnej szkole. Zdobyłam wykształcenie, które w innych warunkach byłoby dla mnie nieosiągalne. Siedziałabym w domu i nie robiłabym nic poza zajmowaniem się Shelbym, Yancey i Bobbym. Choć bardzo ich kocham, nie są przecież moimi dziećmi. A w Blue Ridge chodziłam nawet do psychologa. Utrzymuję bliski kontakt z moimi szkolnymi kolegami. Przyznaję, że początkowo było mi ciężko i bardzo za

tobą tęskniłam. Nie zdążyliśmy się nawet pożegnać.

- Mimo to uważam, że zrobiliśmy źle.

- Nie, Avery, nie zrobiliśmy źle. Zresztą nie miałyśmy wyboru. — Sylva podkreśliła te słowa zdecydowanym ruchem palca.

- Chyba nigdy mnie nie przekonasz.

- Ciężko ci było to znieść?

- Boże, nie uwierzysz, jak bardzo. Koszmary nocne przez długie lata. Nie tylko to. Atak niedźwiedzia, inne historie, które ciągle do mnie wracały. Bardzo długo kochałam się w Marsie, upłynęło wiele lat, zanim mi przeszło. Szybciej zapomniałam o Hunterze. — Starła się, żeby zabrzmiało to racjonalnie, ale w głowie miała gonitwę myśli. Nawet teraz, po tej rozmowie, nie potrafiła wyznać prawdy.

- Tak samo było ze mną, kiedy myślałam, że Adam wróci, żeby się ze mną ożenić. Co u niego?

- Jest chirurgiem ortopedą. Połowę życia spędził na różnych uczelniach. Ożenił się. Mają dwoje dzieci, dwoje małych geniuszów. Oboje chodzą do prywatnej szkoły. Całe dziesięć metrów.

- Chłopcy?

- Chłopiec i dziewczynka. Adam Trzeci, rzecz jasna, i Ashley. Nie widuję ich za często. Mieszkają w Miami. Są strasznie

zajęci. Jego ślub był w Stuart wydarzeniem roku. Boże, ile to czasu minęło...

- A twoi rodzice?

- Są w dobrej formie. Nadal mieszkają w Stuart.

Spędziła z Sylwą cały dzień, próbując zapanować nad myślami. Pojechały do Brevard na lunch, wróciły do domu i rozmawiały aż do powrotu dzieci ze szkoły. Avery nie mogła pożegnać się z Sylwą, nie poznawszy jej dzieci. Patrząc na swoją imienniczkę, widziała trzynastoletnią Sylwę. Chłopcy musieli być podobni do rodziny Donalda, ponieważ nie dostrzegła w nich nawet cienia urody Marshallów.

- Mam coś dla ciebie. - Stały na podjeździe przy samocho-

dzie. - Nosiłam go wiele lat, ale chcę, żeby teraz należał do ciebie. — Avery wyciągnęła rękę z medalionikiem i upuściła go na otwartą dłoń Sylvy. — Należał do mojej babci. Pamiętasz?

- Oczywiście. - Sylva patrzyła na medalionik z niemym pytaniem w oczach. - Pamiętam, jak przesuwaliśmy go tam i z powrotem po łańcuszku, kiedy się bałaś albo byłaś zdenerwowana. Avery, nie mogę go przyjąć...

- Otwórz.

Medalionik otworzył się z cichym, metalicznym trzaskiem.

- To Adam, gdy miał dziesięć lat, i ja, chyba sześćioletnia. Sylva rozplakała się i przycisnęła medalik do serca tak samo, jak zrobiła to Avery, kiedy dostała go od matki.

- Zatrzymaj go, kochanie - szepnęła, tuląc do siebie przyjaciółkę. - Nawet nie wyobrażasz sobie, ile ten dzień dla mnie znaczy. Zostanę tu jakiś czas. Niedługo się zobaczymy.

Na farmie MacKinseya wszystkie miejsca były zajęte.

- Na ten okres ludzie rezerwują pokoje z rocznym wyprzedzeniem — poinformowała ją kobieta w recepcji.

- Neco-wee nadal tu pracuje?

- Nie. Z tego co wiem, przeszła na emeryturę. Jakies osiem, dziewięć lat temu.

- Mieszka gdzieś niedaleko?

— Chyba w Cherokee Village.

— Dziękuję. Pozwoli pani, że się trochę rozejrzę?

- Proszę się czuć jak u siebie w domu.

Podeszła szeroką ścieżką do stodoły, wspięła się na ogrodzenie i ponad krzakami jeżyn spojrzała w kierunku Crowfoot Ridge. Przed oczyma stanął jej cienisty las i wodospad.

Crooked Creek było w sumie skrzyżowaniem dróg, przy którym mieściło się przedszkole, sklep żelazny i jadłodajnia. Zatrzymała się tam na kolację. Dźwięk zawieszonych w drzwiach dzwonek obwieszczał nadejście kolejnego gościa. Większość stolików świeciła pustkami. W łóżach pod ścianą siedziały dwie pary.

Z radia płynęła muzyka country. Avery usiadła przy stoliku i spojrzała na tablicę z wypisanym kredą menu: kurczak pieczony, udziec, żeberka po wiejsku, kotlet z kurczęcia, mięsne paluszki - w dzieciństwie myślała, że chodzi o ludzkie — ziemniaki tłuczone z mlekiem, sałatka z naci rzepy, fasola na ciepło, dynia.

Stała przed nią młoda kelnerka.

- Poproszę sałatkę - powiedziała Avery. - I mrożoną herbatę. To wszystko.

Jedna z par przy ścianie wybuchnęła śmiechem, druga ociągała się z wyjściem, siedząc przy kawie. Do jadalni weszło trzech mężczyzn w roboczych kombinezonach. Zajęli stolik pośrodku sali. Wyglądało na to, że mają za sobą ciężki dzień.

— Wie pani, gdzie jest warsztat Marshalla? — spytała, gdy kelnerka przyniosła jedzenie.

— Przy Turkey Gap Road. Trzeba się cofnąć niecały kilometr, potem skręcić w prawo. Mars dopiero co wyszedł, minęliście się o włos.

Avery drżały dłonie, serce waliło jej jak młotem.

- Szkoda - odrzekła, siląc się na obojętność. - Złapię go innym razem.

Czy rozpoznałby ją, gdyby zastała go w restauracji? Czy jeszcze ją pamiętał?

Po kolacji przejechała obok warsztatu. Jego warsztatu, zago-

spodarowanego magazynu. Parkowały przed nim dwie furgonetki, stara i nowa.

Na obu widniał napis: „Mars Marshall, stolarstwo”.

Drżały jej dłonie. Zaczęło ją dławić w gardle. Minęło dwadzieścia jeden lat, odkąd widziała go ostatni raz. Cały ten czas szukała dla siebie miejsca, tymczasem on po prostu żył. Najzwyczajniej żył.

Chciała się zatrzymać, lecz nie mogła. Dzień z Sylwą dostarczył jej wystarczająco dużo emocji.

Wyśpi się. Przygotuje do spotkania.

Próbowała odnaleźć równowagę między ostrożnością i bez-myślnym entuzjazmem.

Zobaczy Marsa jutro.

## Rozdział 14

Drżący sen, którego nie potrafiła odtworzyć, wprowadził ją w pierwsze chwile poranka i umknął niczym samotne nawoływanie lelka kozodoja, unosząc ze sobą woń naturalnej skóry, smak marmolady, nieśmiałe spojrzenie, szczególny uśmiech i erotyczny dreszcz. Nigdy dotąd nie czuła się tak ożywiona. Weszła pod

prysznic, wystawiając ramiona i całe ciało na pieszczotę gorącej wody. Wytarła się grubym ręcznikiem, czując jego mięsistość i dotyk. Stała naga przed lustrem i szczotkowała włosy dopóty, dopóki nie rozboleła ją skóra na głowie. Jej oczy mieniły się głębszą zielenią niż zwykle. Nałożyła róż na policzki, ale natychmiast starła go chusteczką. Ubrała się w długą spódnicę i czarny golf. Spódnicę zaraz zdjęła i włożyła dzinsy. Wepchnęła nogawki w cholewki butów, chwyciła kurtkę i zeszła do jadalni.

Na stole czekała na nią kawa. Avery nie dostrzegła innych gości. Do sali weszła właścicielka hoteliku z tacą.

- Dzień dobry, pani Kessler. Wcześniej pani wstała. Zje pani śniadanie? Mamy jagodzianki, ale jeśli ma pani ochotę na jajecznicę, chętnie ją przyrządzę. - Postawiła tacę na stoliku.

- Proszę mi mówić po imieniu. - Nazwisko „Kessler” zabrzmiało tak obco, jakby słyszała je pierwszy raz w życiu. - Wystarczy jagodzianka. Dziękuję.

- Dobrze się pani spało?

- Pokój jest bardzo wygodny, a drzewa za oknem niezwykle piękne, takie czerwone... Miałam szczęście, że był wolny.

- To klony, najbardziej lubię je jesienią. Pokój był wolny, bo ktoś odwołał rezerwację. Mamy tu teraz szczyt sezonu. Na jutrzejszą noc musi pani poszukać pokoju gdzie indziej.

— Tak, pamiętam, proszę się nie martwić.

- Usmażyć pani jajecznicę?

— Nie, wystarczy kawa.

Kobieta położyła jagodziankę na talerzu i podała go wraz z serwetką. Avery zapomniała już, że przed chwilą sama o tę jagodziankę prosiła, i nie wiedziała, co z nią zrobić.

Nie traciła czasu. Najważniejsze to przyjechać w porę. Gdyby zjawiała się w warsztacie za późno, Mars mógłby gdzieś wyjechać i zniknąć na cały dzień. Takiego rozczarowania by nie przeżyła. Gdyby przyjechała za wcześnie, musiałaby czekać, siedzieć beczynnym i się denerwować.

Po drodze zdała sobie sprawę, że znalezienie noclegu nie będzie łatwe. Zdecydowała, że poświęci tej sprawie całe popołudnie. Mogła spróbować w sieci moteli przy autostradzie, gdyż słaby ruch nie wskazywał na szczególnie nawał turystów. Co powie Marsowi? Nic, co sobie wcześniej wymyśliła, nie brzmiało zbyt dobrze. Na parking przy jadalni roило się od samochodów.

Przed magazynem stała stara furgonetka. Avery zaparkowała obok. Bardzo ostrożnie przebyła odległość od samochodu do schodków wiodących do warsztatu.

Nie, nie mogła się do tego przygotować, żadnym sposobem.

Ogarnęły ją mdłości, jednocześnie odczuła wielki przyływ energii.

Jak on zareaguje?

A ona?

Zebrała się na odwagę, weszła po schodkach na rampę, zajrzała do warsztatu i powiodła wzrokiem po stołach, na których powstawały szafki. Przy jednym z nich stał pochylony mężczyzna. Jego postać wydała się jej znajoma. Ale nie był to Mars.

Podłogę pokrywała warstwa trocin i obrzynków drewna.

Wszędzie widziała narzędzia stolarskie i piły.

Mężczyzna odwrócił głowę.

- Och, to ty, Hoyt? — zapytała Avery, rozpoznając w nim muzyka z zespołu Marsa z czasów szkoły średniej. Jak to możliwe, że go jeszcze pamiętała?

- We własnej osobie. Czym mogę służyć?

- Nazywam się Avery Baldwin. Wiele lat temu przyjeżdżałam do Marsa i Sylvy...

- Coś takiego! — Uścisnął jej rękę. — To nie do wiary, że pamiętasz, jak mi na imię. Ale i ja twój nie zapomniałem.

- Jest Mars? - zapytała, z trudem panując nad głosem.

- Przed chwilą dokąś wyskoczył, zaraz wróci - odparł Hoyt. — O rany, świetnie wyglądasz! Mars się zdziwi, jak cię zobaczy.

- Zaczekam. Nie chcę ci przeszkadzać w pracy, posiedzę w samochodzie.

- Wykluczone. Zrobię ci kawy. Jak chcesz, możesz poczekać w biurze.

- Nie, popatrzę, jak pracujesz. Nie będę ci przeszkadzała?

Co u ciebie? Nadal grywasz na gitarze?

- Czasami. Ale Mars gra, i to często. W Asheville, bywa, że nawet w Greenville. — Nalał jej kawy. — Ze śmietanką? Z cu-

krem?

- I z tym, i z tym. Zespół się rozpadł? Jak się nazywaliście?

Crowfoot Ridge Bluegrass?

- Tak jest. Rany, kiedy to było... - Podał jej filiżankę. -

Rozpadliśmy się wiele lat temu. Ale czasem zbieramy się i coś tam razem brzdąkamy.

- Robicie niezwykle szafki — zauważyła.

- Tylko na zamówienie. Pewnie tego nie wiesz, ale Mars to prawdziwy geniusz. Perfekcjonista. Najlepszy stolarz w okolicy.

Zobaczyła nagle siebie, jak klęczy przy Marsie, jak bierze kawałek papieru ściernego i pociera nim trumienkę, którą zrobił dla małej Janie. Obserwowała go, gładząc drewno tak samo jak on.

- Nigdy dotąd takich nie widziałam, są naprawdę piękne. -

Usiłowała zapanować nad urywanym oddechem.

Hoyt przyjrzał się jej badawczo. Czyżby wyczuł jej niepokój?

- Gdzieś ty się tyle lat podziewała? - spytał.

- Na Florydzie. A ty?

— Ja? Tutaj, w górach. Nigdy stąd nie wyjeżdżam.

- A Mars? Mieszka gdzieś w okolicy?

— Wyżej. — Machnął ręką za siebie. — Zbudował dom przy strumieniu. Jakies dwadzieścia lat temu wykupił wielką działkę, przerobił magazyn na warsztat, a potem postawił dom. Ma tam aż cztery hektary.

Zesztywniała, słysząc warkot nadjeżdżającej furgonetki.

— Oho, już jest — powiedział Hoyt.

Odstawiła filiżankę, podeszła do drzwi i przyjrzała się wysokiemu mężczyźnie w dzinsach, który wysiadał z wozu. Był nadal szczupły, kanciasty i zupełnie niezmienny na twarzy.

Zaschło jej w gardle.

Podniósł wzrok, natychmiast ją rozpoznał i omal nie prze-wrócił się z wrażenia.

- Avery?

Biegł, przeskakując po dwa schodki naraz.

— Avery? Boże, to ty! Avery, nie wierzę!

Padła mu w ramiona, przywarła do niego, nie mogąc wydusić ani słowa. Całował jej policzki, czoło. Miała wrażenie, że przez dwadzieścia jeden lat wstrzymywała oddech i nareszcie może nabrać powietrza. Trzymał jej twarz w dłoniach. Na chwilę odsunął Avery od siebie i przytrzymał na długość ramienia.

— Daj na siebie popatrzeć. Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś.

Jezu, Avery, aleś ty wypiękniała!

Łzy radości nie pozwalały jej mówić, ale patrząc mu w oczy, odpowiedziała uśmiechem i potrząśnięciem głowy. Objęła go i mocno przytuliła.

- Mars, minęło tyle czasu! Nie mogę się na ciebie napatrzeć.

Masz takie długie włosy. Co u ciebie słychać? - Dotknęła



kuczka ściągniętego gumką nad kołnierzem.

Te jego oczy... Boże, jego oczy wciąż ją elektryzowały.

I ten uśmiech... Ani na chwilę nie zapomniała tego szczególnego uśmiechu.

Popatrzyła mu w oczy z silnym postanowieniem, że nie powie, że kochała go, kocha i nigdy nie przestanie go kochać. Nie powie mu, że przez te wszystkie lata nie mogła o nim zapomnieć.

— Kocham cię — wyszeptala mu w szyję, czując dotyk miękkiego zarostu na twarzy.

— Nigdy o tobie nie zapomniałem, Avery. Nigdy.

— Naprawdę?

— Ani przez jeden dzień.

Odsunęli się od siebie, wciąż trzymając się za ręce.

— Dobrze cię znowu widzieć, Mars. Nawet nie wiesz, ile razy o tobie myślałam, jak bardzo za tobą tęskniłam.

— Jestem oszołomiony — odrzekł. — Zaszokowany. Avery, wyrosłaś na piękną kobietę. Dużo piękniejszą od dziewczyny, którą pamiętam sprzed lat.

— Nieprawda, i dobrze o tym wiesz.

— Widziałaś już Sylwę? Oszaleje, kiedy się dowie, że tu jesteś.

— Byłam u niej wczoraj.

— Dlaczego nic mi nie powiedziała?

— Bo ją o to prosiłam. Chciałam ci zrobić niespodziankę.

— Udało ci się w stu procentach! Chryste, mogłem umrzeć na atak serca!

Wziął się w garść i wszedł do warsztatu. Chwilę rozmawiał z Hoytem, potem dołączył do niej i poszli razem do jadalni, w której jadła kolację poprzedniego dnia. Wybrali stolik na uboczu i zamówili kawę. Mars nie puszczał jej ręki.

— Często tu przesiaduję - powiedział, machając do kogoś po drugiej stronie sali. Kiedy kelnerka przyniosła kawę, zamówił śniadanie, specjalność zakładu.

Przegadali całe przedpołudnie, wspominając wszystko, każde słowo, jakie kiedykolwiek między nimi padło. Nie zapomnieli niczego, żadnego, nawet najdrobniejszego wydarzenia z dzieciństwa. Smarując masłem ogromny suchar, opowiedział jej o żonie i synu. Mordując się z nożem, którym próbowała odkroić plaster słonawej szynki, ona opowiedziała mu o Kenie i o rozwodzie.

- Nie musisz wracać do pracy? - spytała, widząc, że do jadłodajni zaczynają się schodzić goście na lunch.

- W życiu! Chcę być z tobą. Co robimy? Nie możemy tu siedzieć cały dzień.

- Pojedźmy gdzieś.

Wrócili do warsztatu. Chciał poprowadzić jej BMW, pojechali więc do Pisgah National Forest. Usiedli przy wodospadzie Looking Glass i wspominali AMAS. Obejmowali się, rozmawiali i trzymali za ręce. Podjechali do wodospadu Sliding Rocks, gdzie byli zupełnie sami. Dokoła szalała jesień, w wyższych partiach gór jeszcze wyrazistsza.

W końcu wrócili na Blue Ridge Parkway i jakiś czas jechali przed siebie. Na późny lunch zatrzymali się w gospodzie w Pisgah. Usiedli przy stoliku z widokiem na góry.

Dzień był chłodny, wietrzny, suchy i rozświetlony słońcem.

- Gdzie się zatrzymałaś? - zapytał, czekając na rachunek.

- W hotelu w Hendersonville.

- Jak długo możesz zostać?

- Chcę zobaczyć jesień. I zimę. Nigdy nie widziałam śniegu.

Zapłacił i wrócili do samochodu.

- Nie zawsze tu pada, ale w tym roku będzie.

- Skąd wiesz?

- Bo gąsienice są bardzo kosmate i czarne.

- Ubrały się w futerka? — zapytała ze śmiechem. — Chcę

wynająć małe mieszkanie. Byłam u MacKinseyów i pytałam o wolny domek, ale niczego nie mają. Zresztą nie byłby to najlepszy pomysł.

Zjechał na pobocze i poszli na spacer zboczem grani, podziwiając panoramę gór.

- Wszystko zajęte, bo zaczął się sezon. Nie znajdziesz nawet wolnej pakamery, ale ja coś dla ciebie mam.

- Masz? Co?
  - Pokój nad warsztatem. Za dnia jest tam dosyć głośno, za to nocą będziesz miała spokój. Mieszkałem tam przed ślubem, kiedy budowałem dom. To nic specjalnego, taka tam kawalerowska dziupla.
  - Nie chcę ci się narzucać. - Pomyślała, że na gorszy pomysł nie mógł już chyba wpaść.
  - I nie będziesz. Mieszkanie jest puste i do wzięcia.
  - Odpada. Cały czas będziesz miał mnie pod nosem.
  - Avery, właśnie tego chcę. - Objął ją i przyciągnął do siebie. Niemal zupełnie niechcący zetknęli się ustami. Pocałunek musnął jej serce, sięgnął głęboko w przeszłość, na nowo rozpalił nigdy niezapomnianą namiętność.
- Odsunęła się.
- Mars, nie. A twoja żona? Tak nie można. Nie mogę się do ciebie wprowadzić. Zwariowałeś? Twoja żona też by się z tego nie ucieszyła. Nie widzisz, jakie to niebezpieczne? — Od pocałunku wirowało jej w głowie.
  - Przepraszam, nie chciałem, straciłem głowę. Chcę, żebyś była blisko mnie, choćby tylko przez chwilę. Chcę cię na nowo poznać. Możemy nad tym zapanować. Nie, Beverly nie będzie miała nic przeciwko temu. Nie mogę się doczekać chwili, kiedy was sobie przedstawię. I kiedy zobaczysz Frankiego.
  - Nie wiem, może ty jesteś w stanie nad sobą zapanować, ale ja sobie aż tak nie ufam. Nie przyjechałam tu, żeby niszczyć twoje małżeństwo czy burzyć ci życie. Czułam tylko, że muszę was zobaczyć, ciebie i Sylwę.

Nie chciała spotykać żadnej żony. Już teraz była o nią zazdrosna. Frankie to co innego, jego mogła zobaczyć, żony nie. Czy będzie podobny do dziecka, które widziała kiedyś tylko jeden jedyny raz? Dziecko.

Postanowiła nigdy mu o tym nie wspominać. Po co burzyć ich szczęśliwe życie?

- Będę musiała to przemyśleć - dodała.

- Pojedziesz ze mną - rzucił pod wpływem chwili. - Tak, poznasz Beverly i Frankiego. Po co czekać? Beverly namówi cię na tę kawalerkę. Zobaczysz, jestem tego pewien. Zjesz z nami kolację i...

- Myślę, że twoja żona znajdzie tysiąc powodów, dla których nie zechce, żebym się tam wprowadziła.

Minęli warsztat i stromym, niemal ukrytym podjazdem pojechali w stronę domu. Jesienne dni stawały się coraz krótsze

i zaczął już zapadać zmierzch. Dom zlewał się z lasem, barwy mieszały się, przybierając odcień sepii. Avery nie chciała poznać żony Marsa. Drżała na tę myśl. Zaparkował, otworzył drzwi, wziął ją za rękę, wprowadził na ganek, a stamtąd do domu.

- Już jestem! - zawołał. - Mam dla ciebie niespodziankę!

I to jaką - pomyślała Avery. Zaskrzeczał jakiś ptak.

- Niespodzianka dobrze mi robi.

Żona Marsa siedziała na wózku inwalidzkim, a jej nogi otulała kołderka uszyta z kolorowych łątek. Była piękną kobietą. W gasnącym słońcu jej twarz jaśniała dziwnym blaskiem. Mars zapalił lampę i pokój natychmiast ożył. W mlecznej atmosferze zmierzchu drewniane meble na tle drewnianych ścian tworzyły ciepły nastrój. Pocałował żonę w czoło. Jej włosy osłaniała związana na karku chusta.

- Spójrz, kogo tu mamy — powiedział, a ptak zawtórował mu skrzekiem. - Cicho, Wściubek.

- Podejdź bliżej. - Kobieta wyciągnęła rękę. Avery zrobiła parę kroków w jej stronę. — Usiądź przy mnie.

Usiadła na stojącym tuż obok krześle z prostym oparciem. Żona Marsa wzięła ją za rękę.

- To jest Avery Baldwin - powiedział Mars, jakby wiedział, że jego żona rozpozna to nazwisko. — Avery, to jest Beverly.

- Avery... A więc to ty jesteś tą przyjaciółką z dzieciństwa. — Uścisnęła jej dłoń i spojrzała w oczy. - Bardzo się cieszę.

- Ja też - bąknęła Avery. Zastanawiała się, na co Beverly choruje. Mars nic o tym nie wspomniał.

Ptak znowu zaskrzeczał. „Dzióbka dla Wściubka” - powiedział zupełnie wyraźnie. Avery wciąż go nie widziała.

- Piękna kołdra. Bardzo stara? - spytała.

- Bardzo - odrzekła Beverly z uśmiechem. - To kapa. Moja

babka zrobiła ją na swoje małżeńskie łóżko mniej więcej sto lat

temu.

Avery nie mogła wytropić w jej głosie nic poza najprawdziwszą radością.

Donośny skrzek. „Dzióbka dla Wściubka”. To znowu ten ptak.

- Musimy się z nim przywitać, inaczej nie da nam spoko-

ju - powiedział Mars. - No dobra, Wściubek, chodź! - Głośno

załopotały skrzydła i spomiędzy krokwi sfrunął ptak. Kiedy

wylądował na ramieniu Marsa, ten udał, że obsypuje jego dziób

drobnymi pocałunkami. Ptak był srebrzystoszary, miał białe

obwódki wokół oczu i ogon z długich czerwonych piór.

- Dzióbka dla Wściubka — powiedział. I głośno zaskrzeczał.

- To samiec papugi żako. Niezbyt urodziwy, za to wielki

z niego pieszczoch.

- Nazywa się Wściubek?

- Tak jest. - Mars przytrzymał go, podniósł rękę i Wściu-

bek odfrunął pod dach. — Kiedy ktoś przychodzi, koniecznie

trzeba go przedstawić. Teraz da nam spokój. Ma dwanaście lat,

uwierzysz? Zaraz otworzę wino.

- Jaki to cudowny dom - powiedziała Avery i wstała, chcąc

go obejrzeć.

- Mars, oprowadź Avery po domu — zaproponowała Beverly. —

Sam go zbudował, mówił ci? - Uśmiechnęła się z wyraźną dumą.

Mars podał im po kieliszku wina. Avery tak bardzo zaschło w gardle, że pierwszym łykiem omal się nie udławiła. Beverly trzymała kieliszek oburącz i z dużym wysiłkiem próbowała umoczyć w nim usta.

Mars oprowadził Avery po domu. Każdy fragment tego drewnianego pałacu — podłogi, ściany, sufit, meble, szafki, każda widzialna powierzchnia — był zrobiony z drewna. W kamiennym kominku leżał wystygły

popiół. Mars pokazał Avery starą szafkę i regał na książki, które własnoręcznie odrestaurował. Potem wąskimi schodami weszli na górę.

- Tutaj jest pokój Frankiego. Frankie, szykuj się, chłopie.

Gość na horyzoncie!

Twarz chłopca tonęła w błękitnej poświacie komputerowego monitora. Gdyby nie miedziany kolor włosów, do złudzenia przypominałby dziesięcioletniego Marsa. Miał włosy Huntera. Jak te geny przechodzą z pokolenia na pokolenie. Avery zaczęła się zastanawiać, czy jej dziecko też jest rudowłose.

- Dzień dobry - powiedział chłopiec.

- Dzień dobry — odrzekła Avery. — Wyglądasz jak twój tatuś, kiedy miał dziesięć lat.

- Wszyscy tak mówią. To pani tak długo zna tatę?

- Można tak powiedzieć... Komputery przyprawiają mnie o zawrót głowy.

- Ale nie jego - wtrącił Mars. - To fanatyk. Frankie, to jest Avery. To właśnie na cześć tej pani ciocia Sylva nazwała swoją córkę.

- O, to już wiem, kim pani jest. Dużo o pani słyszałem, od taty i od cioci Sylvy. — Chłopiec wstał zza biurka, podszedł bliżej i podał jej rękę.

- Ciepło mnie witacie. Dzisiaj wy, wczoraj Sylva... Gdybym to przewidziała, przyjechałabym dużo wcześniej.

- Tato, zrobisz kolację?

- Tak, tak, inaczej nie zjemy przed północą.

Wrócili na dół i weszli do kuchni.

- Mogę w czymś pomóc? — zapytała Avery.

- Nie, nie. Idź do Beverly. Nie znosi telewizji, na pewno wolałaby porozmawiać.

Avery wróciła do bawialni. Usiadła obok Beverly i napełniła kieliszki winem.

- Poznałam Frankiego - powiedziała. - Świetny chłopak.

- Wszyscy mówią, że jest ładny podobny do małego Marsa. Sama nie wiem. Dziesięcioletniego Marsa widziałam tylko na zdjęciach.

Avery chciała zapytać, co jej dolega. Nie zapytała, lecz Beverly najwyraźniej czytała w jej myślach.

- Chemia zabrała mi włosy. Wielka szkoda, bo były dość ładne. Podobno mogą jeszcze odrosnąć, ale minęło już tyle czasu... Gdyby miały taki zamiar, już dawno zaczęłyby rosnąć.

- Tak mi przykro. - Było jej przykro, że Beverly tak łatwo odgadła jej myśli.

- Co porabiałaś przez te wszystkie lata? Wyszłaś za mąż? Masz dzieci?

Mars dołączył do nich i rzekł:

- Avery chciałaby spędzić kilka miesięcy w górach. Zapro-

ponowałem jej kawalerkę nad warsztatem. O tej porze roku nic innego tu nie znajdziesz.

- Kawalerkę? - powtórzyła Beverly. - Od dawna stoi zamknięta, straszny tam bałagan.

- Nie, nie — zaprotestowała Avery. — Przez myśl mi to nie przeszło. Na pewno coś sobie...

- Nie znajdziesz nic innego — powtórzył Mars. — Poza tym naprawdę chcę, żebyś się tam wprowadziła. Wysprzątam ją w pół godziny.

- Nie, Mars - oponowała Avery. - Chyba nie. W każdym razie muszę to sobie przemyśleć.

- Mars ma rację — wtrąciła Beverly. — O tej porze roku trudno tu o kwaterę.

Mars wrócił do kuchni.

- Kolacja będzie gotowa za minutkę - rzucił przez ramię.

- A teraz opowiedz o swojej rodzinie - poprosiła Beverly.

Avery opowiedziała jej skróconą wersję wydarzeń, zresztą

dłuższa w ogóle nie istniała. Żeby zmienić temat, zaczęła wygłaszać pochwały na temat domu i unosić się nad nim z zachwytem. Uznała też w duchu, że ich małżeństwo jest naprawdę bardzo wyjątkowe.

Mars zaprosił wszystkich do stołu. Frankie pchał wózek matki.

Przy kolacji chłopiec zdominował rozmowę, bez przerwy rozprawiając o szkole i kolegach. Miał oczy Marsa. Avery obserwowała jego ożywioną buzię, roześmiane, pełne wyrazu i ciepła oczy. Był bystry i wrażliwy, taki sam jak mały Mars.

- Wieprzowiny z fasolką? - zaproponował Mars. - Pyszna, zaprawiona melasą i cebulą.

Avery wzięła salaterkę, nałożyła sobie wieprzowiny i surówki z kapusty. Jedzenie dla Beverly Mars rozdrobnił na niemowlęcą papkę; Avery miała wrażenie, że składa się z samej fasoli i musu jabłkowego. Choroba Beverly nabierała przy stole bardzo rzeźczywistego wymiaru.

- Mars nigdy o tobie nie zapomniał.

Oszołomiona Avery znieruchomiała.

- Mówił ci o tym?

- Tak, tak, opowiadał mi o tobie, zanim się pobraliśmy.

O bardzo wyjątkowej dziewczynie ze swojej przeszłości.

Avery odebrało mowę. Czyżby w uśmiechu Beverly czaiło się coś zdradzieckiego?

- Beverly, nie musisz jej opowiadać takich rzeczy - wtrącił

Mars. — Chcecie jeszcze wina?

- Jest uczciwy - ciągnęła Beverly, nie zwracając na niego uwagi. — Powiedział mi prawdę i pozwolił dokonać wyboru.

Jesteś dla nas kimś wyjątkowym, gdyż to, co łączyło cię z Marsem, było wyjątkowe. Pierwsza miłość może zostawić rany, może mieć niszczycielską moc. Ale wam szczęście dopisało. Wysłam za Marsa, znając prawdę o jego przeszłości, a nie wszystkie żony mogą to powiedzieć.

Avery była zakłopotana. Chciała się ukryć w mysiej dziurze

1 wcale nie uważała, że mieli z Marsem szczęście. Zastanawiała się, o czym jeszcze Beverly wie. Mars dołał jej delikatnego wina.

Beverly upiła łyk. Drżały jej ręce i kieliszek się przewrócił.



Frankie i Mars rzucili się na pomoc.

Po kolacji Mars zabrał Beverly do sypialni i dłuższy czas nie wracał. Avery pomagała Frankiemu w kuchni.

- Frankie, czy twoja mama... - Zawahała się. - Czy mama od dawna choruje?

- Od dwóch lat wiemy, że jest chora - odparł. - Ma białaczkę. Leczyli ją różnymi metodami, chemią, i w ogóle. Nie znam szczegółów, ale niewiele jej to pomogło.

- Bardzo mi przykro. Na pewno jest wam bardzo ciężko.

- Jak idzie? — zapytał Mars, wchodząc do kuchni. — Może w czymś pomóc?

- Już skończyliśmy - odrzekł Frankie, zakręcając kran.

- No, muszę już iść - powiedziała Avery. - Dziękuję za kolację. Była wspaniała.

Odprowadził ją do samochodu i przytulił. Przez cały dzień pragnęła go bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. W jego ramionach czuła, że i on jej pragnie.

- Nie - szepnęła, wysuwając się z jego objęć. - Nie możemy.

- Wiem.

- Musimy nad tym zapanować - powiedziała, dotykając jego najukochańszej twarzy.

- Tak, i zapanujemy. Avery, proszę cię, wprowadź się do mojej kawalerki. Przyjedź jutro i obejrzyj ją, zrób przynajmniej tyle.

- Nie, wykluczone. Nie mogę mieszkać wam na karku. Coś sobie znajdę. Powinam była zająć się tym dzisiaj.

- Posłuchaj...

- Dzisiejszy dzień był piękny, ale musimy być realistami.

Nie może między nami do niczego dojść, nie wolno nam do tego dopuścić. Nie chcę żadnego romansu, Mars. Rozumiesz?

- Rozumiem. Poradzimy sobie. Ja sobie poradzę. Chcę, żebyś tu była. Nie zdradzę Beverly.

Pełen emocji dzień tak ją wykończył, że niemal chwiała się na nogach. Musiała się wyspać. Musiała pomyśleć.

Zostawiła go i wróciła do hoteliku w Hendersonville.

Otworzyła na oścież wszystkie okna i zwinęła się pod dużą puchową kołdrą. Zamknęła oczy i pod powiekami zawirowały jej sceny minionego dnia.

Kiedy nazajutrz rano siedziała przy kawie, właścicielka hotelu potwierdziła, że sytuacja nie uległa zmianie.

- Może znajdzie pani coś w motelu - powiedziała - ale wątpię, żeby udało się pani wynająć domek, chyba że na cały rok. Wtedy kto wie. Hoteliki takie jak ten są teraz przepelnione.

Skoro chciała zostać - a chciała - nie miała wyboru.

Choć niechętnie, Mars przyjął od niej sto dolarów jako opłatę za miesięczny czynsz. Tuż przed wejściem do kawalerki ogarnął ją najprawdziwszy strach.

— To żadne luksusy — powiedział Mars. — No i trzeba tu posprzątać. — Wręczył jej klucz.

Kiedy pchnął drzwi, w promieniach słońca zatańczył kurz. Tutaj też wszystko było drewniane, bardziej siermiężne niż w domu pod lasem, lecz utrzymane w tym samym rękodzielniczym stylu.

- O rany, jest gorzej niż myślałem.

- Dam sobie radę — odrzekła. — Nie ma sprawy. Pomożesz mi otworzyć okna. Masz tu pościel?

- W szafie. Ale chyba trzeba ją wyprać. Zabierz wszystko do domu. Beverly pokaże ci, gdzie jest pralka.

- Wracaj do pracy. Potrafię o siebie zadbać. Mieszkanie jest śliczne, jak z bajki. Będzie mi tu dobrze. Dziękuję ci, sama posprzątam. No, idź już, idź. — Wypchnęła go za drzwi.

Cały ranek sprzątała. Mieszkanie, które sam zbudował. W którym kiedyś mieszkał. Zebrała pościel, ręczniki, zasłony i zawiozła je do domu Marsa do prania.

Beverly siedziała w wózku w bawialni. Ogień prawie już wygasł.

- Beverly? Nie jesteś chyba sama? — zapytała Avery, przeskakując krzykując skrzek Wściubka.

- Mars zagłąda do mnie co parę godzin - odparła Beverly. -

Cicho, Wściubek! Za chwilę się uspokoi.

- Zdecydowałam się wynająć waszą kawalerkę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu.

- Teraz to już i tak nie ma znaczenia, nie sądzisz?

- Mars powiedział, że mogę to u was uprać. Przepraszam cię, to musi wyglądać potwornie. Pojadę do pralni. Dołożyć do ognia?

- Nie wyglupiaj się. Za kuchnią jest pralka i suszarka.

Proszek i całą resztę znajdziesz na półce.

- Nie, nie, muszę iść. - Avery cofnęła się o krok. - Nie powinnaś zostawać sama. Nikt nie może z tobą posiedzieć?

- Włącz pralkę, to pogadamy. Jeśli tylko Wściubek nam pozwoli.

Avery czuła się niezręcznie, jak intruz. Przeszła przez kuchnię, nastawiła pranie, wróciła do bawialni, położyła polano na palenisku kominka i wzruszyła popiół pogrzebaczem. Pod popiołem był żar i drewno szybko zajęło się ogniem.

- Dorzuc jeszcze jedno - poprosiła Beverly, szczerzej otulając się wełnianą podomką. Kolana otulała kapą babki.

Kiedy ogień rozpałił się na dobre, Avery usiadła.

- Moja rodzina mieszka daleko stąd. Mars często do mnie

zagłąda, a po szkole jest ze mną Frankie. Postanowiliśmy wytrwać jak najdłużej bez pomocy obcych.

Ostatnie słowo smagnęło Avery jak bicz.

Nad nagimi, pozbawionymi rzęs i czarnymi niczym węgle oczami Beverly rysował się nikły ślad dawnych brwi.

— Chętnie pomogę, jeśli tylko na coś się przydam, wystarczy poprosić. Nie uważaj mnie za obcą.

— Dlaczego tu przyjechałaś, Avery? Dlaczego akurat teraz? —

Podkreśliła pytanie lekkim uniesieniem prawie nie istniejących brwi.

Jej bezpośredniość omal nie zwała Avery z nóg. Zaskoczona, gwałtownie próbowała doszukać się w

pytaniu jakiegoś podtekstu.

— Moje życie na Florydzie stało się nie do zniesienia.

Powinam chyba powiedzieć, że rozstałam się z mężem.

— Tak, bądź ze mną szczerą.

— W ciągu ostatnich miesięcy wszystko we mnie ożyło. Wszystkie wydarzenia, które miały miejsce w Crowfoot Ridge wiele lat temu. Nie wiem, co ci na ten temat mówiono, ale Mars, Sylva i ja byliśmy sobie bardzo bliscy. - Nie mogła dokończyć żadnego zdania, nie mogła pozbierać myśli. Przenikliwe spojrzenie Beverly wytrącało ją z równowagi. Jej wąska i gładka twarz była nieskazitelna niczym twarz lalki. Avery odniosła wrażenie, że jest jej bardzo zimno, wstała więc, chwilę pogrzebała w ogniu, a potem podciągnęła kapę pod szyję chorej.

— Dzięki — powiedziała Beverly. Próbowwała poprawić sobie chustę, ale bez powodzenia. Odwróciła głowę, żeby spojrzeć w ogień.

— Zimno ci?

— Wiem, że byliście kochankami, ty i Mars.

Avery przestała oddychać. Nagle wszystko do niej dotarło: Beverly musiała jej nienawidzić.

— No cóż... - wykrztusiła. - Było tak. Spędziłam z nim dwa tygodnie na dwa lata przed maturą i jeden letni weekend w wakacje po przedostatniej klasie. Potem już nigdy nie miałam od niego żadnej wiadomości, ani sama do niego nie pisałam.

Spotkaliśmy się dopiero teraz. To, o czym mówię, miało miejsce dwadzieścia lat temu, dokładnie mówiąc, dwadzieścia jeden. Z tamtego okresu pozostały pewne sprawy, sprawy nierozwiązane... Przerosły wszystko to, co wiąże się zazwyczaj z romansami nastolatków. - Z trudem przełknęła ślinę. Zaszło jej w gardle, spotniały dłonie, policzki płonęły żywym ogniem.

- To znaczy, że byliście razem tylko dwa tygodnie? Jak na tak krótki związek, dużo się nacierpieliście. — Osłabł jej głos, stłumiła ziewnięcie.

- Przyjaźniliśmy się od wczesnego dzieciństwa - odrzekła Avery. — Moja przyjaciółka z Florydy twierdzi, że to, co nas łączyło, zatraciło normalne proporcje dlatego, że byliśmy młodzi, że dzielił nas czas i przestrzeń, i że nasz związek zakończył się tak gwałtownie. — Wstała. — Masz coś do picia? Zrobić ci herbaty?

- Tak, dziękuję.

Avery przerzuciła pranie do suszarki i poszła do kuchni zaparzyć herbatę. Cieszyła się, że ma chwilę na zebranie myśli. Postawiła herbatę na tacy wraz z kruchymi ciasteczkami, dzbanuszką mleka, filiżankami i cukierniczką.

- Nie mogłam znaleźć cytryny.

Beverly nie miała siły unieść filiżanki. Kiedy Avery to sobie uświadomiła, natychmiast pospieszyła jej z pomocą. Chora chwyciła naczynie oburącz. Filiżanka zachybotła jej w rękach, wreszcie trafiła do ust.

- Szlag by to - mruknęła Beverly. - Jakbym była rozdygotaną staruszką...

Avery parsknęła śmiechem i od razu tego pożałowała.

- Śmieję się, śmieję. Boże, gdybyśmy nie potrafili już się śmiać, byłoby naprawdę tragicznie.

- Nie, nie, przepraszam, nie chciałam. Pijesz herbatę z mlekiem?

- Nie mogę jeść tych ciasteczek.

- Dlaczego?

- Są za twarde. Jestem słaba jak mucha i łyśa jak kolano.

Tym razem Avery nie kryła uśmiechu.

- Może umoczę ciastko w gorącej herbacie?

— Dobra, spróbuj.

Kiedy Beverly zjadła małe kawałki ciasteczek, Avery zdała sobie sprawę, w jak złym stanie jest z Marsa.

- Kochasz mojego męża?

Avery zastygła bez ruchu, powtarzając w myślach te trzy słowa. Kara za to, że całe swoje życie kochała Marsa, skupiła się teraz w spojrzeniu Beverly. Milczenie stawało się nie do zniesienia.

— Tak, Beverly, kocham go. — Była to chyba pierwsza bezpośrednia i na wskroś uczciwa odpowiedź, jakiej kiedykolwiek udzieliła. - Zawsze go kochałam. Ale nie przyjechałam tu, żeby zburzyć wam życie. Chciałam odnaleźć część siebie, którą zgubiłam tutaj przed wieloma laty. Nie wiem, co ci jeszcze powiedzieć. Nie chcę sprawiać ci dodatkowego bólu ani kłopotów. Mam nadzieję, że mi wierzysz. ,

Rozległ się głośny brzęczyk. Avery podskoczyła na krześle, wylewając trochę herbaty.

— To suszarka. — Beverly kiwnęła głową w stronę kuchni.

Avery wyłączyła urządzenie, wyjęła i poskładała pościel.

— Wasz dom jest cudowny — powiedziała, wróciwszy do bawialni. — W życiu takiego nie widziałam.

- To dzieło sztuki w trakcie tworzenia. Przestrzeń ma wpływ na toczące się w niej życie. Bywa dobra i zła. Może zapewniać spokój albo go odebrać. Chcę tu umrzeć. W tym domu. Umrzeć tak, jak żyłam: w spokoju. — Znowu odwróciła głowę w stronę kominka.

Avery przyglądała się jej delikatnemu profilowi. Odczuła nagle niezwykły podziw dla jej uczciwości i odwagi.

- Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółkami - powiedziała, słysząc zajeżdżającą przed dom furgonetkę. Wyjęła z rąk Beverly filiżankę i uściśnęła jej dłoń.

Beverly ani drgnęła.

Avery zabrała stertę poszew i prześcieradeł i wyszła z domu. Na schodach minęła się z Marssem.

- Cześć - rzucił. - Jak tam? W porządku?

Kiwnęła głową i zbiegła na dół. Czowała na sobie jego wzrok, lecz się nie odwróciła.

## Rozdział 15

Jesienny spektakl barw z każdym dniem stawał się coraz piękniejszy. Avery jeździła przez Pisgah National Forest, podziwiając kolorowy pejzaż. Nie zważała ani na zakręty na drodze, ani na jadące z przeciwka samochody, co było dość niebezpieczne. Kupowała z Sylwą zimową odzież, czasem Mars zabierał ją na

przejażdżki po leśnych duktach, a pewnego dnia pojechali do lasu we troje, żeby i Beverly mogła obejrzeć jesienne przedstawienie. Obie czuły się wtedy bardzo niezręcznie.

Kiedy Avery zaczęła przygotowywać dla nich kolacje, Beverly jakby nieco odtajała. Nie lubiły gotować, mimo to wspólnie planowały kolacje, żartując, że nie znajdują żadnej przyjemności w tym, co powinno być ulubionym zajęciem wszystkich kobiet. Jednakże Avery oddawała się temu zajęciu z odrodzonym entuzjazmem, Beverly zaś dzieliła się z nią przepisami i pomagała, w czym tylko mogła.

Avery brała na siebie coraz więcej obowiązków. Z czasem zaczęła robić pranie i trochę sprzątać. Chciała być z rodziną Marsa, częściowo ulżyć im w nieszczęściu i lepiej poznać Frankiego. Ale każda wizyta w ich domu wymagała niezwykłego taktu. Avery musiała wyczuć nastrój Beverly i go uszanować. Początkowo pracowała w milczeniu, podskakując nerwowo przy każdym brzęku talerzy. Krążyła po domu jak duch.

Cierpiała na myśl o tym, co ich nieuchronnie czekało. Beverly nie tała, że wie, iż nie doczeka następnej jesieni.

Pewnego dnia Mars zaniósł Beverly do BMW i Avery zabrała ją na przejażdżkę.

— Avery, jestem ci wdzięczna za to, co dla nas robisz.

Chcę, żebyś o tym wiedziała. Nie rozumiem twoich pobudek, ale gotując, piorąc i zajmując się domem, bardzo nam pomagasz.

— Moje pobudki? Nie jestem pewna, czy sama je rozumiem.

Nie wiem nawet, czy w ogóle istnieją. Pomagam wam, bo przecież i tak nie mam tu nic innego do roboty. Chcę z wami być, lepiej was poznać.

Zdawała sobie sprawę, że unika bezpośredniej odpowiedzi i nie spieszy się do tego, co ją jeszcze czeka.

— Zresztą spójrz. — Zatoczyła ręką szeroki łuk, wskazując góry i las w jesiennej szacie. - Czyż można oczekiwać większych atrakcji? Pierwszy raz to oglądam. Dla ciebie jest to pewnie najnormalniejsza rzecz pod słońcem, ale dla mnie to prawdziwy dziw przyrody. Na Florydzie niczego takiego nie ma.

— Teraz wszystko jest dla mnie wyjątkowe. Cenię każdy dzień, który mogę przeżyć pośród tych gór, w domu, a przede wszystkim z Marsiem i Frankiem.

— Opowiedz mi, jak poznałaś Marsa. Nie jesteś stąd, prawda?

— Przyjechałam do koleżanki w Asheville. Poszłyśmy na jego

koncert. Po występie przysiadł się do naszego stolika. Koleżanka  
znała go ze studiów. Zakochałam się w nim od pierwszego  
wejrzenia. Ale on nie. Wymieniliśmy adresy, zaczęliśmy do  
siebie pisać, planowaliśmy spotkania i odwiedzaliśmy się, kiedy  
tylko mogliśmy. Uczyłam się wtedy w Greensboro, więc nie  
było to takie łatwe. Mars budował dom. Kiedy mi go wreszcie  
pokazał, pokochałam także jego dom.

Zdawało się, że słabnie.

— Jesteś zmęczona? Chcesz wracać?

— Trochę. Chyba powinnyśmy się zbierać. - Beverly ziew-  
nęła i przetarła oczy. - Przepraszam cię, ale często robię się taka  
śpiąca... - Umilkła, by po chwili dodać: - Mars powiedział mi  
kiedyś, że to dzięki tobie został stolarzem.

— Dzięki mnie? Nic o tym nie wiem. - Avery podniosła

wzrok. - Ale pamiętam, że wielkie wrażenie wywarł na nim Biltmore House. Moi rodzice nas tam zabrali.  
Mnie, Marsa, Sylva, a nawet mojego brata.

- No i?

- Biltmore House jest naprawdę przepiękny. Czterohekta-  
rowy ogród, a pośrodku dom. Wygląda jak pałac, nie mogliśmy  
uwierzyć własnym oczom. Sylva doszła do wniosku, że ktoś, kto  
zbudował taki wielki dom, musiał mieć co najmniej pięćdzie-  
sięcioro dzieci. Weszliśmy do środka. Pokoje są odgrrodzone  
aksamitnymi sznurami, ale można do nich zajrzeć. Zwiedziliśmy  
wszystko: i piętro z sypialniami, i suterene z piwnicami i kuch-  
nią, a właściwie z kuchniami, bo są tam dwie. Jest nawet kryty  
basen. Co prawda nie było w nim wody, ale możesz sobie  
wyobrazić, jak nas to zadziwiło. Adam, jak zawsze złośliwy,  
powiedział, że w jednej szafie widział schowany szkielet.

- Adam to twój brat?



- Tak. No więc wszyscy popędziliśmy oglądać ten szkielet. Mars otworzył szafę i drzwi wypadły z zawiasów. Oczywiście omal nie umarł ze strachu, że je zepsuł, ale mój tata znalazł stolarza i ten bez trudu je naprawił. Myślę, że Mars był wtedy trochę zażenowany i Adam się z niego nabijał. Spotkanie z prawdziwym stolarzem w miejscu tak wspaniałym jak Biltmore House zrobiło na Marsie ogromne wrażenie.

Avery wjechała na parking i zawróciła.

- Chodziliśmy po domu, a każdy następny pokój zadziwiał nas bardziej niż poprzedni. Oglądaliśmy piwnice z winem, tata obwodził nas po całej posesji. Potem jedliśmy lunch w eleganckiej gospodzie. Po tej wycieczce Mars codziennie rysował to, co tam widzieliśmy. Zeszyt pęczniał od szkiców rozmaitych przedmiotów, które odwzorowywał z idealną dokładnością. Były tam rzędy beczek w piwnicy, basen w podziemiach, różne szafki, ściany z regałami na książki, łóża z baldachimem, spiżarnia, szerokie kręcone schody, dosłownie wszystko. Widać było, że to go fascynuje.

- Był małym chłopcem, takie miejsce musiało wywrzeć na nim wielkie wrażenie. Ile miał wtedy lat?

- Nie pamiętam. Jedenaście, może dwanaście...

- Opowiadał mi też o wodospadzie, nad który chodziliście.

Gdzie to jest?

— Nie wiem, czy potrafiłabym go teraz odnaleźć. Minęło tyle lat. Jeździliśmy tam konno. To musi być gdzieś za granią Crowfoot Ridge.

— Mars cię potrzebuje, Avery. — Beverly nagle spoważniała. — Teraz potrzebuje twojej przyjaźni, później będzie mu potrzebne

wsparcie. W życiu nic nie dzieje się przypadkowo i to, że  
pojawiłaś się tu akurat teraz, też nie jest przypadkiem. Przeżyłam  
z Marsem i Frankiem najcudowniejsze chwile. Dostałam od  
nich więcej, niż na to zasługiwałam.

Znowu ta mroząca krew w żyłach bezpośrednio — Avery nie wiedziała, co odpowiedzieć. Skreśliła w  
drogę 276 i zawróciła do domu.

— Oni cię bardzo kochają — powiedziała po długiej chwili  
milczenia.

- Miałam ładne włosy. Były dłuższe od twoich, gęstsze  
i ciemniejsze. Szkoda, że powypadały.

Avery wiedziała, że Beverly bardzo cierpi. Co pewien czas uświadamiała to sobie na nowo. Nigdy jednak nie  
potrafiła znaleźć słów pocieszenia.

Beverly ziewnęła.

- Jestem zmęczona. To była piękna przejażdżka. Dziękuję  
ci, Avery.

— Nie ma za co. Mnie też było miło.

\* \*

Mars miał występ w Asheville i zaprosił Avery. W kawiarni panował półmrok, na stolikach drżały płomienie  
świec, w kamiennym kominku buzował ogień. Z głośników płynęła muzyka country. Większość miejsc  
była zajęta. Goście mieli długie włosy i nosili ubrania w hippisowskim stylu lat siedemdziesiątych. Na  
ścianach wisiały abstrakcyjne obrazy. Była to niewielka krecia norka, przytulna, ciepła i bezpretensjonalna.  
Co jakiś czas

muzykę zagłuszał śmiech, a ciche rozmowy stawały się głośniejsze. Avery usiadła samotnie przy  
czteropersonowym stoliku, ale wkrótce wyrosła przed nią para nowo przybyłych.

- Możemy się przysiąść? - Byli młodzi, wyglądali na studentów college'u. — Nie ma wolnych miejsc.

Avery skinęła głową.

- Kiedy gra Mars, wszystkie są zajęte — powiedziała dziewczyna. — Mieliliśmy szczęście, że na panią trafiliśmy. Dzięki.

- Nie ma sprawy, ale jedno krzesło chciałabym zarezerwować. Mars jest aż tak popularny?

- Wszyscy go uwielbiają. Nigdy go pani nie słyszała?

- Dawno temu. Był jeszcze w ogólniaku.
- O rany! — westchnęła dziewczyna. — Jest niesamowity, całe życie się w nim podkochuję. Zawsze uważałam, że zrobi wielką karierę, ale on nawet nie próbował. Chyba nie zależy mu na sławie. Mam wszystkie jego kasety.
- Nie wiedziałam, że nagrywał. Nie było mnie tu wiele lat.
- Nagrał cztery kasety. Genialne. Nigdy nie słucham niczego innego.
- Nieprawda - zaoponował chłopak.
- Ale i tak jego lubię najbardziej. O, już jest!

Mars przysiadł na stołku pod punktowym reflektorem

i przeciągnął palcami po strunach starego martina. Avery roz-poznała brzmienie gitary. Nachylił się do mikrofonu.

- Witam — powiedział. Włosy, które na co dzień ściągał w kucyk, były teraz rozpuszczone i okalały mu twarz, opadając aż na ramiona. Przepaska na czole nadawała mu seksowny wygląd. Goście zaczęli entuzjastycznie pokrzykiwać i bić brawo.

- A gdzie Wściubek? - krzyknął ktoś z tyłu sali.
- Wściubek? - odrzekł Mars ciepłym głosem. - Nie mógł przyjechać, ma randkę. Poza tym, o tej porze roku rzadko wyfruwa z domu, źle znosi zimno. — Ponownie dotknął strun i zadumany spojrzał w sufit. Zagrał jakiś akord. Potem drugi.

Słuchacze zaczęli wiwatować, wiedząc, co zaraz zaśpiewa. Miał miły, naturalny głos, który doskonale do niego pasował. Uwielbiali go. Znali jego piosenki i chętnie mu wtórowali.

Dziewczyna przy stoliku Avery obrzucała zakochanym spojrzeniem to Marsa, to swego towarzysza.

- Większość z nich sam komponuje — powiedziała. — Jest taki utalentowany...
- To słyhać — przytaknęła Avery, pękając z dumy.

Śpiewał piętnaście minut. Głosem pełnym cierpienia wyśpiewywał piosenki o nieodwzajemnionej miłości, o stracie i bólu. Wszyscy znajdowali w nich coś dla siebie. Potem usiadł przy Avery na krześle, które dla

niego zatrzymała. Dziewczyna omal nie zemdląca z wrażenia.

- Weź się w garść - powiedział jej chłopak. - Biedak umrze z zażenowania.

- Lubię, jak mnie kochają - rzekł Mars i uśmiechnął się do niej.

- Och, Mars, tak cię uwielbiam! Proszę, daj mi swój autograf.

Wpisał się do jej szkolnego zeszytu.

- Widzę, że prawdziwy gwiazdor z ciebie - rzuciła Avery.

- Jasne. Gwiazdor pięciu wieczorów w roku.

- Jesteś dobry.

- Dzięki. — Zamówił kawę.

- Chciałabym mieć twoje nagrania. Nic mi o nich nie mówiłeś.

- Nie ma sprawy.

Śpiewał jeszcze pół godziny z krótką przerwą. Słuchanie jego muzyki i poezji sprawiało Avery wielką przyjemność. Ileż straciła przez te wszystkie lata! A przecież mogła z nim być. Mogła o niego walczyć. Walczyć o to, co byłoby dobre dla nich obojga. Powinna była wrócić tu wiele lat temu.

Znowu usłyszała smutny głos Beverly: „W życiu nic nie dzieje się przypadkowo”. Nie ma radości bez cierpienia. Ból ponaddwudziestoletniej rozłąki dodał Avery skrzydeł. Natchnął nową energią. I entuzjazmem. Może gdyby nie cierpienie, nie umiałaby docenić tego, czego doświadczała teraz, nie byłaby tak świadoma rozbrajającej prawdy bijącej od Marsa ani pełni jego osobowości.

Mimo to nie zdradziła mu swojej tajemnicy. I tak odnalazła siłę do dalszego życia. Nie chodziło o samego Marsa, to nie z niego tę siłę czerpała. Miała wrażenie, że przespała dwadzieścia jeden lat i zbudziła się do życia odświeżona, czujna i gotowa pójść własną drogą. Jego udział w tym przeżyciu był nie tyle cudem nieoczekiwanym, ile zdarzeniem jej przeznaczonym.

Kiedy wracali, do przedniej szyby lgnęły pojedyncze płatki śniegu. W blasku jasnego półksiężyca wyglądały jak spadające gwiazdy.

- Zawsze myślałam, że śnieg jest gęsty i przykrywa wszystko grubą kołdrą — powiedziała Avery. — A ten tylko rozmazuje się po szybie.

- To nie śnieg, to śnieżek. Jeszcze nie było Święta Dziękczyni-

nienia, za wcześnie na prawdziwą śnieżycę. Ale obiecuję ci, że tej zimy będzie tu biało jak nigdy.

- Święto Dziękczynienia... Zupełnie zapomniałam.

- Pojedziemy do Charlotte, ty też. Oni rządzą Święto Dziękczynienia, my wigilię.

- Tam? Do starego domu? - Przeszył ją nagły strach. Nie wiedziała, czy zdoła wejść do domu Marshallów. Nie była pewna, czy tego chce.

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. — Czytał w jej myślach. - Bardzo się tam zmieniło. Pomalowali ściany, położyli wykładzinę, kupili nowe meble. Będziemy przy tobie. - Umilkł. - Wiesz, co powinniśmy zrobić, zanim nadejdzie prawdziwa zima? Wynająć konie i pojechać nad nasz wodospad. Nigdy tam później nie byłem. A ty?

- Ja? Ależ skąd. - Pomyślała, że to dość niebezpieczny pomysł.

Ale Mars codziennie ją namawiał i wreszcie się zgodziła. Konie wynajęli na farmie MacKinseya. Najpierw obeszlą stodołę, wspięli się na wyżki, a potem pojechali w góry. Zbocza Crowfoot Ridge mieniły się najpiękniejszymi barwami jesieni. Jeźny już się skończyły.

- Pamiętasz, jak opowiadałem ci o Jennifer, którą pogrzebano żywcem?

- Nie.

- Nie pamiętasz? Padał deszcz, siedzieliśmy na wyżkach razem z Sylwą i Adamem. Naprawdę nie pamiętasz? Omal nie umarłaś ze strachu.

- Nie pamiętam.

- Wjechała na grań, spadła z konia i straciła przytomność. Pogrzebali ją żywcem. Straszyla w domkach na farmie MacKinseya.

- Tak, teraz pamiętam. Mówiłeś, że dopadł ją jakiś wariat

z Crowfoot Ridge. Boże, byłeś równie paskudny jak Adam.

Miałam wtedy najwyżej osiem lat.

- A pamiętasz, jak zaatakował mnie niedźwiedź?

- Tego nigdy nie zapomnę. — Wyciągnęła rękę. — Spójrz w dolinę. Wygląda jak paleta malarska. — Ściągnęła wodze i zatrzymała konia. - Całe dorosłe życie przeżyłam w bieli i czerni.

Teraz żyję w technikolorze. Jakby ktoś podłączył mnie do prądu.

- Dlaczego nigdy nie przyjechałaś tu jesienią? — Mars ścisnął piętami boki konia i ruszyli w stronę wodospadu.

- Nie wiem. Ilekroć braliśmy urlop, Ken ciągnął mnie na jacht. Żeglowanie to jego pasja, największa miłość, więc wypływaliśmy w morze.

- Lubisz to?

- Bardzo. Choć tak naprawdę nigdy nie żeglowałam. Robiłam kanapki, kupowałam piwo, po rejsie sprzątałam jacht. Rzucaliśmy kotwicę i kapaliśmy się na otwartym morzu. To lubiłam najbardziej.

- Wszystko zależy od punktu widzenia. Ludzie ściągają na Florydę ze wszystkich zakątków świata. Sądząc po zdjęciach, macie tam prawdziwy raj.

- Tak. Ja też kocham Florydę. Ale teraz jest tam tylko asfalt i beton. Wyłożyliśmy ją sztuczną darnią, zniwelowaliśmy, wypielegnowaliśmy, przycięliśmy pod sznurek. Dzika przyroda zniknęła, w każdym razie zostały tylko resztki. Ludzie gruntu nie ją zdeptali.

Uwiązali konie do konarów karłowatych drzewek lauowych i zeszli nad wodospad. Usiedli na skale, na której niegdyś

siadywali, i patrzyli na spadającą wodę. Wokoło latały żółte motyle.

- Skończyłaś studia? - zapytał, wyciągając z plecaka butelkę

wina i plastikowe szklanki.

Powiodła palcami po wyrytym w głazie napisie: WODO-SPAD AMAS. ADAM, MARS, AVERY, SYLVA, 1962.

- Wyryłeś ten napis dwadzieścia jeden lat temu... - powie-  
działa. - Studia? Rzuciłam studia, żeby wyjść za Kena. Wielu  
ludzi zrobiło bezużyteczne dyplomy. Ja zrobiłam dyplom z bez-  
użyteczności.

Roześmiał się i podał jej szklankę.

- Ja też nie skończyłem studiów. Po aresztowaniu Wayne'a  
nie miałem pieniędzy. Chciałem studiować architekturę, ale  
zdecydowałem się na stolarkę, do której nie potrzeba żadnego  
dyplomu. Najpierw nająłem się do pracy przy wstawianiu drzwi  
i okien, potem kilka lat terminowałem u stolarza w Asheville.

U pana Olsena. Pamiętasz go? Spotkaliśmy go w Biltmore  
House. Nauczył mnie wszystkiego, co umiem. Był dla mnie  
ojcem, którego nigdy nie miałem.

- Byłbyś doskonałym architektem. - Zasluchana Avery ba-  
wiła się płatkami stokrotki.

Zapadła dłuższa cisza. Mars o czymś myślał. Avery czekała, sącząc wino.

- Mogę cię o coś zapytać? Jak dałaś sobie radę? Potem. Po  
tej nocy, kiedy Sylva zabiła Huntera.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem — odrzekła. — Nie wiem, czy dałam sobie  
radę. — Mogła teraz powiedzieć mu prawdę. Ale o ileż łatwiej  
było milczeć.

- Tak. Kiedy dzieje się coś tak potwornego, trudno się  
z tego otrząsnąć - powiedział pogrążony w zadumie.

- Na zawsze utkwiał mi w pamięci obraz niedźwiedziej  
skóry na trumnie. Nawet teraz ją widzę. Nigdy w życiu nie  
widziałam nic bardziej dramatycznego. — Obróciła się do niego

i objęła za szyję.

Pocałował ją.

Zabłysło czerwone światło. Wycofali się. Popatrzyli na płynącą w nieznane wodę. Avery miała ochotę się wykąpać, ale było za zimno i zbyt niebezpiecznie.

- Beverly jest wspaniała - powiedziała, dolewając sobie wina.

- Wiem.

- Ma niewiarygodny hart ducha. Pogodziła się z losem.

- Walczy z podniesionym czołem — odrzekł. — Podziwiam

ją, i to bardzo. Zawsze byliśmy wobec siebie uczciwi. Nigdy nie ukrywałem przed nią tego, co do ciebie czułem. Mówiłaś o nas Kenowi?

- Nie, ja nie byłam uczciwa. Nie wspomniałam mu o nas ani słowem, pewnie dlatego nie udało nam się stworzyć silnego związku. Tak, uczciwość to podstawa. Ken zasłużył sobie na coś lepszego. Przed wyjazdem złożyłam pozew rozwodowy.

- Znaczyłaś dla mnie tak dużo, że nie mogłem tego przed nią ukrywać.

- Tak samo jak ty dla mnie, z tym że ja postanowiłam zachować cię tylko dla siebie. Mars, jak ty sobie poradzisz?

- Z czym? Z nami?

- Nie. Kiedy... No wiesz.

- Kiedy Beverly umrze?

- Tak.

- Możesz o tym mówić. Wiemy, co nas czeka, i to od dwóch lat. Cieszymy się, że mogliśmy być ze sobą tak długo.

- Nie można jej pomóc?

- Nie chciała się dłużej leczyć. Te wszystkie terapie ją dobiły. - Spowaźniał jeszcze bardziej. - Chciałem do ciebie pojechać. Po jej śmierci. Nie, nie, nie zamierzałem cię porywać



ani nic w tym stylu. Chciałem cię po prostu zobaczyć. Tak sobie postanowiłem.

- Naprawdę? Ale po co?
- Może szukałem spokoju. Przebaczenia. Pragnąłem się upewnić, że u ciebie wszystko w porządku.
- Było mi bardzo ciężko, ale jakoś przeżyłam. Tobie życie ułożyło się cudownie. Beverly jest niezwykła.

— Wiem. - Spojrzał jej w oczy. - Tak samo jak ty.

Objął ją łagodnie. Uniosła twarz, żeby spojrzeć mu w oczy.

Złożył na jej ustach głęboki, tęskny pocałunek. Przytrzymał jej głowę, przesunął wargami po szyi, dotknął piersi. Pchnął ją delikatnie, żeby oparła się o skałę, gwałtownie rozpiął kurtkę, podciągnął bluzkę i zaczął całować. Wszędzie. Ona całowała jego szyję, brodę, twarz, oczy i dłonie. Tęsknota przeobraziła się w niekontrolowaną żądzę, w żarliwą namiętność.

Co ich mogło powstrzymać? Minęło za dużo czasu, za długo czekali.

Coś zaszeleściło w krzakach. Zamarli i spojrzeli w tamtym kierunku. Do wodopoju schodził jelen. Był piękny.

Ten widok ich otrzeźwił.

Odepchnęła Marsa tak mocno, że omal nie wpadł do strumienia. Zerwała się na równe nogi, spłoszyła jelenia i przebiegła po głazach na drugi brzeg strumienia.

— Nie złapiesz! Chcesz się założyć?

Ruszył za nią i szybko ją dopędził.

Odwróciła się, przyklękła i ochlapała go wodą.

— Boże, ale zimna!

Wystarczyło, że raz zanurzyła palce i od razu stały się czerwone. Roześmiana, pomknęła po głazach. Gonił ją, cisnął za nią garścią kamyków. Wpadli do wody. Chwyił ją i chciał pocałować, ale wyslizgnęła mu się i uciekła.

— Nie złapiesz mnie, jestem zwinna jak piskorz!

— Dopadnę cię i zjem na kolację.

— Najpierw będziesz musiał oskrobać mnie z łusek!

Wybuchnął śmiechem i przystanął.

— Chodź, skończmy wino i wracajmy. Zaraz zrobi się zimno.

— I ciemno. Nie chcę tu utknąć sam na sam z szaleńcem

z Crowfoot Ridge.

Nagle stwierdziła, że jest straszliwą egoistką. Dzięki zabawie na parę chwil znowu stali się dziećmi, zapomnieli o nieznośnym smutku. Wrócili na głaz, który, podobnie jak sadzawka u stóp wodospadu, już tonął w cieniu. Lekko zdyszani, dopili wino.

Mówili niewiele.

— Dlaczego wyjechałaś z Florydy? — spytał. — Tylko dlatego, że postanowiliście wziąć rozwód?

— Chyba nie. Pięć miesięcy temu wjechałam podczas burzy do rowu. Skręciłam, żeby ominąć jelenia, i wpadłam w poślizg. Nawet nie jestem pewna, czy był to jeleni czy może tylko gra wyobraźni. Nieważne. Straciłam przytomność. Potem zaczęły się te sny. Nawiedzały mnie nie tylko w nocy, ale i w ciągu dnia. Sny i wspomnienia, obrazy i sceny, jakby ktoś puszczał mi w głowie film. Może zwariowałam.

— Dlaczego?

— Bo teraz mi głupio.

— Ale dlaczego?

— Ponieważ byłam nierozważna. Wszystko działo się w zwolnionym tempie, tak że mogłam skupić się na każdej scenie. Wyraźnie czułam, dokąd mam iść, coś kazało mi się odnaleźć. Musiałam przeanalizować swoje życie, nazwać to, co straciłam. — Potrząsnęła głową.

Na twarzy Marsa malowała się rozpacz i bezradność.

— Nigdy nie zrozumiesz, ile znaczy dla mnie to, że przyjechałaś — wyszeptał. — Gdyby nie ty, nie wiem, czy znalazłbym w sobie siłę, żeby przetrwać następny miesiąc.

Objął ją, przyciągnął do siebie, przywarł twarzą do jej piersi i załkał. Z najgłębszych zakamarków jego serca bił tłumiony dotąd ból.

Avery podtrzymała go i utuliła.

## Rozdział 16

Dom Marsa był przykładem jedności ducha i materii. Z biegiem czasu Avery nauczyła się dostrzegać w nim harmonię i konsekwentny zamysł. W świetle strzelającego w kamiennym kominku ognia materiały i surowce mieszały się ze sobą i zlewały, tworząc batikową mozaikę. W rustykalnym stylu i charakterystycznej prostocie tkwiła wyszukana elegancja i wyrafinowanie. Mars wykorzystał również stary budulec, ale użył go w inny, genialnie nowatorski sposób. Wszystko zrobił sam, własnoręcznie, nawet drzewa wycinał bez niczyjej pomocy. Naturalnie powykręcane konary, tu i ówdzie pokryte korą, tworzyły poręcz schodów i balkonu.

Podczas każdej wizyty Avery odkrywała w domu kolejny element świadczący o spontaniczności czy chwilowym kaprysie budowniczego. W kuchni widać było celowo nie zabudowane rury hydrauliczne, a kuchenny blat pokrywały kafelki różnej wielkości i koloru. Czyżby Mars wyzbywał się resztek? Stare, lecz starannie odnowione cegły podłogowe układały się w abstrakcyjny wzór. Czarna kwadratowa szybka wbudowana w ścianę przy frontowych drzwiach miała kształt rombu. Stary witraż trafił do łazienki, gdzie Mars wbudował go do góry nogami. Sufit zrobił z desek wyjętych z ciężarówki do przewożenia bydła - pstrokato poplamione, tworzyły soczystą paletę barw. Tańczące na ścianach perłowe światło zawsze było wesołe i pogodne.

Nawet żerdzie Wściubka — było ich trzy czy cztery — zostały wkomponowane w całość. Tapicerka mebli, obrusy, serwetki oraz nieliczne zasłony, naturalne i nie pofarbowane, utkano na ręcznych krosnach. Nigdzie nie było widać laminatów ani plastiku, natomiast światło lamp, celowo ukrytych lub przysłoniętych, przypominało ogień lub płomień świecy rozkołysany łagodnym podmuchem wiatru.

Cały dom przepełniała miłość i człowieczeństwo, atmosfera zaufania, łaski i uczciwości. Mars musiał budować go wiele lat i wiele lat rozbudowywać. Różne rodzaje materiałów, którymi wykończono elewację, dziwne kąty i zawirowania wskazywały na stały rozwój budynku, a może tylko na zmienne koncepcje architekta.

Mars przyniósł zbitą z deseczek skrzynkę z wyciętymi z przodu otworami i postawił ją na podłodze.

- Co to? - spytała Avery.
- Coś, co od dawna chodziło mi po głowie. Zbiłem ją na tamte figurki. — Wskazał półkę zastawioną drewnianymi

rzeźbami dziadka. Wbił dwa gwoździe w ścianę i powiesił na nich skrzynkę. Każdy otwór w jej przedniej części pasował wielkością do konkretnej rzeźby. Avery pomogła mu je porozmieszczać.

W porównaniu z domem Marsa, willa, którą zostawiła na Florydzie, była ledwie namiastką prawdziwego domu. Willa dobitnie świadczyła o kompletnym wyzuciu z duchowości, o braku jakiegokolwiek koncepcji i o tym, że Avery gotowa była w niej przyjąć każdy stary przedmiot. Dom Marsa natomiast obwieszczał wszem wobec, że jego twórcy naprawdę zależy na tym, by pokazać światu, jaki to z niego majster. Mars kochał swoje dzieło. Ken budował, aby budować, stawiając szablonowe pudełka dla szablonowych ludzi.

Kawalerka charakteryzowała się taką samą prostotą i funkcjonalnością jak duży dom pod lasem. Mars nauczył Avery rozpałać ogień w piecu, przyniósł polana i drewniane obrzynki z warsztatu. Piec dobrze nagrzewał jednopokojowe mieszkanko. Było niewielkie, za to wygodne i dobrze zaprojektowane. Półki

i szafy zostały wpuszczone w ściany. Otwarta kuchnia łączyła się z pokojem. Wbudowana w ścianę amerykanka spełniała funkcję łóżka i sofy zarazem. Lampka do czytania stała we właściwym miejscu. Światlik wychodził na kapryśne niebo, z okien zaś widać było las za warsztatem.

Beverly mawiała, że mieszkanie jest zwierciadłem duszy jego właściciela, i Avery musiała przyznać jej rację.

Jesień powoli przechodziła w zimę, obnażając konary drzew i ziemię. Sylva i Avery wybrały się w góry do Neco-wee. Czi-rokezi wywiesili już świąteczne lampki, a świąteczne ozdoby zrobili ze znalezionych w lesie roślin: z szyszek oraz z suchych pnączy przyozdobionych gałązkami świerku i owocami ostro-krzewu. W drewnianych, ręcznie wykonanych misach leżały orzechy i błyszczące jabłka.

Neco-wee siedziała przy stole i wolno poruszając sękatymi placami, wyplatała kosz. Długi, przyprószony siwizną warkocz spływał jej prawie do pasa.

— Pamiętasz nas? — zapytała Sylva. — Pamiętasz Sylwę Marshall i Avery Baldwin?

— Moje dziewczynki... — Zdawało się, że i głos ma poorany zmarszczkami. - Jak mnie tu znalazłyście?

— Echo wskazała nam drogę. Przyjechałyśmy w odwiedzinie.

— Cieszę się. Bardzo się cieszę.

— Mamy coś dla ciebie.

Sylva położyła na stole przywieziony prezent. Avery uściśnęła starą Indiankę i włożyła jej do ręki swój.

Neco-wee długo mocowała się ze wstążką, nie mogąc opałnować silnego drżenia rąk. Otworzyła pudełko i znalazła w nim zestaw herbatek ziołowych.

— Dziękuję, że przywiozłaś mi coś, czym mogę podzielić z przyjaciółmi. Dobrze jest dzielić się z innymi.

Otworzyła prezent od Sylvy - pudełko cukierków. Sylva i Avery wymienili spojrzenia i uśmiechy.

— Jesteście szczęśliwe? - zapytała Neco-wee.

— Ja tak - odpowiedziała Sylva. - Mam męża i troje dzieci.

Ale Avery chyba nie.

- Nie? Powinna.

- Neco-wee, nigdy w życiu nie byłam szczęśliwsza niż teraz — rzekła Avery.

- Właśnie to chciałam usłyszeć - powiedziała zadowolona Indianka. - Tylko nie spodziewajcie się, że przyszykuję wam koszyk z jedzeniem na wycieczkę — dodała ze śmiechem.

- Twoje koszyki nie miały sobie równych. Pokaż mi ten, który teraz robisz.

Indianka obróciła go w dłoniach.

- Przyjdźcie za rok, to go dostaniecie - obiecała. - Wcześniej go nie skończę. - Parsknęła śmiechem. - Myśli mkną chyżo, lecz ręce nie nadążają.

- Następnym razem przywiozę tutaj dzieci - powiedziała Sylva.

- Bardzo dobrze. Powiedz Echo, żeby i ona kiedyś mnie odwiedziła. - Posłała im słodki uśmiech i wróciła do pracy.

\* \* \*

Wszystko zostało umówione. Avery nie miała wyboru. Dzień Święta Dziękczynienia był zimny i wietrzny. Musiała zaopatrzyć się w większą ilość zimowych rzeczy, w rękawiczki, buty i wełniane szaliki.

Bała się uroczystości na farmie Marshallów, mimo to w domu Marsa stawiała się punktualnie. Było tak zimno, że z trudem oddychała.

Beverly siedziała na wózku przy drzwiach.

- Pomożesz mi zawiązać szal na głowie? - poprosiła. -

Zawiń go jak turban, dobrze?

Avery wiedziała, że Beverly cały czas walczy, żeby nie ulec bólowi i zachować jasność myśli. Skarżyła się, że pigułki wysuszają jej usta i odurzają.

- Jasne. Mogę cię też troszkę podmalować. - Avery zawróciła wózek i popchnęła go do sypialni.
- Mars mnie ubiera, ale nie radzi sobie z drobiazgami.
- Jak to mężczyzna. Oni nie znają się na drobiazgach.

Ustawiła wózek przed lustrem i rozwiązała Beverly szal obnażając łysinę. Chwilę milczały, zażenowane. — Wiesz, myślę, że już odrastają. — Avery przesunęła dłonią po nagiej czaszce. — Delikatne jak niemowlęcy puszek...

- Albo jak włoski na brzoskwini. Przestańmy się łudzić.

Zawiąży szal i już — ucięła Beverly.

Avery zawiązała szal, poszperała w toalecie i znalazła odpowiednie kosmetyki.

- Gotowe? - zawołał Mars od drzwi.
- Jeszcze nie, moment — odpowiedziała Avery, odwracając wózek, żeby łatwiej jej było uróżować blade policzki chorej. Na powieki nałożyła cienie, wargi pociągnęła szminką. — Masz piękną cerę, wystarczy ją tylko musnąć kolorem. No, proszę. Zobacz, jaka różnica.

Beverly spojrzała w lustro i rozpromieniła się w uśmiechu.

- Denerwuję się tym wyjściem, a ty? - zapytała Avery.
- Chyba trochę też. Ale ty? Czym?
- Kiedy byłam tam ostatni raz... Minęło już tyle czasu... To głupie, ale mam mieszane uczucia.

Nie miała mieszanych uczuć, gdyż przede wszystkim odczuwała lęk. Mówiła o zdenerwowaniu, tymczasem po prostu się bała.

- Pospieszcie się! - zawołał zniecierpliwiony Mars. - Powinniśmy już jechać.

Avery obróciła wózek.

- Już, już! Już się zbieramy!
- Pięknie wyglądasz, Bev - powiedział Mars i delikatnie pocałował żonę.

Beverly zarumieniła się.

Ona i Mars jechali furgonetką, Avery z Frankiem ruszyli za nimi BMW. Kiedy zaparkowali przed starym domem Marshal-lów, chłopiec wyskoczył, żeby wyjąć z furgonetki wózek. Mars wniósł Beverly na ganek i dopiero tam pomógł jej wygodnie usiąść.

Wszyscy długo ściskali się i całowali.

Sylva, Donald oraz ich dzieci złożyli życzenia nowo przyby-

łym. Wchodząc do starego domu, Avery drżała z emocji, lecz jego wystrój był teraz całkiem inny, tak jak zapewniał ją Mars. W pokoju bawialnym panowała ciepła atmosfera, wszędzie kręcili się goście, wspomnienia więc nie wróciły.

Uświadomiła sobie, jak mocno jest z tymi ludźmi związana.

- Jest tyle rzeczy, za które możemy być wdzięczni - powiedziała Beverly.

- I jak cudownie, że Avery jest z nami - dodała Sylva, obejmując przyjaciółkę.

Potem przedstawiła jej Donalda.

- Mam uczucie, że znam cię od lat - powiedziała Avery.

Junior i Joey, synowie Sylvy, byli odświętnie wystrojeni

i uczesani. Mała Avery okazała się piękną dziewczynką. Frankie nie dorównywał kuzynom wiekiem, ale to właśnie jemu zlecono wybór odpowiedniej muzyki. Była tam też dwudziestokilkuletnia Yancey, bardzo elegancka i dorosła.

W domu unosiła się woń pieczonego indyka. W piecu buzowało i wszyscy grzali sobie przy nim ręce. W miejsce dawnych ław przy stole postawiono krzesła z oparciami. Na podłodze leżał złocisty dywan z wypukłym wzorem, a przy sofie stała lampa w stylu art deco. Chatlotte podawała grzany jabłecznik z rumem, doprawiony gałką muszkatołową i ziołem angielskim.

Charlotte i Echo musiały przygotowywać przyjęcie przez dobrych kilka dni, gdyż stół aż ugiął się od jedzenia.

Wayne od razu rozpoznał Avery. Uścisnął jej rękę i rzekł:

- No, no. Czas obszedł się z tobą nader łagodnie.

- Dzięki. Tak, minęło wiele lat. Miło mi cię widzieć,

Wayne.

Shelby - Avery w życiu by go nie poznała - wyrósł na przystojnego, sympatycznego mężczyznę. Usiadł przy niej i opowiedział jej o swojej pracy i życiu. Czowała, że otacza ją serdeczna, wzruszająca miłość. Minio bardzo trudnego dzieciństwa wszystkich biesiadników łączyły najprawdziwsze rodzinne uczucia, pośród których znalazło się miejsce i dla niej.

- Echo - powiedziała, przystając w progu kuchni - były-

śmy z Sylwą u twojej mamy. - Neco-wee chce, żebyś częściej do niej wpadała.

- Jeżdżę tam, ale przecież nie mogę odwiedzać jej codzien-

nie. Ona nigdy nie jest zadowolona. Indianie opiekują się swoimi starcami, dba o nich całe plemię. Mama ma tam wielu przyjaciół i rozmawia z nimi od rana do nocy. Opowiadają sobie o dawnych czasach. To dla niej dobre miejsce. — Uroda

Echo już dawno przeminęła.

Wiley wniósł do bawialni naręcze polan do pieca. Pokój tonął w półmroku. Pod koniec listopada słońce zachodziło wcześniej.

Stanęli przy stole i wzięli się za ręce.

- Boże, dziękujemy Ci za ten dzień, za jedzenie, którym będziemy się raczyć, za nasze rodziny, zdrowie i za naszą przyjaciółkę, która z nami zasiada — powiedziała Charlotte.

Wciąż trzymając się za ręce, składali uroczyste podziękowania.

Wreszcie nadeszła kolej Avery.

- Dziękuję za to, że dane mi było spędzić z wami dzieciństwo - powiedziała.

Wiley zabrał się do krojenia indyka, goście podawali sobie drewniany talerz z chlebem.

Po kolacji zagrzmiało i zaczęło się błyskać - nadchodziła ulewa. Mars doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli zawiezie Beverly do domu, ale oboje nalegali, żeby Avery z Frankiem zostali na farmie.

Trzy tygodnie po Święcie Dziękczynienia Mars postawił choinkę.

- Jaka śliczna! — wykrzyknęła Avery, wyjmując z pieca formę do ciasta. - To na moje urodziny?

- Dam sobie głowę uciąć, że powtarzasz to co roku - odparł z uśmiechem Mars. — Możemy obchodzić twoje urodziny dzisiaj, jak tylko ubierzemy drzewko. Chcesz?

Beverly przystroiła te gałęzie, których mogła dosięgnąć z wózka, Frankie wszedł na drabinę i zajął się górną częścią drzewka. Wszystkie ozdoby były ręcznej roboty — wyrzeźbione w drewnie, zrobione na drutach albo szydełkiem, znalezione w lesie, a potem spryskane czerwoną bądź złotą farbą. Kiedy sprawdzili lampki, zamiast odśpiewać kolędę, zaśpiewali Avery Sto lat.



Nad wszystkimi drzwiami zawiesili gałązki jemioli. Wyjęli świeczniki i wstawili do nich nowe czerwone świece. Avery upiekła świąteczny placek już na początku tygodnia, a w ostatniej chwili zrobiła kruche ciasteczka. Codziennie pod choinkę trafiał nowy prezent. Beverly nauczyła Avery piec słynne ananasowe ciasto „na odwrytkę”, które, zgodnie z tradycją, podawano tu na Boże Narodzenie.

W Wigilię zjechała się cała rodzina. Charlotte i Sylva siedziały przy kominku z talerzami na kolanach. Strzeliła iskra i szkła Charlotty w drucianych oprawkach urokliwie zamigotały.

Wściubek zaśpiewał You Are My Sunshine i wszyscy pokładali się ze śmiechu.

- Mars, dlaczego nie nauczyłeś go kolędy? - spytała Sylva.

- Próbowałem nauczyć go Jingle Bells. Wściubek, Jingle bells,

jingle bells... No? Śpiewaj, ofermo! Gdyby się jej nauczył,

śpiewałby przez okrągły rok. A tak, katuje nas tylko raz na

dwanaście miesięcy. No, Wściubek? Jingle bells...

Cisza. Potem donośny skrzek i... You Are My Sunshine... Wybuchnęli śmiechem.

- Mars go nauczył. — Beverly mówiła coraz krótszymi

zdaniami.

- Wściubek ma bogatszą osobowość niż większość ludzi -

stwierdziła Avery.

Opiekali nad ogniem słodkie pianki i rozmawiali. Beverly była zmęczona i poprosiła Marsa, żeby zawiózł ją do sypialni. Gdy Sylva i Donald się żegnali, znów lunęło, podrzucili więc Avery do domu.

Rano pierwszego dnia świąt do śniadania zasiedli tylko

domownicy oraz Avery. Mars podał kawę i upieczone poprzedniego dnia ciasto. Rozpalił ogień. Dołączyła do nich Beverly, choć była już bardzo słaba. Podepchnęli jej wózek pod sam kominek. Mars, Frankie i Avery usiedli na podłodze wokół choinki.

— Mars? — Beverly wskazała prezent dla Avery.

Avery rozpakowała wielkie pudło. Pod cienką bibułą znalazła w nim piękną, starą, kolorową kołdrę.

— Nie możesz jej oddawać, Beverly, to od twojej babci...

— Chcę, żeby teraz należała do ciebie. — Beverly mówiła

bardzo chrapliwie i bez przerwy zwilżała wargi. Frankie pomógł

jej wypić odrobinę ciepłej herbaty.

— Dziękuję - powiedziała wzruszona Avery, powstrzymu-

jąc łzy.

Avery podarowała Frankiemu skórzane kapcie, Beverly bati-kowany jedwabny szal - wystarczająco długi,

żeby można go było zawiązać w elegancki turban — a Marsowi duży, ręcznie wykonany dzwonek na drzwi, podobny do dzwoneczków, jakie noszą krowy.

— Ja też mam dla ciebie, mamo, prezent, ale nie mogłem go

zawinąć. - Frankie pobiegł do swojego pokoju i przyniósł

okrągły wazon rozkwitłych narcyzów. - Hodowałem je pod

kloszem, żeby szybciej się rozwinęły. Myślałem, że się nie uda,

ale zobacz, rozkwitły! Podobają ci się?

Beverly mocno go uściśnęła.

Mars wyciągnął zza choinki płaski pakuneczek i podał go Avery. Rozerwała papier i zobaczyła oprawiony rysunek gór. Niebo, chmury, pofałdowany zarys grani...

— Crowfoot Ridge — powiedział.

Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Objęła Marsa za szyję i trzymała o kilka sekund za długo - niestety, zreflektowała się za późno.

Beverly siedziała z nimi jeszcze godzinę. Potem Frankie zawiózł ją do sypialni.

Dzień nie był tak zimny, żeby musieli się dogrzewać. Otworzyli drzwi na taras, wpuścili do środka trochę chłodnego

powietrza i wsłuchali się w szum wezbranego po deszczach potoku.

Po południu przyjechał Hoyt z rodziną. Mars poczęstował ich ajerkoniakiem.

Avery martwiła się o Beverly, która z każdym tygodniem wyraźnie słabła.

Podczas jednego z nielicznych słonecznych dni w styczniu Beverly i Avery siedziały na tarasie, wsłuchując się w szum wody w strumieniu i ciesząc oczy nagą zimową przyrodą. Avery czytała na głos.

- Pora na pielęgniarkę — powiedziała Beverly.

- I ja tak myślę. Musisz mieć kogoś, kto naprawdę ci pomoże.

- Moja słabość mnie upokarza. Nie mogę pozwolić, żeby Mars dłużej się mną zajmował.

- Znajdzie kogoś dochodzącego, a może nawet na stałe.

Chce dla ciebie tego, co najlepsze.

- Potrzebna nam pomoc.

- Tak, też tak uważam. Na pewno kogoś znajdziemy.

- Wszystko będzie dobrze. Wiesz, zazdroszczę ci przyjaźni

z Sylwą. Moje życie skupiało się tylko wokół Marsa i Frankiego.

Brak przyjaciółki pozostawił we mnie wielką pustkę.

Avery patrzyła, jej w oczy. Milczała.

- Po raz pierwszy uświadomiłam to sobie, kiedy wiązałaś mi na głowie szal przed kolacją z okazji Święta Dzięcznienia.

- To przecież drobiazg...

- Teraz już wiem, że nie przyjechałaś tu ze złymi zamiarami.

Może szukałaś czegoś z przeszłości? Jakiegoś zaginionego skarbu? Nie wiem. Ale znalazłaś rodzinę, dom, a także moją przyjaźń. Mam szczęście, że zdobyłam przyjaciółkę pod sam koniec życia.

- To ja mam szczęście - odrzekła Avery - ale nie rozumiem,

dlaczego mnie akceptujesz. - Bała się tej rozmowy. Znała Beverly na tyle dobrze, by wiedzieć, do czego zmierza.

- Co śmierć i akceptacja mają ze sobą wspólnego?

Avery wolno potrząsnęła głową.

- Nie rób tego, Beverly. Proszę. Wiem, że zaraz powiesz coś, czego nie chcę usłyszeć.

Beverly parsknęła śmiechem.

- Dlaczego boisz się prawdy?

- Nie chodzi o prawdę, tylko o to, że jesteś taka bezpośrednia.

- No więc? Co śmierć i akceptacja mają ze sobą wspólnego? — powtórzyła Beverly. — I jedno, i drugie kładzie kres strachowi. — Choć osłabiona rozmową, nie umilkła. — Akceptuję cię, bo nie muszę się ciebie bać.

- Cieszę się, bo nie masz powodu się mnie lękać.

Beverly chciała już wrócić do domu. Avery wtoczyła wózek

do pokoju. Drżały jej kolana, serce pękało z bólu.

W ciągu następnych kilku tygodni Joyce, pielęgniarka, przejęła wszystkie obowiązki związane z opieką nad Beverly. Mars i Avery odczuli ulgę, ale dręczyło ich poczucie bezużyteczności. W domu wyczuwało się nadchodzącą śmierć. Pod skłębnym lutowym niebem czekały nagie drzewa i ogołocony zimowy krajobraz, uśpiony i martwy. Było bardzo zimno. Pogoda zmieniała się z dnia na dzień jak w kalejdoskopie, z zachodu nadciągały chmury, niosąc deszcz, deszcz ze śniegiem lub śnieg. Avery zaczynała pojmować, że każda radość ma swoją przeciwwagę w bólu. Radosne jesienią góry teraz były smutne, szare i mgliste. Ona na jednej szali kładła lata stoickiej negacji, ćmiące niczym ból zęba, na drugiej zaś skradzione chwile sam na sam z Marsem. Powód, dla którego zjawiała się w Karolinie Północnej, zniknął przytłoczony okrutną rzeczywistością. Nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby mogła teraz wyjechać.

Pewnego dnia pierwszy raz od dłuższego czasu znalazła się z Beverly sam na sam. Ugotowała zupę, przyniosła ją na tacy do kominka, wygodniej ustawiła wózd. Pielęgniarka pojechała do miasta.

- Joyce jest bardzo pomocna — powiedziała, rozkładając serwetkę na kolanach chorej.
- Tak, bardzo.
- Świetnie sobie radzi, nie uważasz?
- I jest miła, jak ty. Dzięki tobie Mars i Frankie są szczęśliwi. Nie chcę, żeby zostali sami.
- Nie będą sami, mają siebie. — Avery mieszała zupę, unikając wzroku chorej.
- Zrozum, twoja obecność w tym domu dużo mnie kosztowała. Byłam zazdrosna, potem przestraszona. Żałowałam, że się w ogóle zjawiłaś, a jednocześnie byłam ci wdzięczna. - Beverly z trudem oddychała, z jeszcze większym trudem mówiła. — Proszę cię, zostań z Marsem i Frankiem. Pomóż im, zrób to dla mnie.
- Przestań, proszę cię, nie mogę tego słuchać...
- Avery, zostało mi tak mało czasu, że mogę być tylko szczerą. Przykro mi, że moje uwagi cię obrażają.
- Nie jestem obrażona, boję się twojej szczerości.
- W twoim sercu widzę miłość. Muszę ci to powiedzieć:

daję wam moje błogosławieństwo, tobie i Marsowi. On już o tym wie.

Zaszokowana Avery spojrzała jej w oczy.

- Co? — Nie potrafiła ukryć łez. — Boże, dajesz nam swoje... — Zaszlochła.

- Nie płacz. - Głos Beverly brzmiał słodko, jej bezręse oczy miały barwę czekolady. - Zostałam sama.

- Nieprawda. Masz Marsa i Frankiego.

- Zupełnie sama.

- Tak się o ciebie boję - szepnęła Avery, nie ukrywając łez.

Nienawidziła siebie za miłość do Marsa, lecz kochała również Beverly. Kochała ich oboje.

- Niepotrzebnie. - Beverly dotknęła jej dłoni. Miała lodowate palce. - Chyba nie zobaczę żonkili tej wiosny. Zasadziłam je przy podjeździe. Tak bardzo je lubię.

- Niedługo na pewno wzejdą. Zima była ciepła, wszyscy mówią, że wyjątkowo ciepła...

Avery czuła się chora. Trzymała Beverly za rękę, patrzyła jej w oczy i nie mogła powiedzieć ani słowa. Brzemień winy przytłaczało ją tak bardzo, że nie była w stanie się poruszyć. Paraliżował ją ból.

- Zobaczysz żonkile - powiedziała, wstając. - Na pewno.

Przyniosę lody.

Waniliowe lody bardzo Beverly ucieszyły, choć zjadła tyle co nic.

Joyce, wróciwszy z miasta, zabrała ją do sypialni. Avery wstawiła mięso do piecyka.

Wieczorem przyszedł Mars. Avery posadziła go przed sobą i powiedziała:

- Wiesz, że sprawiamy Beverly ból. Ona widzi, jak na siebie patrzemy, jak wymieniamy ukradkowe spojrzenia, jak się dotykamy, widzi wszystko. Nie chcę jej ranić.

Mars spojrzał na nią z niemym pytaniem w oczach.

- Nigdy więcej tak na mnie nie patrz — warknęła.

- Nie mogę na ciebie nie patrzeć.
- W takim razie rób to normalnie. Serce mi pęka. Jak możesz to znieść? To, że tu jestem.
- Beverly też tego chce - odparł. - Sama mi mówiła. Taka jest prawda, Avery.
- Prawda jest taka, że od tej pory masz na mnie nie patrzeć. — Poszła zajrzeć do duchówki. Próbował ją objąć, ale się odsunęła. — W ogóle nie słuchasz, co do ciebie mówię. — Po jej policzkach znów płynęły łzy.
- Uczuć nie da się ukryć.
- Musimy spróbować. Oboje. Po prostu musimy. A teraz przestań na mnie patrzeć. I poszukaj żonkili. Jedź do kwaciarni. Może mają tam szklarniowe, z Kalifornii albo skądś. Musimy zdobyć świeże żonkile.
- Żonkile?
- Tak. Beverly je uwielbia.
- Dobrze, będą żonkile.

Do kuchni wpadł Frankie i zaczął nakrywać do

Pod sufitem zaskrzeczała papuga.

— Zamknij się, Wściubek! — warknęła Avery.

Mars i Frankie wybuchnęli śmiechem.

Nie była w stanie pojąć, jak mogła tak długo z tym żyć. Jak mogła się jeszcze śmiać? Jak mogła pogodzić się z tym, że Beverly umiera?

I nagle zdała sobie sprawę, że człowiek o jej sile ducha będzie żył wiecznie.

## Rozdział 17

W iluż pogrzebach brali udział, stojąc ramię przy ramieniu i wsłuchując się w słowa mowy pożegnalnej? Najpierw odprawiali na cmentarz dziecko Charlotte, potem Janie, Kitty, wreszcie Huntera.

Jak na pierwszy tydzień marca, wiało wręcz arktycznym chłodem. Lodowaty wiatr przenikał na wskroś. Żałobnicy drżeli z zimna. Niebo było kredowobiałe. W powietrzu wirowały płatki śniegu. Na nagich

konarach drzew nie zielenił się ani jeden pączek. Na cmentarz przyszło chyba ze sto osób zakutałych w ciemne płaszcze, owiniętych szalikami i skulonych w przejmującym chłodzie.

Na polne kwiaty było jeszcze za wcześnie. Za wcześnie.

Prawie nikt nie płakał.

Luty był ciepły. Avery sądziła, że wiosna nadejdzie szybko. Oby jak najszybciej. Jednakże marzec okazał się chłodniejszy od stycznia i lutego. Myślała, że będzie odwrotnie. Ale cóż mogła wiedzieć o tutejszych zimach?

Ponury, szary dzień.

Trzy poczerniałe od wilgoci, nagie, obnażone i powyginane gałęzie na tle monotonnego nieba. Przypominały sękaty palce. Avery przygniatał smutek.

Bolało ją serce, głęboko zranione niesprawiedliwością tego świata. Mars przytulił Frankiego, Sylva objęła Avery. Avery miała wrażenie, że wszyscy na nią patrzą. Co ona tu robi? Chce

tak od razu zająć miejsce zmarłej? Miejsce, którego nigdy nie zapełni, ani ona, ani nikt inny? Sądzą, że jest dziewczyną Marsa? Odnalezioną po latach kochanką, która szuka okazji, żeby... Podeszli do niej Mars i Frankie. Objęli się, wciągając ją do swego kręgu.

Mars kupił tyle żonkili, że zakryły całą trumnę. Setki jasnożółtych, pryzmatycznych żonkili.

Z ust pastora buchały obłoczki pary, niespójne, odpływające we mgłę ślady słów, urwane i wystrzępione.

Oczyrna wyobraźni Avery ujrzała rodzinę jeleni na łące. Zwierzęta pochylały się nad stawem, skubiąc słodką koniczynę. Usłyszała huk wystrzału, ujrzała padającego jelenia i na nowo ogarnęło ją poczucie winy. Widziała Marsa, który nakazywał jej wzrokiem milczenie. Usłyszała płacz Sylvy i odżył w niej dawny ból. Potem w jej pamięci rozbrzmiały dźwięki gitary. W rzeczywiście wdzierały się wspomnienia. Te dawne i te najświeższe: przepełnione miłością ciemne oczy Beverly.

Na granatowej gałązce przysiadła sójka - pierwszy zwiastun wiosny.

W połowie marca żonkile przy podjeździe miały już pięć centymetrów wysokości i dumnie unosiły małe zielone główki. Rosły też kępami przy drzwiach kawaleria. Przez wiele tygodni padały zimne deszcze i ziemia rozmiękła, jakby od miesięcy nie oglądała słońca. Ta wilgoć była męcząca, lecz żonkile się z niej cieszyły. Górskie lasy owionęło ledwie uchwytnie tchnienie zieleni.

Mars i Frankie musieli zostać sami, żeby po śmierci Beverly

powrócić do normalnego życia, dlatego Avery prawie nie

wychodziła ze swego mieszkania. Czytała jedną książkę za drugą,

ale nie pamiętała ani autorów, ani tytułów, ani nawet tego, co

przeczytała. Jeździła do domu pod lasem i gotowała obiady, po

czym szybko wracała do siebie. Dużo rozmawiała z Marssem

pogodzie,

Pewnego popołudnia usłyszała ciche pukanie do drzwi. Nikogo nie oczekiwała. Zdziwiona, otworzyła.

W progu stał uśmiechnięty Adam, ostatnia osoba na świecie, której się spodziewała.

- Adam! Na miłość boską, co ty tu robisz?

- Zrobiłem ci niespodziankę, co?

- I to jaką! - Objęła go i wprowadziła do mieszkania.

- Jak mnie tu znalazłeś?

- Mówiłaś, że mieszkasz nad warsztatem Marsa. Łatwo tu trafić.

- Tak, chyba tak. Niesamowite. Jestem wstrząśnięta. - Pod-

sunęła mu krzesło i nie siadając, patrzyła na niego jak zahipno-

tyzowana. Jego ciemne włosy były przyprószone siwizną. -

Napijesz się kawy czy herbaty?

- Mam wino - odparł, zerkając na zegarek. - Tak jest, pora na kielicha. Zostawiłem je w samochodzie.

Wybiegł na dwór i wrócił z butelką.

- Nie mogę uwierzyć, że wybrałeś się w podróż bez Tammy i dzieciaków.

- Masz korkociąg?

Był w szufladzie. Adam otworzył wino i napełnił kieliszki. Usiedli przy stole.

- Nic nie rozumiem - powiedziała Avery. - Coś się stało?

Z mamą? Z tatą? Są zdrowi?

- Jak najbardziej. Spędzili u nas Boże Narodzenie. Było bardzo miło.

- W takim razie co tu, u licha, robisz?

- Bywają dni, kiedy z nikim nie gada się tak dobrze, jak z rodzoną siostrą.

- Czuję, że coś się stało. Tak, na pewno.

- Tylko dlatego, że przyjechałem cię odwiedzić?

- Nie zawracaj głowy, za dobrze cię znam. I jesteś za bardzo zajęty.



- Wziąłem parę dni wolnego, musiałem się na trochę wyrwać. Po drodze dużo myślałem. Chciałem odsapnąć i zobaczyć ciebie. — Zakręcił winem w kieliszku. — Ładnie miesz-

kasz. — Rozejrzył się po pokoju. — Niebanalnie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. To dzieło Marsa?

- Tak. Powinieneś zobaczyć jego dom. Stoi na górze pod lasem. — Umoczyła usta w winie. — Jest stolarzem, ale to już wiesz.

Dobre wino... Chcesz, żebym uwierzyła, że przejechałeś tysiąc kilometrów tylko po to, żeby się ze mną napić?

- Ponad tysiąc kilometrów.

- Adam... - Powiedziała to tak jak dawniej, jak w czasach dzieciństwa.

- No dobra, nie ma co owijać w bawełnę. - Przełknął łyk wina. — Jest pewien problem.

- Ktoś zachorował?

- Nic z tych rzeczy. Tammy ma romans.

- Niemożliwe. Zawsze za tobą szalała. Wydawało się, że dobrze wam razem. Jesteś tego pewien?

- Nie mam żadnych wątpliwości.

- I co zamierzasz?

- Niestety, dobrze wiem, że od pewnego czasu ją zaniedbywałem. - Upił kolejny łyk wina. - Myślałem o rozwodzie, ale jestem związany z jej ojcem. Szpital, praktyka, poważne inwestycje, i w ogóle. To przede wszystkim jemu zawdzięczam karierę. Nie mogę rozwieść się z Tammy, nie wywracając wszystkiego do góry nogami. Oczywiście, ona może rozwieść się ze mną.

Avery była zaskoczona.

- Tak mi przykro...

- Jestem w potrzasku. - Posmutniał, jakby przybyło mu lat.

Srebrne nitki we włosach nadawały mu dystyngowany wygląd.

- Nie możecie się na trochę rozstać i zobaczyć, co z tego wyniknie?
- Tak, mógłbym postarać się o mieszkanie. Nawet już jedno wypatrzyłem. Ale nie mogę wyjechać z Miami. Ani rzucić praktyki.
- Nie cierpię, gdy lekarze mówią o praktyce. Powinniście leczyć, a nie praktykować.
- Musimy się uczyć. Medycyna to wielka niewiadoma. Tak mało wiemy.
  
- Adam, po co tu przyjechałeś?
- Chciałem cię zobaczyć. Musiałem z tobą porozmawiać, na nowo cię poznać. Pojeździć po okolicy i obejrzeć to, co nas w dzieciństwie straszło. Pogadać o Tammy, sprawdzić, czy nie wpadniesz przypadkiem na jakiś pomysł. Masz już rozwód?
- Rozumiem, chcesz rady eksperta. Wszystko odbyło się elegancko i bezboleśnie. Dostanę połowę pieniędzy za dom, ale Ken chyba go jeszcze nie sprzedał. A tutaj? Objędziłam nasze stare miejsca. Widziałam się nawet z Neco-wee. Pojechaliśmy do niej z Sylwą przed Świętem Dziękczynienia.
- Co u Sylvy?
- Dobrze. Świetnie. Wyszła za Donalda. Prawda, ty go nie znasz. Mają troje dzieci, wyobrażasz sobie? Cała rodzina Marshallów nieźle sobie radzi. Charlotte jest nadal z Wileym. Echo i Wayne też są razem, choć trudno w to uwierzyć. Tak, są szczęśliwi. Powiodło im się lepiej niż nam.
- Neco-wee... Zupełnie o niej zapomniałem. Myślałem, że już nie żyje. - Adam wstał, przeszedł się po pokoju, potem wrócił do stołu i dolał do kieliszków wina. - Nie zażądałaś od Kena alimentów?

- Po co? Nie jest mi nic winien.
- Jeśli wezmę rozwód, nie będę miał tyle szczęścia. Co słyhać u Marsa?
- Dwa tygodnie temu zmarła mu żona. Od dawna chorowała. Było ciężko, ale jakoś sobie radzimy.
- Chcesz z nim zostać?
- Jeśli on tego zechce. — Wypiła łyk wina.
- Jest tu?

Avery podeszła do okna. Furgonetki nie było.

- Nie wiem. Zdaje się, że dokądś pojechał. Gotuję im, jemu i jego synowi. Zjesz z nami kolację?
- Zjedźmy coś w mieście. Nie chcę, żebyś dzisiaj gotowała. Gdzie mieszka Sylva?
- Mają domek w Brevard. Często ją widuję. Cieszę się, że tu przyjechałam. Nie mogłam zrobić nic lepszego. Nie wiem, dlaczego tak długo zwlekałam.

— Ilekroć do ciebie dzwonię, słyszę, że jesteś coraz szczęśliwsza.

— To prawda — przyznała. — Przez ostatnie pół roku było nam ciężko. Beverly bardzo chorowała. Ale wiesz, czułam się potrzebna. Naprawdę potrzebna, chyba pierwszy raz w życiu. Przykro mi z powodu Tammy. Wiesz, kto to jest? Ten... ten mężczyzna? Od jak dawna to trwa?

— Od długiego czasu. Tak, znam go. Na myśl o tym wszystkim robi mi się niedobrze. Nigdy nie ma mnie w domu. Jestem okropnym mężem i jeszcze gorszym ojcem. Bóg jeden wie, że nie mam do Tammy pretensji. Ale najpotworniejsze jest to, że nic mnie to wszystko nie obchodzi.

Umilkł. Avery czekała.

— Byłbym zapomniał. Szukał cię jakiś prawnik, dzwonił do mnie do gabinetu. Mam tu jego nazwisko i numer telefonu. -

Pogrzebał w wewnętrznej kieszeni marynarki. - Chciał porozmawiać o jakichś terenach na Florydzie. Zdaje się, że masz w nich udziały. — Znalazł karteczkę i podał ją siostrze.

— Chciał rozmawiać ze mną? Dziwne. — Wetknęła karteluszek pod wazon. — Zadzwoń do niego.

Kolacja w mieście była dla Marsa, Frankiego i Avery odmianą, której potrzebowali bardziej, niż im się zdawało. Adam i Mars gadali i gadali jak starzy kumple; ostatecznie przez dwadzieścia lat nie zamienili ze sobą ani słowa. Adama bardziej interesowała muzyka niż stolarka. Chyba nawet trochę Marsowi zazdrościł, ponieważ przyznał, że zawsze chciał nauczyć się grać na gitarze. Naturalnie, Mars powiedział na to, że nigdy nie jest za późno.

W restauracji było tłoczno i gwarno. Na jakiś czas zapomnieli, że gdzieś tam, daleko, wciąż płynie normalne życie.

Po kolacji pojechali do Marsa na kawę. Adam z wielkim zaciekawieniem i podziwem obejrzał dom. Potem słuchali nagrań z występów Marsa, przeplatanych spontaniczną reakcją publiczności. Avery uważała, że Mars śpiewa po prostu cudownie.

Ponieważ w kawalerce było za ciasno, Adam przespał tę noc w pokoju Joyce, pielęgniarki Beverly.

Nazajutrz pojechali na farmę MacKinseya, żeby powspominać dawne czasy. Drzewa porastające zbocza Crowfoot Ridge zaczynały się już zielenić. Szeroką ścieżką podeszli do krzewów jeżyn. Avery opowiedziała bratu, jak to pewnego dnia Mac się przed nią obnażył i o tym, co czuła, gdy wróciła do domu. Rozmawiali też o innych napastowanych przez niego dziewczynkach i o śmierci starego w więzieniu. Avery nigdy dotąd nikomu o tym nie mówiła. Przez długie lata dręczyły ją wyrzuty sumienia, do których się wreszcie przyznała.

- Ale dlaczego? - spytał. - Nie zrobiłaś nic złego.

- Powinam była komuś o tym powiedzieć. - Spojrzała mu w oczy. - Zataić znaczy skłamać.

- Czasami, ale nie w tym przypadku. — Spojrzał na odległą grań. - Tak, pamiętam ten dzień. Chciałaś, żebym pomógł ci rozsiodłać konia. Powiedziałem, że jesteś beksa.

- Wiem. Zawsze miałaś mnie za beksę. Gdybym wtedy powiedziała prawdę, Mac poszedłby do więzienia i nie zacząłby już żadnej dziewczynki.

- Tata się z nim przyjaźnił. Nie wiadomo, czy by ci

uwierzył.

- Nie, chyba nie.

Wrócili do domu Marsa, gdzie spędzili wieczór. Nazajutrz rano Adam zaczął się szykować do odjazdu.

- Twoje odwiedziny dobrze mi zrobiły - powiedziała Avery. — Cieszę się, że przyjechałeś. Cieszę się, żeśmy się zobaczyli.

Martwię się tylko tym, że tak mało rozmawialiśmy o tobie.

O twoich kłopotach.

- Musiałem pogadać z kimś, komu ufam.

Zaufanie? Już od dawna o tym nie myślała. Nie. Uświadomiła sobie, że jemu nie ufa wcale. Czy straconego zaufania nie da się już nigdy odzyskać? Nie sądziła, by Adam rozwiódł się z Tammy. Czowała, że wypracują sobie inny układ, choćby tylko oparty na interesach.

Odprowadziła go do samochodu. Ranek był mglisty i ciemny. Adam objął ją i przytulił.

- Kocham cię - szepnęła. - Chcę, żebyś o tym wiedział.

- I ja ciebie kocham, siostrzyczko. Chyba nigdyśmy sobie tego nie mówili. Zawsze myślałem, że mnie nienawidzisz.

- Co? - Nic nie mogło jej bardziej zaskoczyć. - Przecież to ty mnie nienawidziłeś.

- Znienawidziłaś mnie, bo tamtego lata odebrałem ci Sylwę.

- Fakt. Długo trwało, nim o tym zapomniałam. Ale nie, nie odebrałeś mi jej. Wciąż jest moją najlepszą przyjaciółką.

- Wybaczyłaś mi?

- Nie - odrzekła z przekornym uśmiechem.

Zaczekała, aż zawróci, i odprowadzała wzrokiem czerwone

światła samochodu, dopóki nie skręcił na autostradę i nie zniknął jej z oczu.

Sylva i Avery od dawna planowały wycieczkę do Asheville. Po całym dniu chodzenia po sklepach i butikach, po zmaganiach z porywistym wiatrem hulającym na ulicach, przemierznięte do szpiku kości, zasiadły wreszcie przy kominku w jednej z tamtejszych kawiarni.

— Trudno o zimniej szy dzień na zakupy — powiedziała Avery. — Myślałam, że o tej porze roku będzie już ciepło.

- Marzec jest zawsze bardzo chłodny. No, dobra. Teraz

opowiedz mi o Adamie. Nie byłaś zdziwiona, że przyjechał?

— „Zdziwiona” to za mało. Nigdy w życiu nie zajrzał do mnie do Stuart, choć to raptem trzy godziny jazdy.

— Nadal mieszka w Miami?

- Tak, ale jak wiadomo, lekarze nigdy nie mają czasu dla siebie.

Kelnerka przyjęła zamówienie. Avery roztarta sobie dłonie, żeby przywrócić krążenie krwi.

— Potrafisz przywyknąć do tej pogody? — spytała Sylva.

- Wyznam ci, że bezgranicznie uwielbiam zimno. Nie zapominaj, że całe życie spędziłam w subtropiku.

- No więc? Co u Adama? :

- Małżeństwo mu się sypie. Pewnie dlatego przyjechał.

Jesteś zainteresowana? — rzuciła Avery ze śmiechem.

- Chyba żartujesz! Donald nie jest ideałem, ale dobry z niego człowiek, poczciwy do szpiku kości.

- Żartuję. Wiesz, to zabawne. Ktoś mi kiedyś powiedział, a może gdzieś to wyczytałam, że jeśli pierwsza połowa życia jest przepełniona bólem, druga będzie kipiała radością. Może sprawdza się to i w drugą stronę? W młodości Adamowi układało się cudownie, po prostu genialnie. Ale mam przeczucie, że teraz nadchodzą dla niego ciężkie czasy.

- Ty swoje już przeżyłaś?

- Nie. Niezupełnie. Przyjechałam tu z pewną misją. Chciałam wyrzucić z siebie całą prawdę, lecz nie miałam odwagi, niczego wam powiedzieć. Ani tobie, ani Marsowi.

Kelnerka przyniosła bulion z kury. Avery podziękowała i zamieszała zupę łyżką. Z talerza uniosła się para.

- Co chcesz mu powiedzieć?

- Chcę twego przyzwolenia. Nie, raczej aprobaty. Mars jest twoim bratem. Zbyt długo trzymałyśmy to w tajemnicy. Uwa-

zam, że zatajenie prawdy i kłamstwo to jedno i to samo. Nie wiem, co powiedziałaś Donaldowi, i nie obchodzi mnie, czy powiesz mu o tym, czy nie. Ale Mars musi wiedzieć. Dużo się między nami dzieje. On oczekuje ode mnie uczciwości. Ode mnie, od ciebie, od wszystkich. Byłoby nie w porządku, gdybyśmy utrzymywały go w przekonaniu, że to ty zabiłaś Huntera. Chcę powiedzieć mu prawdę, i to jak najszybciej. Jestem tu od wielu miesięcy i nadal nie znajduję w sobie odwagi. Najpierw była Beverly, jej choroba i śmierć. Ich cierpienie i smutek. Potem znów jak grom z jasnego nieba zjawił się Adam. Zawsze wynajduję jakiś pretekst. Nie mogę mu powiedzieć, bo właśnie świeci słońce, albo dlatego, że pada deszcz. Ale muszę to kiedyś zrobić. Myślę, że wszyscy musimy stawić czoło prawdzie.

- Powiedziałam Donaldowi. - Sylva oderwała wzrok od talerza i spojrzała Avery w oczy. - Niedawno. Powiedziałam mu, że obie trzymałyśmy strzelbę. Wciąż czuję na dłoniach chłód stalowej lufy. - Wzdrygnęła się. - Jesteś pewna, że tego chcesz?

\* - Muszę z tym skończyć. Teraz. Zaraz.

Przez chwilę jadły w milczeniu. Sylva odkroiła sobie kawałek bagietki, Avery przyprawiła bulion pieprzem. Doszły do pewnej bariery, lecz jej nie przekroczyły.

- Powiem mu o tym sama. Będzie to dla nas bardziej bolesne ze względu na to, co nas teraz łączy, a także dlatego, że powinnam mu była powiedzieć wszystko od razu, wtedy, kiedy to się stało. Nie będzie mi łatwo.

- Myślę, że Mars zrozumie. Że zrozumie nawet, dlaczego kłamałyśmy.

- Sylva... — Avery przykryła jej dłoń swoją dłonią. — Jest jeszcze coś. Coś, o czym nie wiesz.

- Co? Kochanie, po tym, co razem przeszliśmy, możesz mi

się zwierzyć ze wszystkiego.

- Zaszłam w ciążę. — Twarz Avery płonęła. Może rozpałił ją ogień w kominku, a może wyznanie.

- Co?

- Zanim powiedziałam o tym rodzicom, było za późno na aborcję.

- Co takiego? Avery... Kiedy? — Sylva była zaszokowana i zatroskana.

- Właśnie wtedy. Odkryłam to pod koniec lata, kiedy wróciliśmy na Florydę. Powiedziałam im dopiero... Bo ja wiem, chyba w październiku. Skrobanka byłaby zbyt niebezpieczna. Urodziłam to dziecko. Rodzice oddali je do adopcji.

- Chryste, Avery, tak mi przykro. Boże drogi...

- To był chłopiec. Zabronili mi go oglądać, ale przekradłam się na oddział noworodków. Łóżeczka były przykryte niebieskim albo różowym kocikiem, na każdym wisiała tabliczka z nazwiskiem. Wisiały na wszystkich oprócz jednego. Wiedziałam, że to on.

- Straszne...

- Tak więc sama widzisz, że... Boże, to potworne, ale urodziłam twój brata, twój przyrodni brata. I oddałam go obcym.

- Nie miałaś wyboru.

— Nie miałam siły. Ale skłamałabym, mówiąc, że chciałam się nim zajmować. Wiele nastolatków wychowuje swoje dzieci, dzisiaj o tym wiem. Wtedy nie wiedziałam. Moi rodzice w ogóle nie brali tego pod uwagę.

— Tak mi przykro. Żałuję, że nic o tym nie wiedziałam. — Sylva próbowała pocieszyć ją wzrokiem. — Teraz już rozumiem,



dłaczego boisz się rozmowy z Marsem, ale tak, masz rację. Mars powinien znać prawdę.

— Jakby jedno nie wystarczyło.

— On zrozumie. Boże, dlaczego do mnie nie napisałaś?

— Nie wiedziałam nawet, gdzie jesteś. A kiedy wreszcie dostałam od ciebie list, już nie mogłam. Po prostu nie mogłam.

— Dlaczego nie dałaś znaku życia?

— Nie byłam w stanie. Może gdybym cię zobaczyła albo porozmawiała z tobą przez telefon... Ale napisać nie mogłam.

A gdy przyjechałam tu w październiku, chciałam najpierw powiedzieć Marsowi. Potem jednak, gdy zobaczyłam Beverly, kiedy dotarło do mnie, jak bardzo jest chora... Nie mogłam się na to zdobyć. Teraz czuję się silniejsza, bo ty znasz prawdę i zgadzasz się, żebym wyjawiała ją Marsowi. Dlatego wreszcie mu powiem. Gnębiło mnie to - bagatela! - przez drobnych dwadzieścia lat.

Wsparcie Sylvy pomogło.

Jednakże nic nie mogło uchronić Avery przed potwornym przeżyciem, które ją czekało.

## Rozdział 18

Frankie załomotał do drzwi i krzyknął:

- Idzie śnieżycy! Straszna śnieżycy! Tata powiedział, żebyś zebrała swoje rzeczy i przyszła do nas! W telewizji mówili, że spadnie dwadzieścia pięć centymetrów śniegu!

- Myślałam, że zima już minęła. Zaczęła się wiosna. Derenie kwitną, widziałeś?

- Tak, ale nadciąga śnieżycy. — Powiedział to tak, jakby od miesiąca nie słyszał lepszej wiadomości. - Pomóc ci?

- Ale po co mam do was iść?

- Nie wiadomo, co się będzie działo. No wiesz, wiatr, śnieg,

i w ogóle. U nas jest bezpieczniej i cieplej. Zresztą, tata tak chce. Jeśli nadciągnie huragan, może wyciąć prąd.

Avery wrzuciła do torby kilka najpotrzebniejszych drobiazgów.

- Dobrze, jak chcecie.

Wyszli. Między drzewami świstał lodowaty wiatr, po mlecznym niebie pędziły chmury, prószył śnieg.

- Idzie straszna burza - powiedział Mars, kiedy weszli do domu.

- Słyszałam. - Avery strząsnęła śnieg z płaszcza. - Zrobiło się bardzo zimno.

- Z wiosennymi burzami nigdy nic nie wiadomo. Musimy nabrać więcej wody. Frankie, skocz po wiadra.

- Wody? Po co? - zdziwiła się Avery.

- Jeśli wyłączą prąd, nie będziemy mieli co pić. Mamy tu pompę elektryczną.

Ustawili wiadra na werandzie, napełnili je wodą, po czym wnieśli do domu, żeby woda nie zamarzła.

- Nocą ściśnie mróz — prorokował Mars, wnosząc do domu naręcze polan. - Ale jakoś sobie poradzimy, mamy mnóstwo drewna.

- Mróz? Masz na myśli prawdziwy mróz? - dopytywała się Avery.

Przy kolacji wsłuchiwali się w wycie wiatru, potem obejrzeni prognozę pogody w telewizji - prezenter ostrzegał przed najgorszym. W ściany domu i w okna łomotały gałęzie drzew. Światło zgasło około dziesiątej wieczorem. Avery zapaliła świece i lampę naftową. Mars dołożył do ognia. Frankie prażył kukurydzę w metalowym koszyku.

- Robi się coraz zimniej - powiedział Mars. - Powinniśmy spać na dole, jak najbliżej kominka. Jeśli nawet temperatura spadnie do zera, jak mówią, tu będzie ze dwadzieścia stopni.

A jeżeli nawet nie dwadzieścia, to na pewno kilkanaście.

- Nie możemy dokładać do ognia przez całą noc? - spytała Avery.

- Będziemy, ale i tak nie uda nam się ogrzać całego domu.

Centralne nie działa, bo siadł prąd. Poza tym wieje silny wiatr.

Na dworze bielą już od śniegu. Nie widać było nawet podjazdu.

- Ale sypie! - cieszył się Frankie. - Ja śpię przy kominku.

W moim puchowym śpiworze można spać nawet na trzydzie-  
stostopniowym mrozie. — Ułożył na podłodze kilka poduszek.

- Nie będzie aż tak zimno - odrzekł Mars. Włożył do ognia

wielką kłodę drewna i postawił przed kominkiem metalowy

ekran. - Taki wiatr może nadmuchać do kuchni iskier i żaru.

Avery nie chciała spać z Marsem. Niedawno stracił żonę i uważała, że powinni jakiś czas odczekać, poza tym tuż za drzwiami spał Frankie. Ale wyglądało na to, że nie ma innego wyjścia. Nie wierzyła, że burza będzie tak straszna, jak przewidywali meteorolodzy. Ileż to razy, jeszcze na Florydzie, przy-

gotowywała się do huraganów, które przechodziły bokiem lub rozmywały się nad oceanem?

Wicher szalał, kołatał do okien, wyl pośród drzew i nie pozwalał zasnąć. Gałęzie nieustannie tłukły o ściany. Gdzieś w pobliżu zważyło się drzewo i dom zadrżał w posadach.

- Te przeklęte sosny nie mają żadnych korzeni - wymam-

rotał Mars, przewracając się na bok. — Dobrze, że nie uderzyła

w dom.

Zasnęła w jego ramionach z nadzieją, że najgorsze minęło. Obudził ją w środku nocy. Pokój tonął w ciemności. Przez uchylone drzwi widać było nikłą poświatę bijącą z kominka.

- Zimno mi — szepnął, przywierając do niej całym ciałem.

Odwróciła się, przysunęła bliżej i zaczęła rozcierać mu plecy.

Wsunął rękę pod jej bluzę, dotknął piersi. Pod zimną dłonią jej rozgrzane ciało pokryło się gęsią skórka. Gładził i pieścił jej brzuch, by w końcu przesunąć rękę w cieplejsze miejsce. Nie ruszała się, wiedząc, że tuż obok śpi Frankie i leżała tak, pozwalając mu się dotykać. Pieścił ją długo i wreszcie było już za późno na odwrót. Wezbrało w niej ekstatyczne, nieznośne napięcie, nie dające się ukoić niczym innym, jak tylko gwałtow-  
nym rozładowaniem. Skrępowani bolesną powściągliwością, byli niczym biegnące ku brzegowi fale, które rozbijają się

o falochron, by z jeszcze większym impetem zawrócić ku otwar-

temu morzu. Starala się wykonywać jak najmniej ruchów

1 zachować ciszę. Spełnienie osiągnęli, leżąc prawie zupełnie

nieruchomo i bezgłośnie.

Śnieżycza atakowała dom aż do rana, wiatr powalił jeszcze jedno drzewo. W salonie trzaskał dopalający się ogień. Ich oddechy z wolna się uspokajały.

Spadło nie dwadzieścia pięć, ale sześćdziesiąt pięć centymetrów śniegu. Rano Avery stanęła przy oknie, podziwiając najpiękniejszy pejzaż, jaki dotąd widziała. Taras tonął w śniegu niemal po samą balustradę. Zaparzyli kawę, ciesząc się, że mają piecyk gazowy. Mars wyszedł na dwór, żeby sprawdzić, które drzewa poddały się wichurze.

- To sosny - oznajmił po powrocie, wnosząc do domu

świeże naręcze polan. - Ta za domem była olbrzymia, miała ze dwanaście metrów. Druga rosła przy zachodniej ścianie. Gdyby runęły pół metra dalej, mogłyby zniszczyć dom.

Śnieg przygniatał do ziemi gałęzie drzew. Termometr wskazywał minus cztery stopnie Celsjusza, a w kuchni było około plus trzynastu. Z okapów zwisały błękitne sople.

- Obiecałem ci śnieg - rzekł Mars. - Zawsze dotrzymuję słowa.

- Doceniam wszystko, co dla mnie robisz - odparła.

On rozpałił w kominku wielki ogień, ona przygotowała obfite śniadanie. Potem długo chodzili po śniegu i podziwiali bajkowy krajobraz. Zapadali się w zaspach, przewracali, wreszcie zmarznięci, mokrzy i roześmiani ruszyli z powrotem do domu. Kiedy Frankie pobnął przez śnieg odwiedzić kolegę, po raz pierwszy od wielu dni zostali sami.

- Co to było? - spytała, znosząc naczynia do kuchni. - To w nocy.

- Nie mogłem się powstrzymać. — Nie, nie, nie zwiódł jej swoim niewinnym uśmiechem. Przyniósł wiadro wody, dołał do garnka, postawił garnek na palniku.

- Trzeba będzie nad tym zapanować. Słyszysz?

- Dlaczego?

- Ponieważ potrzebujemy czasu, żeby ochłonąć po tym, co się stało. Żeby pogodzić się ze stratą. Poza tym, tuż obok spał Frankie. O czym ty myślałeś?

- Nie próbowałaś mnie powstrzymać.

- Bo ja też jestem człowiekiem. Ale potrzebujemy trochę czasu.

- Chcę, żebyś z nami zamieszkała.

- Za wcześnie, Mars. Nawet o tym nie myśl.
- Posłuchaj: żyłem w żałobie przez dwa lata. Opłakiwałem Beverly od dnia, kiedy lekarze postawili diagnozę.
- Ty, ale nie ja.
- Potrzebuję cię.
- Co by na to powiedział Frankie? Pomyślałeś o tym?
- On wie, że będziemy razem. Porozmawiam z nim. ,

Mył naczynia w ciepłej wodzie. Avery płukała je w zimnej i wycierała.

— To nie w porządku, Mars. Bardzo ci się dziwię. Powinniśmy być bardziej dyskretni.

Przygarnął ją do siebie.

— Avery, przecież ja cię kocham — powiedział. — Kocham cię całym sercem i duszą. Kochałem cię całe życie. Nie chcę dłużej czekać.

— I ja cię kocham, Mars. Dobrze o tym wiesz, ale musimy poczekać. Dziś wracam do siebie.

— Nie. Frankie będzie spał na górze. Dzisiejsza noc nie będzie taka zimna. Proszę cię, zostań. Nie chcę, żeby nasza pierwsza kłótnia dotyczyła tego, czy i kiedy możemy się kochać.

— Porozmawiasz z nim? Dzisiaj?

— Tak.

— Zobaczymy, jak zareaguje.

Tego wieczoru też nie było prądu. Frankie poszedł spać na górę. Mars i Avery położyli się do łóżka, jakby robili to całe życie.

— Rozmawiałaś z Frankiem? - zapytała.

— Tak. Wszystko w porządku, on nas rozumie. Oczywiście, bardzo tęskni za mamą, ale już cię zaakceptował. Myślę, że twoja obecność i przyjaźń z Beverly bardzo w tym pomogła. Wie-dział, że z nami zostaniesz.

Wkrótce serenada pocałunków, wzajemnego kosztowania się i rozsmakowywania przerodziła się w staccato uderzających

0        siebie czynili. Avery chłoneła i pieszczoty Marsa, i to od  
dawna wyczekiwane zespolenie, tak wyśnione, wymarzone  
1        upragnione. Potem, ukojona i chwilowo nasycona, odpłynęła  
w przeszłość, w echa ich pierwszego razu, a fala wspomnień  
przyniosła jej poczucie harmonii, pieśń, wiersz, promień światła,  
obraz wtulonych w siebie ciał i splecionych palców. Jedno  
serce. Jedno życie. Płakała wtedy, płakała i teraz, wsłuchując się  
w równy oddech Marsa.

O zimnej i cichej godzinie poranka kochali się jeszcze raz, rozkoszując się każdym dotknięciem i ruchem. Dojrzali, do-

świadzeni życiem, które mieli jeszcze ze sobą dzielić, czuli piękno zespolenia i wagę oddania.

Odcieci od świata przez pięć dni, piekli kruche ciasteczka,  
puchate babeczki, gotowali posiłki i wyjadali zapasy z lodówki.

Nosili wodę do splukiwania klozetu, do kąpieli i mycia na-  
czyń - topili śnieg przy kominku, na kuchence gazowej lub brali  
wodę prosto ze strumienia. Grali w scrabble i rozmawiali. Bez  
komputera Frankie nie mógł znaleźć sobie miejsca. Prowadzili

poważne konwersacje z Wściubkiem. Gotowali zupę, piekli chleb i cieszyli się, że choć nagle pozbawiono ich pracy, szkoły, telewizji, radia i kaset, mogą razem robić tyle różnych rzeczy.

Przyjechały pługi śnieżne, ale mimo to nie zdołali wyjechać na drogę ani BMW, ani półcięzarówką Marsa. Pewnego dnia białe zwały roziskrzyło jasne słońce, a z błękitnego nieba umknęły chmury. Dopiero wtedy śnieg zaczął topnieć — kapąło z dachu, z gałęzi sosen - a kiedy zniknął na dobre, po obu stronach podjazdu wystrzeliły rozkwitłe żonkile.

Leśne derenie i judaszowce wyglądały jak tańczące wróżki pokryte różowym i białym kwieciem. Tu i ówdzie pokazały się tulipany. Z nastaniem cieplejszych dni góry zrzucały z siebie zimę, tak jak ludzie zrzucają płaszcze w pierwszych promieniach wiosennego słońca. Śnieżyca zapędziła zimę w najdalszy kraniec piekieł. Avery uważała dotychczas, że najpiękniejszą porą roku w górach jest jesień, jednakże wiosna wprawiała ją w ekstazę.

Podczas ferii Frankiego chcieli pojechać na Florydę. Avery mogłaby wówczas zabrać rzeczy z przechowalni i kazać je przewieźć do Karoliny Północnej.

-        Pojedziemy do Disney World! - cieszył się Frankie. -

Pójdziemy na ryby! Będziemy żeglować! Popływamy jachtem!

Powiosłujemy łódką! Wykapiemy się w oceanie!

- Nie tylko to, zobaczysz - zapewniła go Avery.

Mars był równie podekscytowany.

- Chcę zobaczyć, jak mieszkałaś - powiedział. - Chcę spotkać się z twoimi rodzicami, których nie widziałem od lat.

I z Adamem, a nawet z Kenem. Wtedy wszystko się dopełni.

Zamknie się koło.

— Wariat z ciebie — odrzekła. — Zupełny wariat.

- A co będzie z Wściubkiem? - spytał Frankie. - Nie możemy zostawić go samego.

— Hoyt się nim zajmie. Ptaszydło może zostać w warsztacie.

Wściubek, chodź no tu! — zawołał Mars.

Ptaka sfrunął z krokwi i wylądował na jego ramieniu.

— Wściubek, jeśli wyjedziemy na Florydę, zostaniesz z Hoytem, dobra?

Skrzek. .

Frankie poszedł wcześniej spać, Mars siedział w salonie. Avery skończyła sprzątać kuchnię i zrobiła dwie filiżanki kawy. Jedną podsunęła Marsowi, z drugą usiadła obok.

— Mars... — Zawiesiła głos. — Jest coś, o co chciałabym cię zapytać. Coś, o czym chcę z tobą pomówić. Dręczyło mnie to długie lata...

Popatrzył na nią. Czekał.

- Pamiętasz, jak po pogrzebie twojego ojca przyszedłeś do domku na farmie Maca, żeby się pożegnać? Wracłeś do Fontany. Powiedziałeś, że mnie nie kochasz, że mnie nie chcesz. Zerwałeś ze mną, pamiętasz?

— Nigdy nie mówiłem, że cię nie kocham.

— Zerwałeś ze mną tak kategorycznie, że bardzo mnie to

zabolało. Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego tego chciałeś.

- Nie chciałem, tylko nie miałem wyboru.
- Mieliśmy wybór. Nie musieliśmy zrywać na zawsze. Mogliśmy do siebie pisać, czasem się widywać. Byliśmy prawie dorośli.
- Nie chciałem cię bardziej ranić.
- To nie ty mnie zraniłeś. Nie ty, Mars.

- W moich żyłach płynie krew Huntera. Mój ojciec cię napastował. Jak mogłem się z tobą związać? Jak mogłem spojrzeć ci w oczy? - Czuł się winny, wyraźnie to widziała. - Nie sądzisz, że my, Marshallowie, odcisnęliśmy na twoim życiu

wystarczająco bolesne piętno? Nie uważasz, że wyrządziliśmy ci wystarczająco dużo złego? Byłem skażony krwią Huntera. Skażony, na zawsze naznaczony jego bestialstwem. Uginałem się pod brzemieniem winy i nie widziałem innej drogi, jak tylko porzucić nadzieję, że kiedykolwiek będziemy mogli być razem.

- Mars, nie..
- Pragnąłem cię. Myślałem o tobie przez wiele lat, ale nie miałem wyboru.
- Mars, przecież kochaliśmy się ze sobą, bo tego chcieliśmy. Nigdy do niczego mnie nie zmuszałeś.
- Byłaś bardzo młoda, Avery.
- Ale to ja do ciebie przyszedłem, pamiętasz? To ja weszłam ci do łóżka.
- Żeby mnie pocieszyć, a nie po to, żebym cię napastował. Byłaś dziewicą, dzieckiem...
- Ty też.
- Zmarnowaliśmy tyle lat. Chciałbym to odmienić, ale nie możemy.
- Mars, muszę ci o czymś powiedzieć. Powinnam była to zrobić dwadzieścia lat temu, a już na pewno zeszłej jesieni. Twój ojciec mnie zgwałcił.



- Nie. Nie. On się tylko na ciebie rzucił. Na ciebie i na Sylwę. Był pijany, ale chyba nie...

- Skłamałyśmy, nie chciałyśmy, żeby ktokolwiek dowiedział się prawdy. Dopracowałyśmy wszystkie szczegóły. A potem, kiedy wróciłam na Florydę, odkryłam najgorsze. Byłam w ciąży. — Próbował jej przerwać. — Proszę cię, daj mi skończyć. Od dawna chciałam ci to powiedzieć. Urodziłam dziecko i rodzice oddali je do adopcji.

- Nie, to niemożliwe. Niemożliwe. - Był tak zaszokowany, że widząc to, omal nie umarła. - To po prostu niemożliwe.

- Możliwe. Urodziłam chłopca.

- Niemożliwe - wymamrotał drżącym głosem. - Po narodzinach Shelby'ego Hunterowi usunięto nasieniowody. Nie chciał mieć więcej dzieci. Wayne zawiózł go do kliniki w Asheville, sam mi o tym opowiadał. Hunter bardzo to przeżywał,

uważał, że to ujmą dla jego męskości. Ale mama chorowała, urodziła sześcioro dzieci, a on nie mógł przestać. Dlatego zdecydował się na zabieg. Przypuszczam, że nie powiedział o tym nawet mamie. Tylko Wayne o wszystkim wiedział.

- Nie. Hunter miał usunięte nasieniowody? Hunter? - Jej umysł nie potrafił tego ogarnąć. Mars zawsze używał przerwy, za każdym razem uważali... - Niemożliwe... To znaczy, że dziecko...

Uświadomili to sobie dokładnie w tym samym momencie.

- Boże, Avery, to było moje dziecko. - Przytulił ją. Prawda docierała do niego powoli, wreszcie go olśniła.

- Myślałam, że Huntera - wyszeptala słabym, jakby z daleka płynącym głosem. — Zawsze się zabezpieczałeś, Hunter tego nie zrobił... Donosiłam je i urodziłam. To był chłopiec. Ojciec oddał go do adopcji. Przez wszystkie te lata do głowy mi nie

przyszło, że mogło być twoje. Nigdy nie dopuściłam do siebie takiej myśli. Mars, daję ci słowo, że nic nie wiedziałam.

- Oczywiście, że nie. Nie mogłaś. - Miał twarz ściągniętą bólem. — To musiało być dla ciebie straszne. Gdyby Wayne nie powiedział mi o tym zabiegu, nigdy nie poznalibyśmy prawdy.

- Jest jeszcze coś. Proszę cię, pozwól mi skończyć. Musisz o tym wiedzieć.

Umilkł zszokowany.

- Mieliliśmy dziecko? - spytał po chwili. - Syna? Ty i ja?

- A ja oddałam go obcym. - Ukryła twarz w dłoniach. -

Całe życie się tym zadreślałam, ale teraz, kiedy wiem, że dziecko było twoje, jest mi jeszcze trudniej.

Uniósł jej twarz, otarł łzy.

- Tam mi przykro, Avery. Nic nie wiedziałem. Byłbym coś zrobił. Musiałem od ciebie odejść. Zdawało mi się, że inaczej nie mogę. Nie miałem pojęcia, że byłaś w ciąży. Sądziłem, że beze mnie czeka cię lepsze życie. - Miał w głowie zupełny mętlik. — Potworne — szepnął. — To musiało być dla ciebie potworne.

- Nic nie mógłbyś zrobić. Byliśmy za młodzi. Za wiele nas dzieliło. Nie mieliśmy żadnego wyobrażenia o życiu. Nic lepsze-

go mnie nie czekało. — Wypiła łyk dawno wystygłej kawy, zmarszczyła czoło i odstawiła filiżankę. - Proszę, pozwól mi skończyć. Muszę ci opowiedzieć, co się wtedy stało. Przyszedł Hunter. Zastał mnie samą. Był pijany. Najpierw zaczął mnie szarpać, potem się na mnie rzucił. Kiedy mu się wyrwałam, stanęłam plecami do ściany i powoli ruszyłam w stronę drzwi. Wpadłam na półkę ze strzelbą. Hunter znów mnie zaatakował. Chwyciłam strzelbę. Pamiętam, że była ciężka. Chciałam go uderzyć i jakoś... Boże, Mars... Wtedy wróciła Sylva. Próbowała odebrać mi broń. Strzelba wypaliła. Nie chciałam tego zrobić. Nie chciałam go zabić. Ale było już za późno. Mars objął ją jeszcze mocniej.

- Wiem, że nic z tego nie zrozumiesz. Nie wierzyliśmy własnym oczom. Nie wiedziałyśmy, jak to się stało. Ale Sylva bała się, że całe życie spędzę w więzieniu. Uważała, że jeśli

powiemy, że to ona strzeliła, szybko się z tego wykręci. Zeznałyśmy, że mnie przy tym nie było. I nikomu nie zdradziłyśmy prawdy.

- Boże, moje ty kochanie, przez jakie piekło musiałyście przejść, ty i Sylva. Tak mi przykro.

- To nie twoja wina. Do nikogo nie można mieć pretensji. —  
Wtuliła twarz w jego ramię. - Musiałyśmy sobie z tym radzić.

- Czy kiedykolwiek mi wybaczysz? - spytał, zaglądając jej w oczy.

- Tobie? O to samo chciałam zapytać ciebie.

- Nie mam ci nic do wybaczenia. Jak mógłbym winić cię za to, że się broniłaś? Proszę cię, opowiedz mi o naszym dziecku. Gdzie je urodziłaś? Kiedy?

- Urodziło się piątego kwietnia sześćdziesiątego piątego. W szpitalu, gdzie nikt nas nie znał. O ile się orientuję, dokumenty adopcyjne są przechowywane na Florydzie. Nic więcej nie wiem. Zresztą, nigdy o tym nie rozmawialiśmy. To typowe dla mojej rodziny.

- Byłaś sama?

- Nie, z mamą. Tak mnie tam odurzyli, że niewiele pamiętam. Ale widziałam nasze dziecko. Nie chcieli, żebym je

oglądała, mimo to poszłam na oddział noworodków i widziałam, jak spało. Było takie maleńkie, takie śliczne.

— Avery, kochanie moje...

— Musimy znaleźć w sobie siłę, żeby spojrzeć w przeszłość —  
szepnęła ocierając łzy z jego policzka.

— Nie, Avery. Musimy znaleźć siłę, żeby spojrzeć w przyszłość.

Prawda ma korzenie niczym las i sklepienie rozległe jak niebo. Wyrosła z lat ich młodości spleciona, lecz niezatarta. Wbrew oczekiwaniom, nie tyle ich wyzwoliła, ile stała się wszechobecna, na wskroś ich przeniknęła i okryła niby mgła. W tkankę ich życia musiała wpleść się nowa rzeczywistość.

Słowa płynęły między nimi niczym wibrujące dźwięki ka-mertonu. Odślaniały blizny. Zwyczajne rozmowy załamywały się pod ciężarem nowego odkrycia. Co by było, gdyby Mars wiedział? Gdyby wiedziała ona? Czy coś by się wtedy zmieniło?

Między te wszystkie pytania wplótł się ból związany ze śmiercią Beverly, smutek i żal. Avery chciała pomóc, chciała dzielić z nimi cierpienie, lecz czuła, że wola przeżywać tę stratę sami, że przebywając w domu pod lasem, pozbawia się prywatności, której tak bardzo potrzebowała. Pod koniec życia Beverly była ze swoim bólem całkiem sama, teraz z kolei Mars i Frankie musieli pogodzić się z jej śmiercią w samotności. Świeży grób odwiedzali bez Avery, ona zaś jeździła na cmentarz bez nich lub w towarzystwie Sylvy.

Tuż po śmierci Beverly przeżyli okres względnej normalności. Może wpłynął na to przyjazd Adama, śnieżycy albo kipiąca energia wiosna, która rwała oczy milionami barw. A może żadne z nich nie potrafiło oplakiwać zmarłych?

O wakacjach na Florydzie przestali mówić, kiedy Frankie zachorował na gripę i przeleżał w domu cały tydzień. Avery

nosiła mu do sypialni żupę i zostawiała tacę. Chłopiec sposepniał, stał się mrukliwy, często spał albo udawał, że śpi.

Avery coraz więcej czasu spędzała samotnie w mieszkaniu. Pewnego dnia, gdy siedziała przy stole, wpatrzona w wystygłą kawę, obracając wazon z suchymi kwiatami, zobaczyła karteczkę, którą dał jej Adam. Nazwisko i telefon. Zaciekało ją, o co może chodzić. Zadzwoiła.

— Trudno panią znaleźć - powiedział adwokat, kiedy się przedstawiła.

— Od pewnego czasu mieszkam w Karolinie Północnej.

W czym mogę panu pomóc?

— Odziedziczyła pani pewną nieruchomość...

-Ja?

— Tak. Przepraszam, że tak długo to trwało. Testament otrzymaliśmy już kilka miesięcy temu, ale musieliśmy sprawdzić jego prawomocność.

— Czyj testament?

— Czy mówi coś pani nazwisko Osceola Oscipee?

— Naturalnie. To Skeeper, był moim ogrodnikiem.

- Zostawił pani ziemię.
- Naprawdę? Gdzie?
- No właśnie, w tym rzecz. Jest to część niezagospodarowanego terenu na zachód od Palm City. Niestety, zapisy nie są precyzyjne. Ziemia leży pośrodku terenów, które chce przejąć firma „Kessler Properties”. Ich prawnicy właśnie nad tym pracowali, gdy się okazało, że centralna część tego obszaru należy do pani. O ile wiem, niedawno rozwiódła się pani z panem Kesslerem, wiceprezesem „Kessler Properties”. Czy to prawda?
- Tak.
- Cóż, sprawę dodatkowo komplikuje fakt, że w ramach podziału majątku otrzymała pani jedną czwartą ziemi „Kessler Properties”. Okazało się, że pan Kessler połowę ziemi zapisał firmie, natomiast pozostała część należy do wspólnoty majątkowej. W wyniku podziału połowa tej części przypada teraz pani.
- Rozpoczęli już prace? — zapytała Avery.
- Nie. Firma chce odkupić od państwa całą ziemię, i tę, którą posiadaliście wspólnie, i tę, którą odziedziczyła pani po panu Oscipee. Z tego, co wiem, przygotowują dla pani bardzo atrakcyjną ofertę.
- Nigdy jej nie sprzedam.
- Obawiam się, że będą o nią walczyć.
- Niech walczą. Czy reprezentuje pan interesy „Kessler Properties”
- Nie. Reprezentuję własność pana Oscipee - odparł spokojnie prawnik. — Jak już wspominałem, trochę to trwało, zanim ustaliliśmy, że testament jest zgodny z prawem.
- A konkretnie? Kto pana wynajął?

- Brat pana Oscipee.
- Czy mam wystarczająco dużo ziemi, żeby powstrzymać tę budowę?
- Mogą budować tylko na części, do której mają tytuł.
- Doszło do jakichś naruszeń?
- Żeby to stwierdzić, trzeba najpierw dokładnie wymierzyć działkę. Powinna pani wrócić na Florydę i natychmiast się tym zająć. Firma Kesslera nie podda się bez walki.
- Tak, rozumiem. Doceniam trud, który pan sobie zadał, żeby mnie odszukać. Zajmę się tym. Dziękuję.

Nie mogła przestać myśleć o tej nieszczęsnej ziemi. Była tak pewna, że zostanie z Marsem, iż nigdy nie zastanawiała się nad innymi możliwościami ułożenia sobie życia. Lecz ochrona ziemi Skeetera była dla niej świętą powinnością. A poza tym, dręczyły ją wyrzuty sumienia, że chce zająć miejsce Beverly. Nic nie powiedziała Marsowi. Zatajenie było kłamstwem, tak samo jak kiedyś.

Kilka dni później ponownie zadzwoniła do adwokata. Zażądała szczegółów, zadawała pytania.

- Co można zrobić, żeby tę ziemię ocalić? - spytała pod koniec długiej rozmowy. - Skeeter, to jest pan Oscipee, był nie tylko moim ogrodnikiem, ale i wieloletnim przyjacielem.
- Sądzę, że musi tu pani przyjechać, pani Kessler...
- Avery. Avery Baldwin. Wróciłam do panieńskiego nazwi-

ska. Czy zechce pan zająć się moją sprawą, czy może zachodzi tu konflikt interesów?

- Nie, proszę pani. Z przyjemnością będę panią reprezentował.
- Skontaktuję się z panem po przyjeździe. Umówimy się na spotkanie. Dziękuję.

Czyżby znowu chciała uciec? Czyżby bała się zostać z Marsem i Frankiem? Czy gdyby została, musiałaby z czegoś zrezygnować? Z czegoś albo z siebie samej? Miała wrażenie, że stoi na brzegu urwiska: nie wiedziała, czy spadnie w dół, czy uleci.

Zadzwoniła do Kena. Zdziwił go jej telefon.

- Rozumiem, że chciałbyś coś ode mnie odkupić - zaczęła.
- Co ty wyczyniasz? Chcesz mnie ograbić? Nasi prawnicy

twierdzą, że odmawiasz współpracy.

- Jak dotąd, nic od ciebie nie dostałam.
- Ta ziemia nie jest twoja, Avery - powiedział z goryczą. -

Weszłaś w jej posiadanie czystym przypadkiem.

- Szczęśliwym przypadkiem — poprawiła.
- Co za nią chcesz?
- Nie zamierzam jej sprzedawać, nie po to dzwonię. Sprze-

dałeś dom?

- Nie.
- Chcę go zatrzymać. Odkupię twoją część. Jakoś.
- Chcesz wrócić na Florydę?
- Chcę zatrzymać ogród. Wykupię od ciebie dom. Jeszcze

nie wiem jak, ale coś wykombinuję.

Zawahał się.

- Avery, nie wiem, jak ci to powiedzieć...
- Co?
- Ogrodu już nie ma. Kazałem go zaorać. Wyrównałem teren, żeby mieć większe szansę na sprzedaż domu. Nie przyszło mi do głowy, że zechcesz cokolwiek stąd zatrzymać.
- Mnie też nie. - Zdławiła w sobie gniew. Znowu czuła się zdradzona i wypalona.
- Wracasz?
- Wracam, żeby spróbować ocalić kawałek Florydy.

— Zaskakujesz mnie.

— Zapomnijmy o domu. Sprzedaj go. Wszystko mi jedno.

Nie spodobały ci się moje plany. Ale nic mnie to nie obchodzi.

Nareszcie zrobię coś innego. Troszeczkę innego. I zrobię to w imieniu Skeetera.

— Będziemy o tę ziemię walczyć, Avery. Nie masz do niej

prawa.

— Walczcie, mam to gdzieś. Skontaktuję się z tobą po przyjeździe. Przykro mi, Ken.

— Wcale nie jest ci przykro. Jeszcze pogadamy. Do widzenia.

Miała przed sobą rozmowę z Marsem, to było najgorsze.

Siedziała samotnie w domu, zastanawiając się, co i jak mu powiedzieć. Zdawało jej się, że traci zmysły. Zawsze się tego spodziewała, dlatego nie była zaskoczona. Od dzieciństwa wiedziała, że jej miejsce jest u boku Marsa, ale teraz stanęli na rozdrożu. Mars wciąż pytał, co w nią wstąpiło. Musiała, po prostu musiała mu powiedzieć.

Frankie wyzdrowiał. Odzyskał dawny humor i wrócił do szkoły.

Pewnego ranka, kiedy wyszedł, Avery nastawiła wodę na kawę.

— Usiądź, Mars. Muszę ci coś powiedzieć. — Wzięła go za rękę i zaprowadziła na sofę. - Proszę cię, spróbuj mnie zrozumieć.

— Tylko mi nie mów, że szykujesz kolejną bombę.

— Nie, nie. Wydarzyło się coś niespodziewanego. Opowiedziałam ci o moim ogrodzie. Skeeter i ja uprawialiśmy go długie lata. Byliśmy sobie bliscy. Szanowałam go, był moim przyjacielem. Okazało się, że zostawił mi kawałek ziemi. Adam przekazał mi wiadomość od adwokata, przypomniałam sobie o tym dopiero teraz. Zadzwoiłam na Florydę i dowiedziałam się, że „Kessler Properties” chce tę ziemię ode mnie odkupić. Mam szansę ją ocalić. Muszę tam wrócić i wynająć geodetów, żeby wiedzieć, o jaki obszar chodzi.

Wyglądał tak, jakby uderzyła go w twarz.

— Robisz to dla Kena?

— Nie, Boże, oczywiście, że nie. Robię to dla siebie samej.

Przeżyłam z tobą najszcześniejsze miesiące w życiu. — Starannie dobierała słowa. - Musieliśmy się spotkać. Oboje, ty i ja.

Musieliśmy się znowu zobaczyć. Musiałam tu być dla ciebie



i Beverly. Po tylu latach nareszcie zdołałam wyznać ci prawdę.

Musieliśmy przez to przejść razem.

— Nie wyjedziesz. Nie puszczę cię.

— Jadę na Florydę z misją. To jest twój dom, dom Beverly.

Nie mój.

— Chcę, żeby był twój.

— Wiem, Mars. Kocham cię całym sercem. Ale to nie jest moje życie, w każdym razie jeszcze nie. Muszę pożyć własnym, zanim zacznę dzielić z tobą twoje.

— Co chcesz zrobić?

Wyjaśniła mu wszystko najdokładniej jak umiała, chociaż nie znała zbyt wielu szczegółów. Opowiedziała mu o Skeeterze, o jego mądrości, o łączącej ich przyjaźni, o wspólnych zainteresowaniach, o ogrodzie, wytłumaczyła mu, dlaczego ten niewielki kawałek ziemi przez tyle lat był dla niej zbawieniem.

— Rozumiesz? Sama go stworzyłam. - Opowiedziała mu o domach budowanych przez Kena i innych przedsiębiorców dewastujących Florydę. I oto nagle otrzymała kawałek dziewięćdziesiątego terenu, który mogła uchronić przed zniszczeniem.

— Myślałem, że nienawidzisz Florydy.

— Przejęłam tę nienawiść po matce. Ona nie znosi upałów, robaków i turystów. Ale nie mogę dopuścić do tego, żeby jej niechęć do Florydy, jej totalna negacja kierowała moim życiem. Istnieje Floryda, którą szczerze kocham między innymi dlatego, że tam się urodziłam.

— Avery, czekaliśmy na siebie całe życie. Wiem, że ostatnio mieliśmy ciężki okres. Zdaje się, że reaguję z opóźnieniem. To minie. Bardzo brakuje mi Beverly. Tęsknota nachodzi mnie falami, nie odczuwam jej cały czas. Ale kiedy mnie dopada, Boże, nie umiem tego wyjaśnić...

Oczy zaszyły jej łzami. Objęła go i przytuliła. Zagwizdał czajnik. Poszła do kuchni, zrobiła kawę i przyniosła filiżanki do salonu.

— Pomyślałem, że moglibyśmy odszukać naszego syna —  
powiedział.

Nic na świecie nie sprawiłoby jej większej radości.

- Nie możemy. On ma swoje życie. Może nawet nie wie,  
że był adoptowany. Nie możemy ryzykować, że zburzymy mu  
życie czy popsujemy stosunki z rodzicami, którzy go wychowali.

Musimy o nim zapomnieć. On ma teraz dwadzieścia jeden lat.

Bardzo chciałabym go zobaczyć i poznać, ale nie, to niemożliwe.  
Nie będziemy nawet próbować.

— Nie zostawiaj mnie. — Słyszała jego urywany oddech.

— Nie zostawiam cię, Mars. Są sprawy, którymi muszę się zająć.

Po prostu muszę. Nie będziemy się żegnać. Zobaczymy, co będzie.

- Nie mogę uwierzyć, że wyjeżdżasz.

— Wiem. Mój wyjazd, choć ledwie na kilka miesięcy, jest  
dla mnie najtrudniejszym wyzwaniem. Nie odchodzę od ciebie,  
Mars. Wyjeżdżam, żeby zająć się czymś, co jest dla mnie bardzo  
ważne. Przez ten czas podleczyjemy rany. Frankie potrzebuje teraz  
twojej całkowitej uwagi. Moja obecność cię rozprasza. Proszę  
cię, pozwól mi wyjechać i wierzyć, że nadal mnie kochasz.

- Nie tak, jak to było przed laty? - Upił łyk kawy.

Dlaczego nie wystarczy ci to, co mamy?

— Wystarczy, Mars, wystarczy aż nadto. Beverly też tego  
chciała. Ja nie odchodzę. Ale jestem komuś coś winna. Muszę  
spłacić dług. Nie potrafię zająć miejsca Beverly ani przy tobie,  
ani przy twoim synu. Nie mogę żyć jej życiem. Z czasem  
wszystko się ułoży, ale teraz musimy się rozstać. Kiedy ponownie  
zaczniemy wspólne życie, wszystko będzie nowe i świeże.  
Tymczasem muszę wykorzystać okazję i naprawić chociaż jedno  
zło. Ujawnienie prawdy dało mi wolność, którą powinnam  
szanować.

- Jak możesz się ze mną żegnać, Avery?
- Nie żegnam się z tobą. Ferie wiosenne nie wchodzą już w rachubę, ale wakacje będą jeszcze lepsze. Przez jakiś czas

trochę do siebie pojeździmy. Latem przywieź na Florydę Fran-kiego. Należy wam się odpoczynek.

- Chcesz powiedzieć, że nie zamykasz za sobą drzwi?
- Ależ skąd. Nie chcę niszczyć tego, co nas łączy.
- A więc drzwi są nadal otwarte. - Spojrzał jej w oczy.

Ścisnęło jej się serce.

- Naturalnie, że tak. Kocham cię, Mars. Kochałam cię całe życie, ale sama miłość nie wystarczy, żebyś stała się pełnym człowiekiem. Zanim rozpoczniemy wspólne życie, muszę się pozbierać, poukładać to, co się we mnie rozpadło. - Przytuliła go. - Nie jesteśmy dla siebie lekarstwem, tylko plastrem na rany. Ty nie będziesz mógł oplakiwać przy mnie Beverly, ja nie wyleczę przy tobie swoich ran. Potrzebujemy czasu, żeby ochłonąć, ty po jej śmierci, ja po rozwodzie. Przeszkadzamy sobie nawzajem. Proszę cię, spróbuj to zrozumieć. Nie możemy budować dalszego życia na unikach, choćby najradośniej-szych. - Nie ukrywała łez. - Musimy wszystko przetrwać.

Nie była pewna tego, co mówi. Wiedziała tylko, że nie może zająć miejsca Beverly, nie zważając na inne obowiązki. Musiała od niego odejść. Musiała przyjrzeć się sobie i dać mu czas, żeby on zrobił to samo. Odkąd skończyła sześć lat, myślała wyłącznie

o nim. Zaważył na jej małżeństwie, które skazane było na niepowodzenie z nim czy bez niego. Wpłynął na jej całe dorosłe życie.

Objęła go i mocno przytuliła.

- Uciekałam od rzeczywistości, Mars. Nigdy nie żyłam chwilą bieżącą. Żadne z nas nie umiało odnaleźć prawdy.

W wyobraźni odtwarzałam filmy, stare filmy z naszego dzieciństwa

stwa. To są twoje góry, twój krajobraz. - Usiadła wygodniej

1        spojrzała mu w twarz. — Mój pejzaż jest inny. Ale teraz jestem spokojna. Filmy się skończyły. Nigdy nie dorosłam, wciąż żyłam wspomnieniami. — Upiła łyk kawy. Rozumiał ją, poznała to po jego oczach. — Tak czy inaczej — ciągnęła z uśmiechem — choć trudno mi rozstać się z tobą, prawdziwą tragedią jest to, że muszę też pożegnać się z dereniem przy werandzie. W życiu nie widziałam piękniejszego.

—        Zmieniłem plany domu, żeby go zachować. To bardzo stare, bardzo wyjątkowe drzewo. - Wziął ją za rękę i delikatnie popieścił palce.

—        Ocaliłeś je. Czuleś, że to twój obowiązek. Mars, wiem, że rozumiesz, dlaczego muszę wyjechać.

—        Może i rozumiem, ale tego nie chcę. Chcę, żebyś została. Żebyś ze mną zamieszkała. Chcę, żeby ten dom był twoim domem.

—        Będziemy razem w naszych sercach, Mars. Ani przez chwilę nie przestanę o tobie myśleć. Ani przez chwilę nie przestanę cię kochać.

—        Nie o naszych sercach myślałem.

Roześmiała się i on też błysnął swoim cudownym uśmiechem.

Zawsze uwielbiała jego uśmiech.

## Rozdział 20

Łagodny wiatr od oceanu zaszumił w koronach palm i podrywając z chodnika śmieci, zamienił je w małą trąbę powietrzną. Na czerwonym świetle w uliczce z barami szybkiej obsługi, w których skwierczało i pachniało, koło piaskowego garbusa zatrzymała się limuzyna z przyciemnionymi szybami. Avery roześmiała się na ten widok: osa i mrówkolew. W garbusie siedziały ubrane w szorty od Ron Jona nastolatki, podskakujące w rytm plażowej muzyki.

W kwietniu, ledwie przed rokiem, wzięła udział w zebraniu pracowników firmy. Ken na pewno będzie walczył, spróbuje przekupić ją dużą forszą, może nawet wniesie sprawę do sądu. Tablica z nazwą biura

księgowego przypomniała jej o niezapłaconych podatkach. W tym roku Ken się tym nie zajmie, a urząd skarbowy nie popuści. No i samochód. Firma już go nie ubezpieczy.

Wróciła w samą porę. Frankie musiał mieć ojca tylko dla siebie. A ona musiała załatwić wiele zaległych i bieżących spraw. Nie rozumiała tylko jednego: jak to się stało, że matka zdołała ją namówić, by z nimi zamieszkała.

Wjechała na podjazd, zahamowała i nagle poczuła, że przygnięta ją poczucie porażki. Dlaczego się na to zgodziła? Minęło dwadzieścia lat, odkąd po raz ostatni spała w swoim panińskim łóżku. Nie, gdyby zatrzymała się w hotelu, uraziłaby matkę. W tej rodzinie było tyle niezgody, że i tak wystarczyło jej do końca życia. Sięgnęła po torbę.

Matka czekała w drzwiach.

- Tak się cieszę, kochanie. Tak bardzo się za tobą stęskni-

liśmy.

Torba uniemożliwiła zbyt czułe powitanie.

- Co słyhać, mamó?

- Och, wszystko dobrze. Nie spodziewałam się, że wrócisz,

ale bardzo się z tego cieszę. Daj, wezmę tę torbę. Jedna ci

wystarczy?

- Zostanę tylko kilka dni. - Weszły do holu.

- Jak było w Crowfoot Ridge? Nasyciłaś się górami?

W jej odnowionym pokoju, w jej więzieniu z czasów dzieciństwa, łóżko usłane było segregatorami i stosami doku-mentów.

- Podatki — wyjaśniła matka. — Straszny bałagan — dodała,

odgarniając wszystko na bok. — Na co masz ochotę? Na

mrożoną herbatę? Na kanapkę? Kolację zjemy z tatą. Jeszcze nie

wrócił, będziemy musiały poczekać.

- Chętnie napiję się herbaty. Naszymi podatkami zawsze

zajmował się Ken. W tym roku będę musiała załatwić to sama.

- Nie masz już wiele czasu. Najlepiej kogoś wynajmij. Mogę

polecieć ci naszego księgowego.

- Tak, wiem. Czeka mnie mnóstwo pracy.

Kiedy z wysokimi szklankami w ręku usiadły przy basenie, rozmowa gwałtownie się urwała. Uprzejmości zostały wymie-nione.

- Powiedz - zaczęła po chwili matka - jak się czułaś, widząc swoich dawnych przyjaciół? I to po tylu latach.

- Jesień w górach jest przepiękna. Szkoda, że zawsze jeździliśmy tam latem.

- Ty i Adam chodziliście do szkoły. Mogliśmy jeździć tylko w wakacje.

- Nic by się nie stało, gdybyśmy stracili dwa tygodnie zajęć. Przedłużające się milczenie wprawiło matkę w stan wyraźnego zdenerwowania. Zerwała kilka uschłych listków z jakiejś rośliny, luź cię nie znam, Avery. Nie potrafimy z sobą rozmawiać.

na mnie tak krytycznie...

— Przepraszam, nie chciałam.

- Jak tam było? Jak się czułaś?

— Jakbym wróciła do domu. Jakbym odnalazła swoje miejsce na ziemi.

— Widzisz? Rozmawiasz ze mną jak z obcą. Unikasz odpowiedzi. Kocham cię. Chcę wiedzieć, co robisz, co myślisz...

Avery dostrzegła w jej oczach łzy.

- Miałam nadzieję, że ucieszą cię odwiedziny w domu. Że uradujesz się na mój widok, że jakoś to okażesz...

- Przepraszam cię, mamó. Czy powiedziałam coś nie tak?

— Chodzi o to, czego nie powiedziałaś. Jesteś taka zimna, tak trudno z tobą rozmawiać. Chciałam cię spytać, czy widziałaś się z Sylwą i Marsem. — Matka przytknęła chustkę do oczu.

- Naturalnie. Dobrze im się wiedzie.

- I już? To wszystko? Nie było cię siedem miesięcy. Zdażyłaś się rozwieść, spotkać się z przyjaciółmi z dzieciństwa i mówisz

tylko, że dobrze im się wiedzie?

— Ty, mamó, chcesz ze mną rozmawiać? A jak było, kiedy ja chciałam porozmawiać z tobą? Co zrobiłaś, kiedy takiej rozmowy potrzebowałam? Zamknęłaś mnie w tym przeklętym pokoju na pięć miesięcy, a ja umierałam ze strachu! - Czuła, że ma w oczach łzy - dowód słabości, której nie chciała ujawniać.

- Ależ, Avery...

— Dałaś mi zakichany telewizor tylko po to, żeby ze mną nie rozmawiać. Nie zapytałaś mnie nawet, jak się czuję. Nie zapytałaś, czego chcę, jak to wszystko wytrzymuję.

- Nie potrafiłabyś wtedy...

— A teraz chcesz wiedzieć, jak się czuję? To ci powiem. Czuję się zdradzona. Rozsadza mnie gniew. Gniew, który tłumiłam w sobie i powstrzymywałam przez wiele lat. Nie potrafię z tobą rozmawiać, bo nie jestem pewna, czy nie palnę czegoś, czego później będę żałować. Czy nie powiem tego, co naprawdę myślę. Ale ty jesteś...

— Jak możesz coś takiego mówić?

- To ty jesteś zimna, mamó, nie ja. - Avery walczyła ze wzburzeniem. - To ty unikasz pewnych tematów. Nigdy nie

wiem, jak je obejść. Nie wiem, o czym z tobą rozmawiać. Uważam na każde słowo, mam uczucie, że stąпам po szkle. Wracając do Syłwy i Marsa. Sprawa jest bardzo skomplikowana. Oni opowiedzieli mi swoją prawdę, ją im swoją. Potem umarła Beverly. Dużo przeżyliśmy, dużo musieliśmy przemyśleć. - Na wzmiankę o Beverly gniew Avery przeobraził się w smutek i z oczu popłynęły jej łzy.

- Beverly?

- Żona Marsa.

- Tak mi przykro, Avery. Nie jestem ideałem, ale naprawdę cię kocham. - Matka ukryła twarz w drżących dłoniach i rozpłakała się.

- Proszę cię, nie płacz. Nie chciałam cię zranić. - Avery

wzięła ją za rękę. Pierwszy raz ujrzała w matce starzejącą się kobietę, pierwszy raz zauważyła siwiejące włosy i zmarszczki wokół oczu.

Ktoś otworzył drzwi. Matka zeszywniała i spojrzała na nią tak, jakby chciała wymóc na niej zmianę nastroju.

- Wróciłaś, Pączulinko! Ja się udały wakacje?

Avery powoli wstała. Otarła rękawem twarz. Ani drgnęła, mimo to ojciec porwał ją w ramiona.

- Nie mógłbyś nazywać mnie „Avery”? Nie jestem już dzieckiem — burknęła i natychmiast tego pożałowała.

Puścił ją, spojrzał na swoje ręce, jakby trzymał w nich granat.

- Przepraszam cię, tatku. To miłe przydomko, naprawdę, zupełnie mi nie przeszkadza.

Wakacje? Zastanawiała się, skąd przyszło mu do głowy, że była na wakacjach. Odpędziła tę myśl.

Ojciec popatrzył na matkę. :

- Co się stało, kochanie? M;\*

Matka wstała i minęła go bez słowa.

Żeby rozładować napięcie, wszedł do kuchni, zrobił sobie drinka, obwąchał garnki na kuchence i zadzwonił kostkami lodu w szklance.

- Kolacja będzie za dziesięć minut. Avery, nakryjesz do stołu?

Ułożyła na stole sztucce, rozstawiła talerze, po czym znowu wyszli nad basen. Milczeli, szukając odpowiednich słów. Basen prychał i bulgotał, nieustannie się oczyszczając.

- Wiedziałaś, że twoi przodkowie pochodzą z Crowfoot Ridge? — odezwał się ojciec. — Moja rodzina wywodzi się z Asheville i Weaverville. Sam dobrze nie wiem, skąd jeszcze.

Mieszkali tam na początku dziewiętnastego wieku.

- Nie, nie wiedziałam — odrzekła. — Nigdy o tym nie mówiłaś.

- Coś niecoś wiedzieliśmy już wcześniej, ale dopiero miesiąc temu dotarł do nas dokument z historią rodziny. Jeden z moich



dalekich kuzynów zajął się genealogią, tak dla zabawy. Przeko-  
pał się przez wszystkie możliwe źródła i przysłał nam kopię  
rodzinnego drzewa.

- Chciałabym je zobaczyć. - Avery upiła łyk herbaty. -  
Mówisz, że twoi rodzice i dziadkowie pochodzą z Karoliny  
Północnej?

- Rodzice tam się urodzili, ale w latach dwudziestych przy-  
jechali na Florydę. Najpierw do Miami, potem do Coconut  
Grove, wreszcie ściągęli w te strony. Ale w górach muszą być  
groby twoich pradziadków. Kuzyn przysłał mi listę cmentarzy,  
gdzie mogą leżeć.

Avery poczuła nagle, że wszystko zaczyna układać się w ca-  
łość, jakby nagle dostrzegła brakujący kawałek  
układanki i prze-  
znaczone dla niego miejsce.

- To zabawne - powiedziała. - Zawsze miałam wrażenie, że  
moje miejsce jest w górach, i raptem dowiaduję się, że miesz-  
kała tam moja rodzina. Cieszę się, że mi powiedziałeś. Chcia-  
łabym obejrzeć te dokumenty.

- Twoje miejsce jest tu, na Florydzie — oświadczyła matka,  
wchodząc do kuchni.

Wreszcie siedli do stołu. Avery była zbyt zmęczona, by jeść, lecz starała się być miła. Rozmowa dotyczyła  
głównie pieczonego kurczaka i sałatki ziemniaczanej. Padło też kilka słów o pogodzie i golfie, a potem  
nastąpiła długa cisza. Nagle Avery wypaliła:

- To Mars jest ojcem dziecka, które oddałam do adopcji.

Matka rozdziawiła usta.

Ojciec miał minę, jakby go koń kopnął.

- Mars chciał go odnaleźć - ciągnęła Avery, żeby wypełnić  
tę straszną ciszę. — Ale ja uważam, że lepiej dać temu spokój.

On może nie wiedzieć, że go adoptowano. Nie mamy prawa  
rozbijać czyjejś rodziny.

Patrzyli na nią tak, jakby nagle rzuciła węża na stół.

- Niezależnie od tego, kim był jego ojciec, ten chłopiec jest moim synem i waszym wnukiem — dodała beznamiętnie. —

Zdaje się, że o tym wszyscy zapomnieli.

- Avery, wybraliśmy rozwiązanie, które naszym zdaniem było dla ciebie najlepsze. - Głos ojca drżał z bólu. - Sypiałaś z Marsem? Byłaś taka młoda... — Dopiero teraz zdał sobie z tego sprawę i ból ustąpił miejsca osłupieniu.

Avery przestała dziobać jedzenie widelcem i odsunęła talerz.

- Tak, zbyt młoda.

- Nie chcieliśmy, żeby dziecko zrujnowało ci życie... — szepnęła matka.

Avery pomyślała, że nie chodziło im o jej życie, tylko o własne.

- Nie chciałam was zdenerwować - powiedziała. - Uznałam tylko, że powinniście znać prawdę. Nie ma o czym rozmawiać.

- Jest - odparł. - Jak to w końcu było? Marshall Hunter zgwałcił cię, czy nie?

- Tak, zgwałcił.

- I nie wiedziałaś, kto był ojcem dziecka?

- Myślałam, że on. Okazało się, że nie, i bardzo przez to cierpię. Nie wiem, czy coś by to zmieniło.

- Chcieliśmy, żebyś o tym zapomniała, żebyś normalnie żyła.

- I żyłam, tylko nigdy nie zapomniałam. - Avery wstała

1 przysunęła krzesło do stołu. - Wy byście zapomnieli, gdyby odebrano wam jedno z nas? Adama albo mnie? Przepraszam, nie powinnam była o tym mówić. Wybaczcie. Mam za sobą męczący dzień, dziesięć godzin za kółkiem. Lecę z nóg. Idę spać.

Zostawiła ich przy stole wstrząśniętych i oniemiałych. Wzięła prysznic, położyła się i długie godziny przewracała się z boku na bok, śniąc urywane sny i przeżywając w wyobraźni więcej, niżby chciała.

Rano zaczęła od przeprosin.

— Nie chciałam sprawić wam przykrości, ale nie było sposobu, żebyście poznali prawdę bezboleśnie.

— Rozumiemy, kochanie.

— Pamiętacie ten stary wiktoriański dom nad rzeką? Odnowili go? Może mają tam pokoje do wynajęcia?

— Przecież wiesz, że jesteś u nas zawsze miłym gościem — odrzekła matka.

— Tak, naturalnie, dziękuję, ale wolałabym zamieszkać osobno. Tak naprawdę nigdy nie miałam własnego mieszkania.

— Ten wiktoriański dom — rzucił ojciec znad gazety — wyremontowano i przerobiono na pensjonat.

Pojechała tam przed południem. Okazało się, że na tyłach pensjonatu jest mały domek, o którym nic nie wiedziała.

Kryty gontem, miał dwie sypialnie, wyglądał jak chatka z piernika i był obrośnięty pnączami róż. Ustaliła z właścicielem, że wynajem będzie przedłużać co miesiąc. Zachwycona znaleziskiem, natychmiast się tam wprowadziła, po czym odebrała z magazynu swoje rzeczy - musiała odszukać dokumenty potrzebne do rozliczenia się z urzędem skarbowym.

\* \* \*

W pierwszym miesiącu pobytu na Florydzie spotkała się z adwokatem i najęła geodetę, żeby wytyczył granice działki, którą zapisał jej Skeeter, oraz przylegającej do niej ziemi, którą otrzymała w wyniku podziału majątku. Całość leżała dokładnie pośrodku wielkiego placu budowy.

Najpierw oczyściła teren wokół starego szałas Skeetera. Wytyczyła ścieżki, wycięła zielsko, którym porosły w czasie jej półrocznej nieobecności, wypłoszyła węże, nauczyła się rozpoznawać miejscowe rośliny. Kiedy zamontowała tablicę z napi-

sem „Ogród Skeetera”, zjechały się ekipy wszystkich okolicznych stacji telewizyjnych.

Ogród miał być otwarty dla gości przez cały tydzień. Avery zachęcała szkoły do organizowania wycieczek, zapewniając, że ugości dzieci poczęstunkiem i zapozna je przy okazji z roślinnością, którą można znaleźć tylko na Florydzie.

- Wstęp będzie wolny - powiedziała reporterom. - „Ogród Skeetera” jest otwarty dla wszystkich.

- Skąd się wzięła ta nazwa? Czy ma to coś wspólnego z moskitami?

- Nie - odrzekła ze śmiechem. - Skeeter był Indianinem z plemienia Seminoli. Mieszkał tu, umarł niecały rok temu. Był wyjątkowym człowiekiem i moim bliskim przyjacielem. Ten ogród to skromny wyraz hołdu, jaki chcę mu złożyć. Skeeter to przydomek. Naprawdę nazywał się Osceola Oscipee. - Przeliterowała to. — Zamówiłam tablicę z brązu z napisem „Pamięci Osceoli Oscipee”. Zostanie wmurowana przy wejściu. — Pokazała im, gdzie.

- Proszę nas uprzedzić, kiedy to będzie, natychmiast przyjedziemy - powiedział jeden z reporterów. - To wspaniała inicjatywa. Ktoś powinien był wpaść na ten pomysł wiele lat temu.

- Potrzebuje pani wolontariuszy? Robotników? Pomocy finansowej? — dopytywał się inny.

- Każda pomoc będzie mile widziana. I ze strony młodych, i starych. Jak najserdeczniej zapraszam wszystkich tych, którzy zechcą trochę popracować, poznać tutejsze rośliny albo tylko wypić lemoniadę. Będziemy musieli powiększyć parking, zrobić więcej ścieżek. Wyłożymy je naturalnym budulcem, muszlami i darnią. Transport jest tu drogi. - Uśmiechnęła się do kamery. — Ale tak się jakoś składa, że gdy tylko potrzebujemy ciężarówki, zjawia się nie wiadomo skąd. To zdumiewające.

- Sprawa trafiła już na antenę, może pani liczyć na pomoc - odrzekł reporter.

Pierwsze artykuły pojawiły się w ubogi w wydarzenia week-end i stały się przebojem niedzielnej prasy. Avery nie spodzie-

wała się tak wielkiego zainteresowania. Reakcja na wywiady, których udzieliła, przeszła jej najśmielsze

oczekiwania.

Nie spodziewała się również, że przed swoją chatką z pierznika zobaczy służbową furgonetkę Kena.

- Nie wiedziałem, że przyjechałaś - powiedział. - Musiałem dowiedzieć się o tym z gazet. A już na pewno nie oczekiwałem, że przyjedziesz właśnie teraz.

- Chciałam do ciebie zadzwonić, po prostu nie miałam czasu.

Ken się nie zmienił. W luźnej, sportowej marynarce, w markowych okularach przeciwsłonecznych, był jak zawsze elegancki i swobodny. Gęste jasne włosy spadały mu na uszy.

- Narobiłaś sporo szumu - powiedział. - Liczyliśmy na to, że sprzedasz nam ziemię. Mamy co do niej pewne plany. -

Przystanął pośrodku ścieżki.

- Ja też. Własne plany. W tej sprawie musiałam iść za głosem serca. Sprzedaż w ogóle nie wchodziła w rachubę.

- Avery, jak, u licha, zamierzasz zdobyć pieniądze na utrzymanie ogrodu w tej zapadłej dziurze? Masz pojęcie, ile to będzie kosztowało? Pomyślałaś o ubezpieczeniu? O reklamie? O kosztach parkingów, spełniających wymogi bezpieczeństwa? Co zrobisz, jeśli któregoś z wycieczkowiczów ukąsi wąż? Zdajesz sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka na tobie ciąży?

- O tym jeszcze nie myślałam.

- To widać. — Wyminął ją w drzwiach i wszedł do domu. — Wynajmujesz? Mogłaś wprowadzić się do naszego domu. Nawet o niego nie spytałaś.

- Nie chciałam tam mieszkać. Dlaczego nie opuścisz ceny? Niech zajmą się tym ci od nieruchomości, sprzedadzą go na pniu.

- Mam dla ciebie propozycję. Odstąpię ci moją część domu w zamian za tę działkę. — Przysiadł na brzegu krzesła. — Jestem hojny, zarobisz sto tysięcy gotówką.

- Nie chcę domu. Chcę połowę pieniędzy.

— Mogłabyś tam zamieszkać.

— Już ci mówiłam, nie chcę.

— Cholera jasna, przecież nie możesz prowadzić publicznego ogrodu! — Z gniewu poczerwieniał mu kark.

— Nie pouczaj mnie, Ken.

— Ten ogród leży dokładnie pośrodku wspaniałych terenów budowlanych. Dlaczego mi to robisz? Żeby się na mnie odegrać? Żeby mnie dobić? - Zacisnął zęby.

— Odegrać się? Pewnie mi nie uwierzysz, ale wcale nie chodzi o ciebie, tylko o Skeetera. Dajmy temu spokój. Rób swoje. — Otworzyła drzwi. — Nie masz bladego pojęcia, co zamierzam, ani dlaczego.

— Nigdy cię nie zrozumiem. - Wyszedł. - Skontaktują się z tobą nasi adwokaci.

— Proszę bardzo, ale uprzedzam, że przegrasz. Nie możesz budować na ziemi, która do ciebie nie należy.

Przystanął.

— Dostałaś tę działkę przez przypadek. Ziemię, która przypadła ci po rozwodzie, powinienem był odsprzedać firmie.

Wpadła ci w ręce przez niedopatrzenie, nie masz do niej prawa.

— Cóż, za błędy trzeba płacić, prawda?

— Nie drażnij mnie. Chryste, Avery! Czy nasza przeszłość nic dla ciebie nie znaczy?

— Idź już, Ken.

Wsiadając do furgonetki, potrząsnął głową. Uruchomił silnik

i powoli odjechał.

Nie chciała się z nim kłócić. Zastanawiała się nawet, czy nie zaprosić go na lunch, żeby załagodzić wzajemne animozje i przy okazji dowiedzieć się, co u niego słychać.

Nie. Nie było na to szans.

\* \*

Trzęsącymi się rękami przerzucała kartki książki telefonicznej. Jedna z agencji reklamowała się dwudziestopięcioletnią tradycją, doświadczeniem we współpracy z biurem prokuratora

okręgowego, licencją, zabezpieczeniem finansowym, ubezpieczeniem oraz tym, że specjalizuje się w sprawach rozwodowych, w poszukiwaniu osób zaginionych, w sprawowaniu kurateli i dozoru. Drżącym palcem wybrała numer. Oddech miała krótki i urywany. Zanim ktokolwiek zdążył odebrać telefon, odłożyła słuchawkę i odchyliła się na krześle. Postanowiła wziąć się w garść. Głęboko odetchnęła. Czy naprawdę tego chciała? Tak. Ponownie wykręciła numer.

- Agencja detektywistyczna Pattersona. Pat Patterson, słucham.

— Chciałabym porozmawiać z kimś o... Nazywam się Avery Baldwin. Chciałabym odnaleźć... Interesuje mnie... Sprawa dotyczy historii sprzed wielu lat, dokumenty mogą być bardzo stare... — Uświadomiła sobie, że bełkocze, że nie potrafi skleić ani jednego zdania.

- Jakimi informacjami pani dysponuje? - zapytał Patterson. Jego rzeczowy głos podziałał na nią jak balsam.

— Bardzo skąpymi. Nie wiem, od czego zacząć, co powiedzieć. Przepraszam.

— Kogo chce pani odnaleźć?

Dobra. Teraz albo nigdy. Musiała to z siebie wyrzucić, musiała stawić temu czoło.

— Dwadzieścia lat temu oddałam dziecko do adopcji. — Mówiła bardzo opanowanym głosem, co ją zaskoczyło. Nareszcie. Nareszcie. Powiedziała Marsowi, że jest przeciwna poszukiwaniom syna, ale przecież nie mieli już nic do ukrycia, nie było powodu, żeby nie spróbować.

- Jeśli chodzi o poszukiwanie adoptowanych dzieci oraz ich biologicznych rodziców, obowiązuje nas bardzo szczególny regulamin. Będzie pani musiała przyjść do nas na rozmowę. Na kiedy możemy się umówić?

- Na dowolny dzień.

- Mam wolne miejsce w czwartek o dziesiątej.
- Dobrze, dziękuję. — Cieszyła się, że ma już to za sobą, a jednocześnie żałowała, że zgodziła się na spotkanie. Czekaając na czwartek, próbowała o tym nie myśleć.

Kiedy nadeszła umówiona pora, usiadła w poczekalni, patrząc na recepcjonistkę i wsłuchując się w stukot klawiszy komputera. Przerzuciła jakieś czasopismo, odłożyła je, wstała i już miała stamtąd uciec, kiedy w drzwiach gabinetu stanął Patterson. Zawróciła.

- Zapraszam. - Weszła do środka. Zamknął drzwi. - Wiem, że to trudne. Ciężko jest odgrzebywać przeszłość. Proszę, zechce pani usiąść.

Jego dojrzały wiek ją uspokajał, czuła się przy nim jak przy dziadku. Bawił się paczką papierosów. Z przepelnionej popielniczki wysypywały się niedopałki. Nie zapalił. Z sekretarzyka patrzyła na nią jego szeroko uśmiechnięta rodzina.

- Opowiem pani, co robimy, gdy, jak w tym przypadku, szukamy dziecka biologicznej matki - zaczął rzeczowo. - Pani ma na imię Avery, prawda? Tak więc, Avery, przede wszystkim powinna pani wiedzieć, że dokumenty związane z adopcją są na Florydzie utajnione, dlatego nie zawsze udaje nam się odnaleźć dziecko. Przyjmując nasze warunki, przekazuje nam pani wszystkie znane sobie informacje i rozpoczynamy rutynowe poszukiwania. Rachunki przysyłamy co miesiąc. Na życzenie możemy przysyłać również sprawozdania z postępów, jakie poczynimy. Niektórzy klienci sobie tego nie życzą i dobrze ich rozumiemy: jest to proces bardzo stresujący. Zresztą, nawet jeśli uda nam się odszukać dziecko, i tak pani o tym nie zawiadomimy, ponieważ...

- W takim razie po co to wszystko? - przerwała mu Avery.

- Przykro mi, ale możemy tylko przekazać pani dane osobie adoptowanej. Mamy bogate doświadczenie w takich sprawach. Przyjmijmy, że znajdujemy szukaną osobę. Wysyłamy do niej



kwestionariusz. Głęboko ukryte pośród wielu rozmaitych pytań jest i pytanie najważniejsze. Pytamy mianowicie o to, czy kiedykolwiek poruszano z tą osobą kwestię jej przyścia na świat i jej rodziców. Jeśli odpowiedź jest pozytywna, przyjmujemy, że ankietowana osoba wie, iż jest dzieckiem adoptowanym. Statystyki mówią, że w większości przypadków ludzie zdają sobie z tego sprawę. :

- Moje dziecko ma już dwadzieścia lat. Jest dorosłe. I jest moim synem. — W jej oczach pojawiły się łzy, na twarzy odmalowało się zakłopotanie.

Patterson podał jej chusteczkę.

— Przepraszam.

— Rozumiem, że przeżywa pani ogromne emocje.

Spojrzała na rybie głowy na ścianie, na wiszące wokoło licencje i dyplomy, na usychającą w kącie palmę.

— Ten sam tryb postępowania obowiązuje zarówno wobec dzieci, jak i dorosłych...

— Rozumiem. Załóżmy, że dana osoba o tym wie. Co się dzieje potem?

- Przesyłamy jej wszystkie dostępne informacje o biologicznej matce lub ojcu. Nie burzymy ludziom życia, chcemy im tylko umożliwić podjęcie racjonalnej decyzji, a nasze informacje mają im w tym pomóc.

- Chcę się upewnić, czy dobrze to zrozumiałam. Płacę panu za zebranie informacji, których nigdy nie dostanę, tak?

- Będziemy mogli powiedzieć pani, czy syn żyje. Zapłaci pani za to, żeby informacja o pani dotarła do rąk jej dorosłego syna. To, czy syn zechce się z panią skontaktować, będzie

zależało wyłącznie od niego.

— Rozumiem, próbujecie chronić i rodziców, i dzieci. To dość rozsądne. - Nareszcie uszło z niej napięcie. - O co jeszcze pytacie w ankiecie?

- Jest tam mnóstwo różnych pytań. Na przykład, czy masz krewnego, który mógłby wskazać cię jako przyszłego spadkobiercę. Czy posiadasz konto bankowe w poprzednim miejscu zamieszkania. Czy kiedykolwiek nie odebrałeś świadectwa szkolnego. Czy kiedykolwiek zmieniałeś uposażonego na polisie ubezpieczeniowej. Czy posiadasz tytuły własności, akcje i temu podobne. Chodzi o to, żeby zakamuflować najważniejsze i nie powiedzieć wprost, że interesuje nas kwestia adopcji. W niektórych kwestionariuszach najwięcej pytań dotyczy spraw medycznych. Udajemy, że szukamy dawców rzadkiej grupy krwi.

Stosujemy różne wybiegi.

- Rozumiem...

Spytała go jeszcze o koszty i o to, jak długo trwają poszukiwania, nim sprawę uzna się za przegraną. Po uzyskaniu wyczerpujących odpowiedzi zgodziła się na przedstawione warunki, prosząc, żeby nie przysyłało jej comiesięcznych sprawozdań. Uznała, że najlepiej będzie chwilowo o wszystkim zapomnieć, w przeciwnym razie sprawa mogłaby całkowicie zaprzątnąć jej umysł, a czekanie doprowadziłoby ją do obłądzenia. Wypisała czek pokrywający koszty honorarium adwokata i udzieliła wszystkich związanych ze sprawą informacji. Podała płeć dziecka, datę i jego miejsce urodzenia, nazwisko przyjmującego poród lekarza i nazwę szpitala. Patterson wszystko notował, lecz jego zapiski nie zajęły nawet jednej czwartej strony. Gdyby to dziecko wychowała, wiadomościami o nim zapełniłaby setki, tysiące kartek. Jego pierwsze kroki, pierwsze słowa, jego pierwszy dzień w szkole... Dwadzieścia bezpowrotnie straconych lat.

Gdyby tylko udało się zapomnieć.

## Rozdział 21

Kiedy Frankie i Mars przyjechali z wizytą na Florydę, Avery długo nie wypuszczała ich z objęć.

— Dobry Boże, jak ja za tobą tęskniłem - szepnął Mars, tuląc ją do siebie jeszcze długo po tym, gdy zniecierpliwiony Frankie się od nich odsunął. Wciąż odczuwali ten elektryzujący dreszcz

emocji, wciąż mogła liczyć na ten magiczny prąd, który między nimi przepływał. Pocałunki Marsa poruszały w niej najgłębsze uczucia. Zawsze tak było, zawsze tak miało pozostać.

Frankie okazał się najbardziej rozentuzjasmowanym turystą, jakiego Floryda miała okazję gościć. Marsa i Beverly podróże nie bawiły, dlatego chłopiec nigdzie nie wyjeżdżał. Bez końca rozprawiał o wyprawie na południe. Pojechali na dwa dni do Myrtle Beach, żeby zobaczyć ocean. Mars narzekał, że plaża jest zbyt daleko od autostrady.

— Szybciej dojechalibyśmy do Londynu — powiedział.

— Ale tam byłoby trochę za mokro — odrzekła ze śmiechem

Avery. - Nie, Londyn leży znacznie dalej na północ, a Karo-

lina Południowa na wysokości zachodniej Afryki czy może

Hiszpanii.

Opowiadając o Pattersonie, trzymała go za ręce. Myślała, że ta wiadomość zdominuje ich rozmowy, ale Frankie narzucił im swoje plany, zasypując ich folderami pełnymi atrakcji turystycznych. Zagospodarował im czas godzina po godzinie: od dziesiątej do dwunastej - plaża, między dwunastą a pierwszą -

obiad, od pierwszej do szóstej - Disneyland, nic sobie nie robiąc z tego, że jazda w jedną stronę trwała dwie, trzy godziny.

Mars oznajmił, że Disney World jest plastikową stolicą świata, natomiast Avery nie mogła się nacieszyć reakcją Fran-kiego - chłopiec zachowywał się tak, jakby trafił do raj. Doszedł do wniosku, że najciekawiej było chyba w Centrum Kosmicznym i na wyprawie poduszkowcem po St. Johns River, zwłaszcza kiedy tuż pod powierzchnią wody przepłynął aligator. Wycieczka do Ogrodu Skeetera uzmysłowiła Marsowi, jak poważnie Avery traktuje swoją misję na Florydzie. Dni między kolejnymi wypadami urozmaicały wyjazdy do Jensen Beach i południowe przekąski w barze kanapkowym na molu. Wieczorami leczyli spieczoną słońcem skórę.

Nim przyjechali, martwiła się, że w jej domku będzie im za ciasno, ale Frankie zajął mały pokój gościnny i wcześniej zasypiał. Chodziła z Marsem na spacerki brzegiem rzeki, piła z nim wino, a potem szli razem do łóżka. Im bardziej ciemniał na twarzy, tym jaśniej błyszczały jego turkusowe oczy. Ile-kroć w nie spoglądała, choćby tylko przelotnie, pragnęła go na nowo.

Kiedy zrealizowali już najważniejsze punkty programu Fran-kiego, Mars spytał, czy mogliby spotkać się z jej rodzicami.

- Minęło tyle lat - tłumaczył. - Poza tym swego czasu dużo

z nimi jeździłem. Pamiętasz, jak zabrali nas do Cherokee

Village? I do Biltmore House? Pamiętasz?

— Tak, pamiętam wszystko i wiem, że chętnie się z tobą zobaczę.

Zadzwoniła do domu i wymogła na rodzicach zaproszenie na kolację, spodziewając się drętowego wieczoru.

\* \* \*

— Basen! — wykrzyknął Frankie, kiedy powitania dobiegły

końca. - Popatrz, tato, basen w domu!

- Prawie wszyscy mają tu baseny - wyjaśnił ojciec Avery, rozsuwając szklane drzwi, żeby chłopak mógł lepiej się przyjrzeć.

- Nie znam nikogo, kto miałby swój własny basen — oświadczył Frankie.

- Odwiedzisz Adama, Mars? Na pewno bardzo chciałby się z tobą zobaczyć.

- Był u nas na wiosnę - odparł Mars. - Dobrze się nam gadało, ale chyba nie będziemy mieli czasu na wypad do Miami.

Frankie opowiedział im o wycieczce do Disney World, dzieląc się wrażeniami z Centrum Kosmicznego i przeżyciami z wycieczki poduszkowcem. Jego dobry nastrój sprawił Avery wielką przyjemność, słuchała więc tej paplaniny z prawdziwą radością.

- Aha, Avery - wtrąciła matka. - Mam już kopię drzewa genealogicznego, o którym rozmawialiśmy...

Avery podziękowała jej, złożyła kartki na pół i schowała je do torebki.

- Martwimy się twoją sytuacją finansową - powiedział ojciec. — Nic nie zarabiasz. Jak dajesz sobie radę? Nie potrzebujesz pomocy?

- Dobrze wiesz, że chętnie ci pomożemy — dodała matka.

- Odebrałam prowizje z transakcji, które zawarłam jeszcze przed wyjazdem. Gdy tylko sprzedamy dom, stanę na nogi. Na razie muszę żyć oszczędnie.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, natychmiast daj nam znać.

- Dziękuję, tato. A skoro już o tym mówimy... Nie wiesz przypadkiem, kto czarteruje jacht Kena?

- Kapitan Mikę. A co? Chcecie pożeglować?

- Jeśli to możliwe, to chętnie.

Pod koniec wieczoru ojciec podał jej numer telefonu kapitana.

Avery uściskała matkę i mocno ją przytuliła.

- Bardzo ci dziękuję. Kolacja była przepyszna. Dziękuję.

Objąwszy ojca, zadrżała mu w oczy i szepnęła:

- Dzięki, tatku. Jesteś wspaniały.

- Dobranoc, Pączulinko - odrzekł z uśmiechem.

Nazajutrz zadzwoniła do kapitana Mike'a i ustaliła datę wycieczki.

Ostatniego dnia pobytu Marsa i Frankiego na Florydzie zabrała ich do portu. Chłopiec biegł wzdłuż nabrzeża, głośno odczytując nazwy jachtów.

- „Papa's Folly”, „Wind Dancer”, „Just Reward”, „Legal Tender”, „Holy Moly”. Nie wiedziałem, że na świecie jest aż tyle łodzi!

- A ja nigdy nie widziałem tylu w jednym miejscu - powiedział Mars. - I nie miałem pojęcia, że stać na nie aż tylu ludzi.

- To symbol nieprzebranych pieniędzy - odrzekła Avery. - O, jest i nasza „Meltemi”!

- Musi tu mieszkać kupa bogaczy - powiedział Mars, wspinając się po trapie.

Kapitan Mikę przywitał ich uśmiechem.

- Niektórzy, jak choćby ja, nie mają nic oprócz łodzi. - Zaprosił ich na pokład dwunastometrowego kecza, przedstawił jednoosobową załogę, a wypływając na Indian River, przekazał im najważniejsze zasady bezpieczeństwa.

- Żeglowałeś już kiedyś? — zapytał Frankiego.

- Nie, to dla mnie pierwszy raz. Dla taty też.

- W takim razie dobrze się przyglądaj, a pod koniec dnia

będziesz prawdziwym wilkiem morskim. Na razie mianuję cię matem. - Zrobił mu krótki kurs żeglarski, zostawił go przy sterze i wraz z pomocnikiem zajął się żaglami. Postawili bezan, ogromny kliwer i pożeglowali z wiatrem „na motyla”.

Powoli, systematycznie objaśniał Frankiemu poszczególne manewry.

- Teraz idziemy na półwiatrze, panie macie — powiedział, meandrując między łodziami w stronę starego mostu Roosevelta. - To sprytny chłopak i obiecujący żeglarz - zwrócił się po chwili do Marsa.

- Dzięki. Dobry z niego dzieciak, choć doszczętnie zwarował na punkcie Florydy. Od jak dawna pracuje pan na tej łodzi?

- Odkąd ją mam. „Meltemi” jest wymagająca jak każda dwudziestokilkuletnia kobieta. Tu praca nigdy się nie kończy.

- Armatura jest...

— Z brązu. Kabina jest wykończona mahoniem. Pokłady są z drewna tekowego. - Kapitan zaciągnął się cygarem. - Między siedemdziesiątym piątym i siedemdziesiątym dziewiątym opłynąłem świat. Cztery lata. Z Morza Karaibskiego na Morze Egejskie. Wraz z moją panią odbyliśmy podróż do rajów i z powrotem. Ta dama jest miłością mojego życia. O tak... Na dole znajdziecie piwo i chłodziarkę z lodem. Częstujcie się. — Stojąc za sterem, jedną ręką pieścił obręcz z brązu, drugą dotykał drewnianych szprych.

Wiatr się zmienił i wybrali żagle.

- Płyniemy z prędkością sześciu węzłów - powiedział kapitan Mike, zerkając na zadziwionego chłopca.

- Wy płyniemy na ocean? - spytał Frankie. - To daleko stąd?

— Nie dzisiaj, synu. Kanał ma dwanaście mil, to wystarczy.

Rzucimy kotwicę, zjemy obiad, a potem się wykapiemy. —

Wyciągnął rękę. - Spójrz, jaka wielka czapla.

Avery poprosiła go, żeby wpłynął do kanału przy St. Lucie; chciała pokazać Marsowi swój dawny dom. Zmiana kursu pociągnęła za sobą zmianę ustawienia żagli i Frankie ponownie stanął za kołem sterowym.

— Będziemy halsować pod wiatr. Do dzieła! — rzucił kapitan

tan i wyjaśnił Frankiemu, co robić. - Teraz idziemy na pół-

wietrze.

Chłopiec słuchał, uczył się i wszystko sobie powtarzał, żeby jak najwięcej zapamiętać. Kapitan ustawił żagle szybko, sprawnie i w skupieniu. Reagował na każdy kaprys łodzi.

Avery i Mars poszli obejrzeć kajutę. Mars unosił się z zachwytem nad wspaniałą rzemieślniczą robotą, nad mosiężną armaturą, nad funkcjonalnością i pełną wyrazu prostotą każdego szczegółu. Avery wspominała „Bald Wind”, ośmioipółmetro-owy jacht z włókna szklanego. „Bald Wind” też był wykańczany drewnem, lecz brakowało mu ciepła i harmonii „Meltemi”.

- Nie zastanawiałem się nad twoją sytuacją finansową,

dopóki ojciec o tym nie wspomniał — powiedział Mars. — Na

pewno nie potrzebujesz pomocy?

- Dam sobie radę, kochanie. Jeśli zabraknie mi pieniędzy,

pierwszy się o tym dowiesz.

Wrócili na pokład. Frankie wciąż pilnie się uczył.

— Teraz idziemy pod wiatr — mówił kapitan.

Wyminęli kilka łodzi, dali się wyminąć innym i przeplłynęli

pod mostem. Godzinę później kapitan i jego pomocnik ściągnęli kliwer i bezan, uruchomili silnik i wpłynęli do wąskiego kanału. Mars i Frankie spuścili odbijacz, żeby osłonić długi dziób jachtu.

Powitały ich manaty. Na trawie leżał wąż ogrodowy, więc Avery poczęstowała je słodką wodą. Mars ruszył przed siebie, przedarł się przez krzaki i obszedł dom, zaglądając do wszystkich okien, natomiast czujnej uwagi Frankiego nie uszedł osłonięty od wiatru basen. Avery usiadła na nadbrzeżu i wraz z kapitanem obserwowała manaty.

- Jak się miewa pani ojciec? Dawno go nie widziałem.

— Dobrze. Ostatnio ma mniej zajęć, prowadzi życie emeryta,

ale jak zawsze gra w golfa.

Spytła go o nazwę jachtu.

— „Meltemi”? To ostry, porywisty wiatr. Wieje na Morzu

Egejskim.

Po południu żeglowali z wiatrem wiejącym od rufy. Kapitan zarzucił kotwicę w jednej z małych zatoczek i podał obiad. Rude włosy Frankiego pojaśniały od norydzkiego słońca, a na jego buzi wykwitło sto nowych piegów. Do portu dobili

0 zachodzie słońca.

- Wróc z nami, Avery - poprosił Mars, kiedy i dzień,

1 wakacje na Florydzie dobiegały końca. Żeby odwlec

moment rozstania, zaproponowała, że pojedzie z nimi do

St. Augustine. Zwiedzą miasto i okolice, potem Mars poje-

dzie na północ, ona zaś wróci do Stuart, zatrzymując się po

drodze u Lissy.

- Przyjadę w październiku - obiecała na pożegnanie. -

Miałabym nie zobaczyć jesieni? Wykluczone. Spotkamy się za

kilka tygodni. To już niedługo.

— Chcę, żebyś przyjechała na TJSWSLC,, żebyś została.

— Wiem, ja też tego pragnę. — Uścisnęła go, pocałowała

w szyję, uszy i w usta. - Chcę, żebyś rozpałał mnie tak do końca

moich dni. Łączy nas coś... coś niesamowitego. Zaufaj mi

jeszcze trochę.

- Zawsze i wszędzie - odrzekł na pożegnanie.

Kiedy odwiedził ją właściciel dużej hurtowni sprzedającej wyposażenie pokoi dzieciennych, człowiek, z którym firma Kena od lat prowadziła interesy, Avery siedziała w szalasi Skeetera, przeglądając stos niezapłaconych rachunków. Znała go tylko z nazwiska, ale z najwyższą przyjemnością pokazała mu ogród i zapoznała ze swoimi planami.

- Chciałbym pani pomóc - powiedział. - Jesteśmy zaintere-

sowani zainwestowaniem w pani przedsięwzięcie. Może zawi-

zemy spółkę? O ile dobrze rozumiem, potrzebuje pani wsparcia

finansowego...

- Spółkę? Zaskoczył mnie pan. Tak, naturalnie, potrzebuje

pieniędzy. Mam wielu ochotników i nielicznych inwestorów...

Szczerze mówiąc, inwestorów nie mam żadnych. Ken uświado-



mił mi, że muszę rozwiązać wiele problemów, na przykład sprawę ubezpieczenia, parkingu i kilka innych rzeczy. Pańska propozycja spada mi jak z nieba. Tak, bardzo bym chciała, żeby się pan tym zainteresował, zwłaszcza że ma pan doświadczenie w uprawie roślin.

Nagle przyszło jej do głowy, że to pewnie Ken był motorem tego niezwykłego spotkania.

- Tak, i to spore. Mamy olbrzymie szklarnie i chcielibyśmy założyć kilka tutaj. Hodowalibyśmy miejscową roślinność, i to na dużą skalę. Naszymi odbiorcami byłyby firmy budowlane z terenu Florydy, no i oczywiście okoliczni mieszkańcy.

- Ach, tak. Nie wiedziałam, że chce pan prowadzić tu działalność gospodarczą. Przykro mi, ale jeśli liczy pan wyłącznie na zysk, muszę odmówić. To jest ogród-pomnik. Nie zamierzam przekształcać go w dochodową szklarnię. - Odwróciła się,

żeby odejść, przystanęła i dodała: - Dziękuję za propozycję i zainteresowanie.

Dziwne spotkanie — jeszcze długo po jego odejściu wciąż o tym myślała. Jej sytuacja finansowa zaczynała się gwałtownie pogarszać. Pierwszy raz w życiu sama płaciła czynsz i rachunki, w dodatku próbowała utrzymać ogród. Miała nadzieję, że Ken sprzeda wreszcie ten nieszczęsny dom. Stałyby na nogi. Patterson przysyłał dokładne rachunki, które regulowała bez najmniejszej przykrości. Mimo to po czterech miesiącach poszukiwań nadal nie miała żadnych wiadomości o synu. Patterson mógł tę sytuację wykorzystywać, mógł żerować na jej emocjach, ale nie miała wyboru. Musiała mu zaufać.

Nie minął tydzień, gdy doszło do drugiego, jakże zadziwiającego spotkania: zadzwonił do niej Ken. Zadzwonił i zaprosił ją do biura.

— Dlaczego ty do mnie nie przyjedziesz? — zapytała.

— Musimy zobaczyć się w biurze. Przepraszam, ale to naprawdę ważne.

Jechała do firmy, zastanawiając się, czym Ken zaskoczy ją tym razem. Cokolwiek by to było, czuła, że się jej nie spodoba. Z drugiej strony... Może sprzedał dom?

Przywitała się z grupą dawnych współpracowników i weszła do jego gabinetu.

— Dziękuję, że przyjechałaś — powiedział, wychodząc z za biurka.

— Nie musisz być tak oficjalny.

— Mam pewien pomysł i chciałbym ci go przedstawić.  
Przygotowałem kilka rysunków, oczywiście wstępnych, ale naj-  
pierw chcę poznać twoją opinię.

Nie wiedziała, co o tym sądzić.

— Myślałam, że może sprzedałeś nasz dom — odrzekła.

— Dostaliśmy pewną ofertę. Facet stara się o kredyt, ale  
odsetki są koszmarnie wysokie. Cóż, zobaczymy. - Rozwinął  
rulon, przypiął do sztalug sporządzone przez architekta rysun-  
ki. - Chcemy wykorzystać kilka twoich pomysłów, dlatego  
zależało mi na tym, żebyś rzuciła okiem.

— Mów.

— To jest nasze nowe osiedle. Widzisz? Co byś powiedziała,  
gdyby miało naturalne otoczenie? Bez sztucznych trawników,  
bez pudełkowych domków i kamiennych chodników.

Rysunki były prześliczne. Domki zgrupowano przy krętych alejach. Dostrzegła przy nich typowe dla  
Florydy rośliny: miejscową trawę, palmy, sosny amerykańskie. Domy zostały zaprojektowane z naturalnego  
budulca, miały biegnące wokoło werandy i strome blaszane dachy. Avery odebrało mowę.

— Znaleźliśmy architekta, który myśli tak samo jak ty —  
powiedział Ken. — Zamówiliśmy u niego szkic projektu. Zależy  
mu na tym, żeby współpracować z firmą budowlaną, która  
troszczy się o środowisko. Uznałem, że może cię to zainteresować.

— Boże, to jest po prostu piękne...

— Doszliśmy do wniosku, że najwyższa pora się tym zająć.  
Środowisko jest dzisiaj bardzo modnym tematem. To podejście  
jest zupełnie nowe, dlatego trochę ryzykowne, zwłaszcza że nie  
mamy żadnego doświadczenia, sądzymy jednak, że pomysł ma  
dobrą wartość rynkową. Innymi słowy, wierzymy, że się sprzeda.

— Gdzie? Na jakiej ziemi?

Wykrzywił twarz.

— Ach tak, rozumiem...

— Avery, proszę cię, nie wychodź.

— Nigdzie nie wychodzę. Słucham.

— Podobają ci się te rysunki?

— Tak, nawet bardzo. Architekt wykazuje wrażliwość, jakiej w projektach twojej firmy nigdy dotąd nie widziałam.

— A więc posłuchaj, jest tak: zbudowalibyśmy osiedla na ziemi otaczającej twój ogród, jak również na należących do ciebie nieużytkach. Musielibyśmy zagospodarować cały teren pierwotnie należący do firmy, ale ogród Skeetera pozostałby nietknięty. Byłby otwarty dla zwiedzających i jesteśmy skłonni zobowiązać się do jego utrzymania. Co ty na to?

— Uważnie słucham.

— Byłoby mniej więcej tak, jakbyś oddała kawałek ziemi pod pole golfowe.

- Pole golfowe przynosi zysk — zauważyła.

- To prawda, za to ogród botaniczny przedstawia pewną wartość jako majątek należący do firmy. No, dobrze. Zgoda. Zapłacimy ci i za ziemię, i za to, co na niej jest, ponadto notarialnie spiszemy warunki, które ci przedstawiłem.

- I co? I nie będzie asfaltowych chodników?

- Nie. Aleje zrobimy z naturalnych surowców, ze żwirku albo z muszli. Opracowano nową technologię. Nie wiem, na czym dokładnie polega, ale robiona tą technologią ścieżka wygląda jak wydeptana. Mogę ci pokazać próbkę.

- A roślinność?

- Tylko miejscowa.

- Bez sztucznych trawników? Bez importowanych sadzonek?

- Bez.

Jeszcze raz przyjrzała się rysunkom.

- Śliczne domy. Wpadłeś na doskonały pomysł. Powinno się udać. Ludzie na pewno zechcą mieszkać w takim otoczeniu.

Do tego „Ogród Skeetera”... Skąd ci to przyszło do głowy?

- Widziałem kilka rysunków tego architekta. Zadzwoiłem do niego i umówiłem się na spotkanie. Pokazał mi swoje pozostałe prace. Mieszka w domu na wodzie. Szkoda, że go nie widziałas. Za taką chałupę można by zabić... - Przez chwilę krążył bez słowa po gabinecie. - Tak, zrobiło to na mnie duże wrażenie. Dodałem dwa do dwóch i doszedłem do wniosku, że może się zgodzisz.

- Ależ tak, zgadzam się. Przecież gołym okiem widać, że nie jestem w stanie dłużej utrzymać ogrodu. Bez pomocy, bez fachowej rady i odpowiednich funduszy szybko zbankrutuję. Poza tym, chcę się przeprowadzić do Karoliny Północnej.

- W takim razie... sprzedasz nam ziemię? Całą?

- Tak, jeśli tylko jest to zgodne z prawem. Oczywiście na warunkach, o których wspomniałeś.

Porwał ją w ramiona, mocno przytulił i zorientowawszy się, że przesadził, chciał się szybko wycofać, ale teraz z kolei Avery go przytrzymała.

- Nie chcę dłużej kłócić się z tobą o ziemię. Ten układ to idealny kompromis.

- A przy okazji zarobisz parę dolarów.

- Powiedz - spytała ze śmiechem - ale tak szczerze: jak wpadłeś na ten pomysł?

- Dużo o nas myślałem, o tobie i o mnie, i doszedłem do wniosku, że muszę spojrzeć na tę sprawę jak na konflikt interesów, a nie emocji. Kiedy rozmawiam z kimś o interesach, najpierw ustalę, czego ten ktoś chce, na czym zależy mu najbardziej. Zacząłem się zastanawiać, jakie rozwiązanie byłoby najlepsze dla ciebie. Teraz wydaje mi się, że będzie ono dobre dla nas obojga. Zyskamy sławę jako firma wrażliwa na sprawy środowiska. Czy to nie przebój?

- Tak, masz rację.

- A wszystko dzięki tobie, moja droga.

- To świetny pomysł. Trzymam za ciebie kciuki. Jesteś w porządku, Ken. A tak w ogóle to jak ci leci? Ożeniłeś się?

- Wiesz, może to dziwnie zabrzmiało, ale kawalerskie życie coraz bardziej mi odpowiada. Lubię swoje mieszkanie, a przede wszystkim wolność.

- To dobrze. Cieszę się. - Wstała.

- A co u ciebie?

- U mnie? Wracam do Karoliny Północnej. Odezwiąj się, kiedy przygotujesz dokumenty do podpisu.

- Na pewno. Będziemy w kontakcie. I... dziękuję.

## Rozdział 22

Usłyszawszy, że Avery wybiera się na poszukiwanie grobów swoich przodków, Mars zasugerował, żeby wzięła maczetę. Cały teren był zarośnięty gęstymi chaszczami, których od dwustu lat nikt nie wycinał, i bez maczety nie dałaby sobie rady. Wrzuciła ją do bagażnika. Frankie był w szkole, Mars w pracy, a ona wnikliwie studiowała mapy cmentarzy. Sądziła, że ma przed sobą długą drogę przez dzikie pustkowia.

Tymczasem pierwszy cmentarz, na który wybrała się wraz z Sylwą, leżał w samym centrum Weaverville, raptem godzinę jazdy od domu Marsa. Wszystkie groby były oplecione schludnie utrzymanymi alejkami, na kamiennych płytach stały wazoniki z plastikowymi kwiatami. Już z drogi Avery dostrzegła metrowej wysokości pomnik z nazwiskiem Baldwinów. Za żelaznym płotem mieściła się ich rodzinna kwatera składająca się z około trzydziestu grobów. Avery otworzyła furtkę, weszła i zaczęła robić zdjęcia. Postanowiła, że kilka z nich wyśle dalekiemu kuzynowi z Kansas.

Wraz z Sylwą obezła cały cmentarz i w drodze powrotnej znalazła grób swego prapradziadka. Jacob Wells

Baldwin 1824--1907. Tuż obok mieścił się grób jego żony oraz córki zmarłej w pierwszym roku życia.

— Urodziłam się w niewłaściwym miejscu — powiedziała. — Mam szczęście, że kuzyn to wszystko odgrzebał i dał mi znać. To namacalna ilustracja mojej historii. — Usiadła na ziemi przed

grobem Jacoba Wellsa i odszukała jego nazwisko w dokumentach. — Ciekawe, gdzie stał jego dom, jak wyglądało jego życie, czym się zajmował. Z papierów wynika, że miał pięcioro dzieci. Jedno umarło w niemowlęctwie.

Pagórek ocieniały ogromne dęby i klony, a sączące się między liśćmi promienie słońca kreśliły na nagrobkach jaskrawe wzory. Sylva zrobiła jej zdjęcie przed grobem prapradziadka. Potem usiadły na przymie zgrabionych i nieuprzątniętych liści.

- Cieszę się, że ze mną przyjechałaś - powiedziała Avery.

- Widać z tego, że twoja rodzina wrosła w te góry głębiej niż moja.

- To ty jesteś moją rodziną.

- Kiedy wyjdiesz za Marsa, a myślę, że wyjdiesz, będziemy prawdziwymi siostrami.

- Powiedziałaś mi kiedyś, że lepiej być przyjaciółkami.

- I nadal tak uważam.

- Chętnie byłabym dla ciebie i siostrą, i przyjaciółką — odrzekła Avery. - A gdybyś tak wyszła za Adama?

- Porzuć tę myśl, niecnoto! — Sylva chwyciła garść liści i cisnęła nimi w przyjaciółkę. Avery odpowiedziała jej tym samym i zaczęły się tarzać, turlać, mocować, śmiać i biegać wokół nagrobków, rozkopując liście i obwiniając się wzajemnie o bałagan, którego narobiły.

Sylva padła na kopczyk listowia, z trudem łapiąc oddech. We włosy wplątały się jej czerwone liście klonu, czego Avery nie omieszkała utrwalić na zdjęciu. Potem legły obok siebie, spo-glądając na wyłożone gałęzie i czyste, bezchmurne niebo.

Znad gór nadciągał zmierzch: okrył cieniem lasy, przytłumił jaskrawe barwy jesieni, zmieniając je w stonowane brązy i ciepłą sepię.

Po kolacji Avery wyszła na taras i usiadła w zrobionym przez Marsa bujaku.

- Spójrz w niebo - powiedział Mars. - Jest takie różowe, takie śliczne. Rany, jak ja to miejsce lubię...

- Nie tylko ty. - Avery wstała i pocałowała go w usta. -

Zaraz wracam. Muszę włożyć sweter. Przynieść ci coś?

- Mogłabyś zawołać Frankiego?

Kiedy wróciła, Mars rozmawiał z synem.

- ...dlatego w ten weekend oczyścimy strumień przy wąwozie. To drzewo blokuje przepływ wody.

- Kupa roboty - odrzekł Frankie. - Tam jest prawdziwy potop.

- Wiem, ale jeśli weźmiemy się do roboty, na pewno damy sobie radę. Jeżeli nie zrobimy z tym porządku, zimą zrobi się zator i będziemy mieli powódź.

- Ja też pomogę - wtrąciła Avery.

- Możesz robić kanapki. Będziemy musieli przeciąć to drzewo piłą łańcuchową.

- Wiecie co? — Rozhuštała się w bujaku. — Powinniście byli postawić ten dom na Crowfoot Ridge, a nie nad Crooked Creek.

- Uważasz, że to nie jest Crowfoot Ridge?

- Tu? Nie, to daleko stąd. Ile jest do farmy MacKinseyów? Co najmniej szesnaście kilometrów, prawda?

- Tak, ale to jest zbocze tego samego pasma. Nie można go przeciąć, trzeba je objechać. Jesteśmy po drugiej stronie Crowfoot Ridge.

- Nie wiedziałam.

Mars parsknął śmiechem.

- Nie wiesz o tych górach tyłu TLZCVJ, że moglibyśmy napisać o tym książkę. Zaczęliśmy naszą wędrowkę od Crowfoot Ridge i tu ją kończymy.

- To dobrze — rzekła. — To mi się podoba.

W sobotę rano ubrali się w robocze stroje i ruszyli do pracy. Mars przewiązał czoło przepaską, żeby włosy nie spadały mu na oczy. Wokół blokującego strumień drzewa powstało błotniste bajoro. Zaczęli od tego, że powyciągali z wody czopy z liści i śmieci, które zaplątały się w gałęzie. Strumień ledwo ciurkał, a rozlana wokół drzewa woda zamieniła się w brudną sadzawkę.

Powalona sosna miała około piętnastu metrów długości, a jej korzenie sterczały na trzy metry w górę.

— Jest gorzej, niż myślałem — wysapał Mars. — Ta robota

zajmie nam cały weekend.

— Tato — zaproponował Frankie — najpierw zetnijmy gałę-

zie, inaczej się do niej nie dostaniemy.

Tak też zrobili. Mars ścinał gałęzie, a Frankie i Avery wyciągali je z wody.

Niebawem wszyscy byli brudni i przemoczeni, a przecież pracowali dopiero godzinę. Frankie rzucił w ojca garścią błota i trafiwszy go w pierś, wybuchnął śmiechem. Mars zawył i chcąc mu się zrewanżować, trafił błotem w Avery. Drobną potyczka przerodziła się w prawdziwą błotną wojnę, którą toczyli pośród wybuchów wesołego śmiechu.

Wtem usłyszeli hamujący na podjeździe samochód.

— Spodziewasz się kogoś? - zapytała Avery.

— Obcy samochód... - odparł Mars. - Frankie, może to ktoś

do ciebie?

— Nie.

— Idź zobacz, kto to.

— Ja pójdę — zaoferowała się Avery. — Frankie musi wyciąg-

nąć jeszcze kilka gałęzi.

Ruszyła w górę zbocza, a Mars ponownie chwycił piłę.

Z samochodu wysiadł jakiś mężczyzna. Na widok Avery zawahał się, potem ruszył w jej stronę. Promienie październikowego słońca lśniły w powietrzu niczym diamentowy pył i odbijały się od błyszczącej karoserii samochodu. Avery przystała i obserwując nieznanego, próbowała zetrzeć błoto z twarzy.

Ten chód... Jakby skądś go znała.

Przytrzymując się porastających zbocze pnączy, wdrapała się na podjazd. Zdała sobie sprawę, że jest umazana błotem od stóp do głów, więc jeszcze raz otarła twarz grzbietem dłoni i ubrudziła się jeszcze bardziej. Był wysoki. Jego kasztanowe włosy przypominały jej Adama z czasów młodości. Poczuli się dziwnie. Nagle osłabła, jakby za chwilę miała zemdleć. Zabrakło jej tchu. Tak, w jego ruchach, w postawie było coś... znajomego.

- Przepraszam za swój wygląd! - krzyknęła, żeby usłyszał ją



mimo warkotu piły. — Oczyszczamy strumień. Drzewo się  
zwaliało. Bardzo brudna robota.

Staął dokładnie naprzeciwko niej. Wyglądał na jakieś dwadzieścia lat. Oboje milczeli. Dziwne. Avery nie  
mogła wykrztusić ani słowa.

Mars wyłączył piłę.

- Avery? - krzyknął. - Kto to?

Miał turkusowe oczy, oczy koloru morskiej laguny. Nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy. Wciąż nic  
nie mówili. Uświadomiła sobie, że mężczyzna przygląda się jej z pełnym skupienia zainteresowaniem. Z  
zainteresowaniem i z nie ukrywaną ciekawością. Poczwała, że drżą jej ręce.

- Pani Baldwin? - spytał. - Pani Avery Baldwin?

I ten głos... Ten głos też skądś znała.

- Tak, to ja. - Chciała go o coś zapytać, lecz pytanie  
uwięzło jej w gardle. Serce biło jak oszalałe, nie mogła oderwać  
od niego wzroku. W kąciakach oczu wezbrały łzy. Uświadomiła  
sobie, że nie zna jego imienia. - Czy pan... Czy pan jest...?

- Chyba tak - odrzekł.

Stał przed nią z figlarną miną, jakby wiedział coś, o czym ona nie miała pojęcia.

Ale ona też wiedziała. Wiedziała, kto ją odwiedził. Znała jego uśmiech. Jego chód, włosy... I te niezwykle  
oczy.

Nie mogła mówić, lecz jej dusza krzyczała. Krzyczała, przywołując Marsa. Już ku niej biegli, on i Frankie,  
już wspinali się po zboczach.

Tak, powinna była od razu go rozpoznać.

Posłał jej znajomy uśmiech. Ugięły się pod nią kolana, dłonie zadrżały jeszcze bardziej.

I raptem chwycił ją w ramiona, a ona przytuliła go i ujęła w dłonie jego twarz. Miał uśmiech swojego ojca.  
Uśmiech, który całe życie nosiła w sercu.

I zawsze kochała.